

SKRADZONY POCAŁUNEK BYŁ JEJ PIERWSZĄ ZBRODNIĄ - ALE NIE OSTATNIĄ...

J A M E S
PATTERSON
MICHAEL LEDWIDGE
SZYBKI NUMER





JAMES PATTERSON

James Patterson należy do ścisłej czołówki najpopularniejszych pisarzy amerykańskich, obok książek Browna, Grahama i Kinga, właśnie jego powieści najczęściej trafiają na światowe listy bestsellerów. Sławę przyniósł mu thriller *W sieci pająka*, w którym po raz pierwszy pojawia się Alex Cross, czarnoskóry policjant i psycholog, specjalizujący się w tropieniu seryjnych zabójców (w postać tę dwukrotnie wcielił się na dużym ekranie Morgan Freeman). Patterson nigdy nie zawodzi czytelnika – każda jego książka to wciągająca mieszanka nieoczekiwanych zwrotów akcji, oszalałego tempa narracji i nieskrajnego ani na chwilę napięcia.

Kiedy Lauren Stillwell, detektyw w wydziale zabójstw nowojorskiej policji, przypadkowo widzi, jak jej mąż Paul znika w hotelu z atrakcyjną blondynką, postanawia się zemścić. Spędza noc z przyjacielem z pracy, Scottem Thayerem. Pomiędzy Pauliem a Scottem dochodzi do bitki – dzień później ciało Paula zostaje odnalezione z raną postrzałową głowy. Tylko Lauren wie, co naprawdę wydarzyło się poprzedniej nocy. Targana wyrzutami sumienia utrudnia śledztwo, tuszując informacje, które mogłyby pogrzyżć jej męża, wika się w sieć niekończących się kłamstw. Tymczasem na jaw wychodzą nowe fakty, które stawiają pod znakiem zapytania wszystko, w co wierzy. W jej sytuacji nie ma dobrego wyjścia – każda decyzja, którą podejmie, może kosztować ją karierę zawodową, małżeństwo, a nawet życie...



**JAMES
PATTERSON**

MICHAEL LEDWIDGE

SZYBKI

NUMER

Z angielskiego przełożył ROBERT WALIŚ

Tytuł oryginału: THE QUICKIE
Copyright © James Patterson 2007 All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Robert Waliś 2009
Redakcja: Dorota Stańczak
ilustracja na okładce: Getty Images/Flash Press Media
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna
ISBN 978-83-7359-813-3

Dystrybucja
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa
2009. Wydanie I Druk: OpolGraf S.A., Opole

Johnowi i Joan Downeyom — dziękuję za wszystko

Prolog

Nikt tak naprawdę nie lubi

niespodzianek

1

Od początku wiedziałam, że niespodziewana wizyta w biurze Paula przy Pearl Street w celu wyciągnięcia go na lunch to doskonały pomysł.

Zahaczyłam o Manhattan i włożyłam swoją ulubioną małą czarną. Wyglądałam skromnie, lecz zachwycająco. Strój nadawał się na wyjście do restauracji Mark Joseph Steakhouse, a jednocześnie był jednym z ulubionych ubrań Paula. Zazwyczaj wybierał właśnie tę sukienkę, kiedy pytałam: „Co powinnam na siebie włożyć?”.

Byłam podekscytowana i zdążyłam już podpytać asystentkę Paula, Jean, aby upewnić się, że go zastanę — chociaż nie wspomniałam o niespodziance. W końcu była jego asystentką, a nie moją.

I wtedy go ujrzałam.

Kiedy skręciłam za róg swoim mini cooperem, zobaczyłam, jak wychodzi z biurowca u boku dwudziestokilkuletniej blondynki.

Szedł bardzo blisko niej, wesoło o czymś rozprawiając i śmiejąc się w sposób, który momentalnie popsuł mi samopoczucie.

Była to jedna z tych zjawiskowych piękności, które częściej spotyka się w Chicago albo Iowa City. Wysoka, o włosach przypominających platynowy jedwab i mlecznej cerze, która z tej odległości sprawiała wrażenie nieskazitelnej. Ani jednej zmarszczki czy przebarwienia.

Jednak nie była idealna. Zaczepiła butem od Manolo o płytę chodnikową, kiedy wsiadała do taksówki, a Paul z galanterią złapał ją za anorektyczny łokieć okryty różowym kaszmirem. Poczułam się tak, jakby ktoś wbił mi lodowate dłuto w sam środek klatki piersiowej.

Pojechałam za nimi. Właściwie „pojechałam” to chyba zbyt delikatne określenie. Śledziłam ich.

Przez całą drogę do śródmieścia siedziałam im na ogonie, jakby łączyła nas lina holownicza. Kiedy taksówka nagle zatrzymała się przed wejściem do hotelu St. Regis przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy, a Paul i jego towarzyszka z uśmiechem wysiedli z samochodu, gadzia część mojego mózgu wysłała gwałtowny impuls do prawej stopy zawieszanej nad pedałem gazu. Kiedy Paul ujął blondynkę pod rękę, oczami wyobraźni ujrzałam ich oboje uwieczonych między hotelowymi schodami a maską jasnoniebieskiego mini coopera.

Potem wizja zniknęła, podobnie jak oni, a ja zostałam sama w aucie, płacząc przy wtórze klaksonów stojących za mną taksówek.

2

Tego wieczoru zamiast zastrzelić Paula, gdy tylko pojawił się w drzwiach wejściowych, postanowiłam dać mu szansę. Wstrzymałam się aż do kolacji z rozmową o tym, co takiego porabiał w hotelu St. Regis w śródmieściu.

Może istniało jakieś logiczne wytłumaczenie. Co prawda nie potrafiłam sobie żadnego wyobrazić, ale cytując napis, który przeczytałam kiedyś na naklejce na zderzaku, „Cuda się zdarzają”.

— Paul — zaczęłam na tyle spokojnie, na ile pozwalał mi ciężki azot krążący w moich żyłach. — Gdzie dziś jadłeś lunch?

To zwróciło jego uwagę. Chociaż miałam opuszczoną głowę, niemal przepiłowując talerz razem z jedzeniem, poczułam, że wyprostował się i spojrzał na mnie.

Przez dłuższą chwilę milczał z miną winowajcy, po czym ponownie opuścił wzrok na swój talerz.

— Zjadłem kanapkę przy biurku — wymamrotał. — Jak zwykle. Przecież mnie znasz, Lauren.

Skłamał w żywe oczy.

Nóż wysunął mi się z dłoni i z brzękiem upadł na talerz.

Ogarnęły mnie najczarniejsze, najbardziej paranoiczne myśli. Szalone podejrzenia, których się po sobie nie spodziewałam. A może cała jego praca to oszustwo, pomyślałam. Może sam dla zmyłki drukuje papier firmowy, a tak naprawdę od samego początku codziennie jeździ do centrum, gdzie mnie zdradza. Jak dobrze znam jego współpracowników? Może to aktorzy, których zatrudnił, aby pojawiali się w biurze za każdym razem, kiedy go odwiedzam.

— Dlaczego pytasz? — odezwał się w końcu, całkiem swobodnie. To zabolalo. Prawie tak bardzo jak jego widok z oszalamiającą blondynką na Manhattanie.

Prawie.

Nie wiem, jakim cudem udało mi się do niego uśmiechnąć pomimo huraganu, który we mnie szalał, jednak zdołałam unieść napięte mięśnie policzków.

— Po prostu staram się nawiązać rozmowę — odparłam. — Pogadać ze swoim mężem przy kolacji.

Część pierwsza

Szybki numerik

Rozdział 1

Ruch na południowej części Major Deegan oraz na zjeździe do mostu Triborough był wyjątkowo duży tego zwariowanego wieczoru.

Nie wiedziałam, co drażni mnie bardziej, gdy wlekleśmy się mostem — klaksony otaczających nas samochodów, które tkwiły w korku na obu nitkach jezdnii, czy może instrumenty dęte ryczące na antenie hiszpańskiej stacji radiowej, której słuchał kierowca.

Wybierałam się do Wirginii na zawodowe seminarium.

Paul jechał do Bostonu, aby spotkać się osobiście z jednym z najważniejszych klientów swojej firmy.

Jedyną wspólną część podróży nowoczesnego, profesjonalnego i ambitnego małżeństwa Stillwellów stanowił przejazd taksówką na lotnisko LaGuardia.

Przynajmniej za moim oknem rozciągała się piękna panorama Manhattanu. Nowy Jork wydawał się jeszcze bardziej majestatyczny niż zwykle, wznosząc swoje szklano-stalowe wieże ku zbliżającym się czarnym burzowym chmurom.

Wyglądając przez okno, przypomniałam sobie śliczne mieszkanie w Upper West Side, które kiedyś dzieliliśmy z Paulem. Soboty

w muzeum Guggenheima lub muzeum sztuki współczesnej; tanie, malutkie francuskie bistro w No-Ho; zimne chardonnay pite na „podwórku”, czyli na schodach przeciwpożarowych tuż przy oknie naszej kawalerki na czwartym piętrze. Wszystkie te romantyczne rzeczy, które robiliśmy przed ślubem, kiedy nasze życie było nieprzewidywalne i pełne radości.

— Paul — odezwałam się pospiesznie, niemal ze smutkiem. — Paul?

Gdyby mój mąż był typowym facetem, mogłabym uznać to, co się między nami działo, za naturalny rozwój wypadków. Trochę się starzejesz, być może robisz się bardziej cyniczny i miesiąc miodowy dobiega końca. Ale Paul i ja? Nas to nie dotyczyło.

Byliśmy jednym z tych obrzydliwie szczęśliwych małżeństw, które zawierają najlepsi przyjaciele. Pokrewnymi duszami, pragnącymi umrzeć razem niczym Romeo i Julia. Przepętniała nas miłość — i wcale nie ulegam w tej chwili magii wybiórczej pamięci. Rzeczywiście tacy byliśmy.

Poznaliśmy się na pierwszym roku studiów na wydziale prawa Uniwersytetu Fordham. Obracaliśmy się w tych samych kręgach szkolnych i towarzyskich, ale nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Zwróciłam na Paula uwagę, ponieważ był bardzo przystojny. O kilka lat starszy od większości z nas, trochę bardziej pracowity i poważny. Prawdę mówiąc, zdziwiłam się, kiedy zgodził się pojechać z nami do Cancún podczas wiosennych ferii.

Wieczorem przed wylotem do domu pokłóciłam się ze swoim ówczesnym chłopakiem i przypadkowo przewróciłam się, tłukąc szybę w drzwiach hotelowych i kalecząc sobie rękę. Kiedy mój niby-facet stwierdził, że „nie potrafi poradzić sobie z tą sytuacją”, pojawił się Paul i go zastąpił.

Zabrał mnie do szpitala i został przy moim łóżku, podczas gdy wszyscy inni wskoczyli na pokład samolotu powrotnego, aby tylko nie opuścić zajęć.

Kiedy Paul pojawił się w drzwiach mojej meksykańskiej sali szpitalnej, niosąc śniadanie złożone z koktajli mlecznych i plik cza-sopism, przypomniałam sobie, jaki jest przystojny, jak bardzo nie-bieskie ma oczy, jakie fantastyczne są dołeczki w jego policzkach i jak zabójczo się uśmiecha.

Miał dołeczki, koktajle i moje serce.

Co się stało potem? Sama dobrze nie wiem. Chyba wpadliśmy w pułapkę, która czyha na wiele współczesnych małżeństw. Zajęci własnymi, wymagającymi poświęcenia karierami, przyzwyczajiliśmy się do zaspokajania tylko swoich potrzeb i zapomnieliśmy, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi: że na pierwszym miejscu zawsze powinniśmy stawiać siebie nawzajem.

Wciąż nie spytałam Paula o blondynkę, z którą widziałam go na Manhattanie. Może dlatego, że jeszcze nie byłam gotowa zagrać w otwarte karty. Poza tym nie miałam pewności, czy Paul ma romans. Może bałam się, że z nami koniec. Kiedyś mój mąż mnie kochał; wiem, że tak było. Ja także kochałam go z całych sił.

Może nadal go kocham. Może.

— Paul! — zawołałam ponownie.

Odwrócił się, kiedy usłyszał mój głos. Zwrócił na mnie uwagę chyba po raz pierwszy od kilku tygodni. Na jego twarzy pojawił się przepraszający, niemal smutny grymas. Otworzył usta.

Wtedy odezwał się jego przekłety telefon. Pamiętam, że ustawiłam jako dzwonek melodię Tainted Love — „zbrukana miłość”. Jak na ironię, głupiutka piosenka, do której kiedyś tańczyliśmy, pijani i szczęśliwi, stała się celnym komentarzem do naszego małżeństwa.

Ze złością wpatrywałam się w telefon, rozważając wyrwanie go Paulowi z dłoni i wyrzucenie przez okno, między linami mostu, prosto do cieśniny East River.

Kiedy Paul zerknął na numer na wyświetlaczu, jego oczy przybrały znajomy nieobecny wyraz.

— Przepraszam, ale muszę — usprawiedliwił się, otwierając aparat kciukiem.

Ale ja nie, pomyślałam, patrząc, jak Manhattan oddala się od nas między stalowymi zwojami.

Wystarczy tego dobrego, pomyślałam. To przepełniło czarę gorzycy. Zniszczył już wszystko, co nas łączyło, czyż nie?

Właśnie wtedy, siedząc w taksówce, zrozumiałam, kiedy nadchodzi nieodwołalny koniec.

Kiedy już nawet nie potraficie wspólnie cieszyć się zachodem słońca.

Rozdział 2

W oddali rozległ się złowieszczy huk pioruna, gdy zjechaliśmy z Grand Central Parkway w stronę lotniska. Niebo późnego lata gwałtownie szarzało, zwiastując pogorszenie pogody.

Kiedy zatrzymaliśmy się przed terminalem linii Continental, Paul trajkotał o wartościach księgowych. Nie spodziewałam się, aby zdobył się na coś równie trudnego jak pocałunek na pożegnanie. Gdy rozmawiał przez telefon swoim cichym „biznesowym głosem”, nawet wybuch bomby nie mógłby mu przerwać.

Kiedy kierowca przełączył radio z hiszpańskiej stacji na wiadomości finansowe, szybko sięgnęłam do klamki. Gdybym nie uciekła, przypominający brzęczenie owadów inwestycyjny żargon atakujący mnie z obu stron doprowadziłby mnie do wrzasku.

Aż do zdarcia gardła.

Aż do utraty przytomności.

Paul pomachał przez tylną szybę odjeżdżającej taksówki, nawet nie spoglądając w moją stronę.

Kiedy przeciągałam walizkę przez rozsuwane drzwi, kusiło mnie,

aby w odpowiedzi pokazać mu środkowy palec. Jednak nie wykonałam żadnego gestu.

Kilka minut później siedziałam w barze, czekając na wywołanie mojego lotu, pogrążona w ponurych myślach. Sącząc koktajl Cosmopolitan, wyjęłam z torebki bilet.

Z głośników dobiegała instrumentalna wersja Should I Stay or Should I Go? The Clash. No proszę. Ludzie z Muzaka odkryli moje dzieciństwo.

Dobrze, że byłam akurat tak entuzjastycznie nastawiona do życia, bo w przeciwnym razie mogłabym się poczuć staro i popaść w przygnębienie.

Postukałam się biletem w usta, po czym teatralnym ruchem przedarłam go na pół, a następnie jednym haustem dokończyłam koktajl.

Potem otarłam łzy barową serwetką.

Nadszedł czas na plan B.

Będą z tego kłopoty, bez dwóch zdań. Duże kłopoty.

Nie dbałam o to. Paul zbyt wiele razy mnie ignorował.

Wykonałam telefon, z którym od dawna zwlekałam.

Następnie wyjechałam z walizką na zewnątrz, wsiadłam do pierwszej wolnej taksówki i podałam kierowcy swój domowy adres.

Kiedy ruszaliśmy, pierwsze krople deszczu uderzyły w szyby, i nagle wyobraziłam sobie coś olbrzymiego wślizgującego się do ciemnej wody, coś monumentalnego, co powoli i nieodwołalnie tonęło. W dół, w dół, w dół.

A może wręcz przeciwnie — może po raz pierwszy od dawna wreszcie wydostawałam się na powierzchnię.

Rozdział 3

Kiedy weszłam do swojego ciemnego, pustego domu, zdążyło się już rozpadać na dobre. Poczułam się trochę lepiej, gdy przebrałam się z przemoczonego biznesowego kostiumu w starą sportową koszulkę z logo uczelni Amherst i ulubione dzinsy.

Zrobiło mi się jeszcze przyjemniej, kiedy włączyłam płytę Steviego Raya Vaughana, aby dotrzymał mi towarzystwa.

Postanowiłam nie zapalać świateł, lecz otworzyć zakurzoną skrzynkę świeczek o zapachu kalii etiopskiej, którą trzymałam w schowku w salonie.

Wkrótce dom przypominał wnętrze kościoła lub raczej jakiś zwariowany teledysk Madonny, biorąc pod uwagę powiewające zasłony. Zainspirowana tym widokiem odszukałam na swoim iPodzie Dress You Up królowej popu i pogłośniłam muzykę.

Dwadzieścia minut później rozległ się dzwonek do drzwi i doręczyciel z firmy FreshDirect dostarczył mi kotlety z młodej jagnięciny, które zamówiłam w drodze powrotnej.

Zaniiosłam cenny pakunek owinięty brązowym papierem do kuchni i nalałam sobie kieliszek santa margherity, po czym posiekałam

czosnek i cytryny. Postawiłam na ogniu czerwone ziemniaki przeznaczone na czosnkowe purée i zastawiłam stół.

Dla dwojga.

Poszłam ze swoją margheritą na górę.

Wtedy zauważyłam uporczywie migające czerwone światełko na automatycznej sekretarce.

— Witaj, Lauren. Mówi doktor Marcuse. Właśnie wychodzę z gabinetu i chciałem cię poinformować, że twoje wyniki jeszcze nie dotarły. Wiem, że na nie czekasz. Dam ci znać, jak tylko laboratorium się odezwie.

Kiedy sekretarka się wyłączyła, odgarnęłam włosy i popatrzyłam w lustro na delikatne zmarszczki na swoim czole i w kącikach oczu.

Mój okres spóźniał się o trzy tygodnie. Normalnie nie byłby to powód do niepokoju.

Tylko że ja byłam bezpłodna.

Wyniki, o których wspominał mój uczynny ginekolog, doktor Marcuse, dotyczyły badania krwi oraz USG, na które mnie namówił.

W tym momencie toczył się wyścig. Pogoń na złamanie karku.

Co popsuje się jako pierwsze? — pomyślałam, unosząc kieliszek

Moje małżeństwo czy moje zdrowie?

— Dzięki za informację, doktorze Marcuse — odezwałam się do automatycznej sekretarki. — Ma pan świetne wyczucie chwili.

Rozdział 4

Moje serce zaczynało przyspieszać. Kolacja dla dwojga — bez udziału Paula.

Kiedy dopiłam kieliszek wina, zesłam na dół i zrobiłam jedyną rozsądną rzecz w tych okolicznościach. Znalazłam butelkę i zabrałam ją ze sobą z powrotem na górę.

Po trzeciej dolewce usiadłam na łóżku z kieliszkiem i swoim ślubnym zdjęciem.

Siedziałam, piłam i wpatrywałam się w Paula.

Początkowo pogodziłam się ze zmianą w jego zachowaniu po ostatnim awansie, który kosztował go wiele nerwów. Czułam, że ten ciągły stres mu nie służy, ale wiedziałam także, że inwestycje finansowe to jego powołanie. Właśnie w tym był najlepszy, jak mi wielokrotnie wspominał. W ten sposób się definiował.

Dlatego dałam spokój. Zaakceptowałam to, że się ode mnie oddalił i że nagle zaczął ignorować mnie podczas posiłków oraz w sypialni. Potrzebował całej swojej energii do pracy. Powtarzałam sobie, że to minie. Gdy już nabierze odpowiedniego tempa, wtedy wyluzuje. Albo w najgorszym przypadku poniesie klęskę. A ja opatrzę mu rany i wszystko wróci do normy. Ponownie ujrzę te dołeczki

w policzkach i uśmiech. Znów będziemy najlepszymi przyjaciółmi.

Otworzyłam szufladę nocnego stolika i wyjęłam bransoletkę z breloczkami.

Paul kupił mi ją na pierwsze urodziny po ślubie. Co zabawne, wybrał w tym celu sklep z artykułami dla nastolatków. Na razie miałam sześć breloczków. Pierwszym i ulubionym było serduszko z kryształu górskiego, które podarował „swojej ukochanej”.

Nie wiem dlaczego, ale każdy kolejny tani breloczek znaczył dla mnie bez porównania więcej niż kolacja w ekskluzywnej restauracji, na którą zawsze mnie zabierał.

W tym roku Paul zarezerwował nam stół w Per Se, nowym, niezwykle modnym lokalu w wieżowcu Time Warner Center. Jednak nawet po *crème brûlée* nie wręczył mi żadnego prezentu.

Zapomniał kupić mi breloczek do bransoletki. Zapomniał albo postanowił tego nie robić.

To była pierwsza zapowiedź poważnych problemów.

Prawdziwy alarm wywołała dwudziestokilkuletnia blondynka, z którą widziałam go przed jego biurem na Pearl Street i którą zabrał do hotelu St. Regis.

Ta, o której skłamał w żywe oczy.

Rozdział 5

Byłam na dole w kuchni i układałam różowe kotlety na skwierczącym maśle, kiedy ktoś mocno zapukał w szybę w tylnych drzwiach. Motylki, które wirowały w moim żołądku, gwałtownie się poruszyły i zmieniły formację. Zerknęłam na zegar na mikrofalówce.

Punkt jedenasta.

A więc stało się, przyszedł, pomyślałam, ocierając pot z czoła papierowym ręcznikiem i podchodząc do drzwi. To się dzieje naprawdę.

Właśnie tutaj.

Właśnie teraz.

Wzięłam bardzo głęboki oddech i odsunęłam zasuwkę.

— Cześć, Lauren.

— Cześć. Nieźle wyglądasz. Wręcz świetnie.

— Jak na kogoś kompletnie przemoczonego, prawda?

Deszcz, który wdarł się do środka przez otwarte drzwi, narysował na białych płytkach podłogowych konstelację ciemnych, mokrych gwiazd.

Po chwili wszedł do kuchni. Nieźle wejście, pomyślałam.

Wydawało się, że jego smukła, studziwieńdziesięciocentymetrowa sylwetka wypełnia pomieszczenie. W blasku świec zobaczyłam, że ciemne włosy miał świeżo przystrzyżone; przybierały kolor wilgotnego białego piasku w miejscach, w których ogolono je przy samej skórze.

Do domu wpadł podmuch wiatru i buchnął mi prosto w twarz zapachem wody kolońskiej, deszczu i skórzanej kurtki motocyklowej.

Oprah Winfrey zapewne poświęciła kilka godzin rozważaniom, w jaki sposób dochodzi się do tego punktu, pomyślałam, zastanawiając się, co powiedzieć. Niewinny flirt w pracy, który prowadzi do zauroczenia, które prowadzi do sekretnej przyjaźni, która prowadzi do... Wciąż nie wiedziałam, jak mam to nazwać.

Znałam kilka zamężnych koleżanek z pracy, które zaangażowały się w nieszkodliwe flirty, ale sama zawsze otaczałam się grubym murem, kiedy pracowałam z mężczyznami, zwłaszcza tak przystojnymi i dowcipnymi jak Scott. To po prostu wydawało się niewłaściwe.

Jednak Scott w jakiś sposób przedostał się przez ten mur i uśpił moją czujność. Może stało się tak dlatego, że pomimo urody i potężnej sylwetki wyczuwałam w nim niewinność. A może zaważyło to, że odnosił się do mnie niemal oficjalnie. Był staroświecki w najlepszym znaczeniu tego słowa. Poza tym jego coraz wyraźniejsza obecność w moim życiu zbiegała się w czasie z oddalaniem się ode mnie Paula.

Jakby tego było mało, Scott miał w sobie coś przyjemnie tajemniczego, jakieś subtelne drugie dno, które mnie pociągało.

— A więc rzeczywiście jesteś — odezwał się Scott, przerywając ciszę. — Poczekaj, prawie zapomniałem.

Dopiero teraz zauważyłam, że trzyma mokrą, poszarpaną brązową torbę. Zarumienił się, wyjmując z niej małego pluszowego

zwierzaka. Był to jasnobrązowy szczeniaczek Beanie Baby z etykietką, na której widniały imię oraz data urodzin: pierwszy grudnia.

Zakryłam dłonią otwarte usta.

Dzień moich urodzin.

Odkąd pamiętam, szukałam maskotki właśnie z tą datą. Scott o tym wiedział i ją znalazł.

Popatrzyłam na szczeniaczka. Potem przypomniałam sobie, że Paul zapomniał o breloczku do mojej bransoletki. Poczułam, że coś pęka we mnie niczym tafla cienkiego lodu, i się rozpląkałam.

— Lauren, nie! — zawołał Scott spanikowany. Uniósł ręce, aby mnie objąć, ale zatrzymał się, jakby wpadł na jakąś niewidzialną ścianę. — Posłuchaj — powiedział. — Za nic w świecie nie chcę cię skrzywdzić. To wszystko zaszło za daleko. Teraz to widzę. Chyba po prostu sobie pójdę, dobrze? Zobaczmy się jutro, jak zwykle. Ja przyniosę kawę, ty cynamonowe pączki i zapomnimy o tym, co się wydarzyło. W porządku?

Potem tylne drzwi ponownie się otworzyły i Scott zniknął w ciemnościach.

Rozdział 6

Słuchałam, jak mięso melodramatycznie skwierczy na patelni, i ocierałam oczy ścierką do naczyń. Co ja wyprawiam? Czyżbym oszalała? Scott miał rację. Co ja sobie wyobrażałam, do cholery? Tępo wpatrywałam się w kałuże, które kilka sekund temu zostawił na podłodze.

Nagle wyłączyłam kuchenkę, złapałam torebkę, otworzyłam drzwi na oścież i wybiegłam w ciemność.

Kiedy go dogoniłam, kompletnie przemoczona, wsiadał na swój motocykl pół przecznicy dalej.

W domu sąsiadów zapaliło się światło. Pani Waters była największą plotkarką w okolicy. Co by powiedziała, gdyby mnie teraz zobaczyła? Scott zauważył, że nerwowo zerkam w stronę okna.

— Chodź — powiedział, podając mi swój kask. — Nie myśl, Lauren. Po prostu to zrób. Wsiadaj.

Włożyłam kask i jeszcze mocniej wciągnęłam w nozdrza zapach Scotta, który odpalał silnik swojego wyścigowego ducati. Rozległ się dźwięk przypominający wybuch.

— No, chodź! — krzyknął, podając mi dłoń. — Szybko!

— Czy jazda w deszczu nie jest niebezpieczna?

— Jeszcze jak — odparł, szczerząc zęby w uśmiechu i dodając gazu.

Wyciągnęłam rękę i już po chwili siedziałam za plecami Scotta, obejmując go w pasie.

Zdażyłam jeszcze wtulić głowę między jego łopatki, po czym z rykiem pomknęliśmy pod górę ślełą uliczką jak rakietą z butelki.

Rozdział 7

Kurczowo wczepiając się w skórzaną kurtkę Scotta, niemal pozostawiałam na niej ślady paznokci. Mój żołądek obniżał się na każdym spadku, po czym odbijał się od wnętrza czaszki, kiedy wjeżdżaliśmy na szczyty wzniesień. Zalany deszczem świat niemal rozpląwał się wokół nas, gdy mijaliśmy go w wielkim pędzie.

Kiedy na wysokości wjazdu na Saw Mill River Parkway nagle zarzuciło tylnym kołem motocykla, pożałowałam, że nie zdążyłam spisać testamentu. Scott pozwalał maszynie jechać tam, gdzie chciała!

Gdy ponownie złapałam oddech i podniosłam wzrok, opuszczaliśmy Henry Hudsona Parkway, wjeżdżając do Riverdale, ekskluzywnej części Bronksu.

Z rykiem zjechaliśmy ze wzgórza i zwolniliśmy dopiero przy skręcie w ulicę okoloną mrocznymi ogrodzonymi rezydencjami. W świetle błyskawicy ujrzałam tuż poniżej szeroką, srebrzystą otchłań rzeki Hudson oraz surowe, zniszczone oblicze New Jersey Palisades na jej drugim brzegu.

— Chodź, Lauren — rzekł Scott, zatrzymując motocykl i zeskakując na ziemię. Skinął na mnie i ruszył w górę wyłożonego kocimi łbami podjazdu prowadzącego do domu w stylu kolonialnym, który wielkością dorównywał supermarketowi.

— Mieszkasz tutaj? — zawołałam, kiedy zdjęłam kask.

— Tak jakby — odkrzyknął, ponownie przywołując mnie gestem.

— Tak jakby?

Weszłam w ślad za nim do wolno stojącego potrójnego garażu, który okazał się niemal równie duży, jak mój dom. Wewnątrz stały porsche, bentley oraz ferrari w tym samym kolorze co motocykl Scotta.

— To chyba nie twoje! — odezwałam się zszokowana.

— Chciałbym — odparł Scott, wspinając się na schody. — To moi współlokatorzy. Opiekuję się tym domem na prośbę kumpla. Chodź, znajdę nam jakieś ręczniki.

Weszliśmy do małego mieszkania na poddaszu nad garażem. Otworzył dwie butelki budweisera i włączył płytę Motown, po czym udał się do łazienki. Olbrzymie okno wychodzące na zatokę i targaną przez burzę rzekę Hudson przypominało obraz.

Scott rzucił mi puszysty ręcznik pachnący cytryną, a następnie przystanął w progu łazienki, uważnie mi się przypatrując. Zupełnie jakbym była piękna czy coś w tym guście.

Tak samo na mnie patrzył na korytarzu, na parkingu oraz na klatce schodowej w pracy.

W jego brązowych oczach o kształcie migdałów można było wyczytać ciche błaganie.

Po raz pierwszy pozwoliłam sobie na odwzajemnienie tego spojrzenia. Pociągnęłam łyk zimnego piwa.

Nagle butelka wypadła mi z ręki, gdy zdałam sobie sprawę z tego, dlaczego on tak na mnie działa. To zupełne szaleństwo. Kiedy byłam w liceum, podczas wakacji w Spring Lake na wybrzeżu New Jersey poznałam pewnego chłopaka. Prowadził wypożyczalnię rowerów na deptaku i jestem pewna, że nawet Lance Armstrong nie przejechał tamtego lata tylu kilometrów co ja.

Pewnego piątkowego wieczoru, najbardziej pamiętnego w moim dotychczasowym życiu, zaprosił mnie na moją pierwszą imprezę na plaży.

Chyba w życiu każdego człowieka pojawia się przynajmniej jedna cudowna chwila, prawda? Czas czarodziejskiej harmonii ze światem w całej jego chwale.

Dla mnie taką chwilą była tamta impreza.

Mój pierwszy prawdziwy piwny rausz, szum oceanu w tle, turkusowe wieczorne niebo, piasek pod stopami i ten idealny, starszy chłopak, który bez słowa wziął mnie za rękę. Miałam szesnaście lat. Niedawno pozbyłam się aparatu ortodontycznego, oparzenia słoneczne wreszcie zmieniły się w opaleniznę, a ja miałam poczucie nieograniczonych możliwości i ani grama tłuszczu na brzuchu.

Właśnie to mi przypominał Scott, zrozumiałam, wpatrując się w jego lśniące oczy — Mike'a, chłopaka z wypożyczalni rowerów na wybrzeżu New Jersey, który przyszedł zabrać mnie na niekończącą się imprezę na plaży, gdzie nie było stresującej pracy, biopsji ani zdradzającego męża w towarzystwie atrakcyjnej blondynki uwieszanej na jego ramieniu.

Teraz, w tym najbardziej pogmatwanym i gównianym momencie swojego życia, niczego nie pragnęłam bardziej, niż wrócić do tamtych chwil. Znów być tą szesnastoletnią dziewczyną.

Scott klęczał, ścierając rozlane piwo. Nabrałam powietrza, wyciągnęłam rękę i przeczesałam mu włosy palcami.

— Słodki jesteś — szepnęłam.

Wstał i ujął moją twarz w dłonie.

— Nie, to ty jesteś słodka. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam, Lauren. Pocałuj mnie. Proszę.

Rozdział 8

Kiedyś moje i Paula życie seksualne było cudowne. Na początku wręcz nie mogliśmy się od siebie oderwać. W drodze na Barbados, na nasz trzeci miesiąc miodowy, zdarzyło nam się nawet kochać w samolocie.

Ale seks ze Scottem?

O mało nie umarłam.

Niemal przez godzinę tylko się całowaliśmy, pieściliśmy i gła-skaliśmy, a mój oddech i bicie serca niebezpiecznie przyspieszały z każdym odpiętym guzikiem i szarpnięciem za ubranie. Kiedy Scott w końcu podciągnął mi koszulę i przycisnął twarz do mojego brzucha, prawie przegryzłam dolną wargę.

Potem odpiął górny guzik moich dżinsów. Z mojego gardła wydobył się dźwięk, który nie przypominał ludzkiego głosu. Byłam bliska omdlenia i niezwykle mi się to podobało.

Zataczaliśmy się z pokoju do pokoju, zdzierając z siebie nawzajem ubrania. Obejmowaliśmy się z całych sił, napierając na siebie i z trudem łapiąc oddech. Od tak dawna mi tego brakowało. Zwłaszcza dotyku, pieszczot, a może po prostu odrobiny uwagi.

Nie bardzo pamiętam, jak trafiliśmy do jego sypialni. Kiedy zbliżaliśmy się do końca, gdzieś za domem uderzył piorun, tak blisko, że okno zadrżało w tym samym rytmie co wezwłowie łóżka.

Może Bóg próbował mi coś powiedzieć.

Jednak nie przerwalibyśmy nawet wtedy, gdyby został zerwany dach domu.

Kiedy skończyliśmy, leżałam na kołdrze, drżąc niczym ofiara traumy, z policzkami i szyją pokrytymi potem, czując ból w płucach. Wiatr z wyciem uderzał w okno, gdy rozpalony Scott się ze mnie sturlał.

— O rany, Lauren. Mój Boże, jesteś niesamowita.

Przestraszyłam się, że wstanie i zaproponuje mi odwiezienie do domu. Odetchnęłam z ulgą, kiedy położył się obok mnie, opierając podbródek na moim ramieniu. Kiedy tuliliśmy się do siebie w ciemnościach, a Scott przeczesywał mi włosy palcami, myślałam tylko o jego łagodnych, prawie kasztanowych oczach.

— Chyba wezmę prysznic — odezwał się w końcu. Kiedy wstał, długie muskularne nogi lekko się pod nim ugięły. — No proszę. Przydałaby mi się raczej kroplówka.

— Może ją dostaniesz na ostrym dyżurze, kiedy odwieziesz mnie do szpitala — odrzekłam z uśmiechem.

Gdy poszedł do łazienki, resztką sił oparłam głowę na poduszce. Zobaczyłam go w lustrze, kiedy zapalił światło. Był piękny. Jak Boga kocham, po prostu piękny.

Na jego bokach i opalonych plecach prężyły się mięśnie. Wyglądał jak model z reklamy Calvina Kleina.

Było... idealnie, pomyślałam. Lepiej niż mogłam przypuszczać. Bez wątpienia ostro, ale jednocześnie słodko. Nie Podejrzywałam, że Scott będzie tak czuły i że połączy nas więź nie tylko fizyczna, ale także emocjonalna.

Zrozumiałam, że bardzo tego potrzebowałam. Chciałam poczuć namiętność, a potem bliskość. Śmiać się. Przytulić do kogoś, kto mnie lubi i uważa za wyjątkową.

Nie mam zamiaru czuć się winna, pomyślałam, słysząc kolejny huk pioruna w pobliżu.

Każdemu należy się coś od życia, także gotowym na wszystko gospodyniom domowym. Nawet jeśli to się już nigdy nie powtórzy — być może nie powinno — to i tak było warto.

Rozdział 9

Siedząc w ciasnym i ciemnym wnętrzu swojej toyoty camry, którą zaparkował o pół przecznicy od mieszkania nad garażem, Paul Stillwell niczym zahipnotyzowany wpatrywał się w błyszczący czerwony motocykl Scotta, oświetlany przez kolejne błyskawice.

Kiedyś widział ten model ducati na rozkładówce magazynu „Fortune” jako jedną z nieprawdopodobnie drogich zabawek dla dużych chłopców. Czymś takim mógł jeździć gwiazdor filmowy lub beztrocki dziedzic europejskiego konglomeratu spedycyjnego.

Oraz wesoły dupek, taki jak Scott, pomyślał Paul, przypatrując się karoserii, która kształtem przypominała wojskowy samolot myśliwski, czerwonej i lśniącej w migoczącym świetle niczym błyszczący do ust.

Poczuł ucisk w gardle, gdy oderwał oczy od maszyny i wrócił do przeglądania pliku ze zdjęciami na swojej komórce.

Zatrzymał się na zdjęciu Scotta, które zrobił poprzedniego tygodnia, gdy śledził go w drodze z pracy do domu. Fotografia przedstawiała mężczyznę siedzącego okrakiem na swoim włoskim motocyklu,

czekającego na zmianę świateł z kaskiem nasuniętym na czoło. Szczupły, potężny i równie buńczuczny jak droga maszyna tkwiąca między jego nogami.

Zamknął komórkę i spojrzął poprzez deszcz na światło w oknie ponad garażem.

Następnie sięgnął do tyłu i podniósł z podłogi żelazny kij golfowy numer 3, dość ciężki i dobrze wyważony.

Patrząc na metalową główkę wielkości pięści, zdawał sobie sprawę z tego, że to drastyczne rozwiązanie. Ale jaki masz wybór, kiedy ktoś wdiera się do twojego domu i zabiera coś, co należy do ciebie?

W tej chwili wszystko było zagrożone. Wszystko, co wypracował, mogło wymknąć mu się z rąk.

Być może powinien był zrobić coś wcześniej. Stawić czoło sytuacji, zanim sprawy zaszły tak daleko. Ale teraz już nie było sensu gdybać i rozpamiętywać. Pozostawało jedno pytanie: czy zamierza dalej tkwić w tym gównie?

Nie, pomyślał, wyjmując kluczyk ze stacyjki. Jest tylko jeden sposób, aby to zakończyć.

Deszcz bębnił w dach toyoty. Paul schował telefon do kieszeni i wziął głęboki oddech. Powoli, z niemal rytualnym namaszczeniem zacisnął dłoń w czarnej rękawiczce na rękojeści idealnie wyważonego kija.

Drastyczny sposób, pomyślał, otwierając drzwi samochodu i wychodząc na zacinający deszcz.

Rozdział 10

— Co teraz? — spytał Scott, wciągając kurtkę na gołe ciało po wyjściu spod prysznic.

— Zaskocz mnie. Lubię niespodzianki. Kocham je.

Nachylił się i ujął moją lewą dłoń. Nagle zobaczyłam wszystko podwójnie, kiedy pocałował mnie w wewnętrzną stronę nadgarstka.

— I jak? — spytał z uśmiechem.

— Niezły początek — odrzekłam, kiedy odzyskałam oddech.

— Zostań tutaj, a ja skoczę do nocnego sklepu. Skończyły mi się świeża bazylia i oliwa z oliwek — powiedział, wstając. — Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli ugotuję nam szybką kolację? Wczoraj kupiłem pyszne kotlety z cielęciny na Arthur Avenue. Przyrządę sos według przepisu mojej mamy. Smakuje lepiej niż w restauracji.

Uwaga! — pomyślałam, wyobrażając sobie Scotta w fartuszk. Mężczyzna, który dla mnie gotuje?

— Myślę, że jakoś to wytrzymam — odpowiedziałam, głośno przetłknąwszy ślinę.

Scott już otwierał drzwi, kiedy nagle odwrócił się i popatrzył na mnie.

— Co się stało? — spytałam. — Zmieniłeś zdanie w sprawie gotowania?

— Bardzo... Bardzo dobrze, że to zrobiliśmy, Lauren. Nie byłem pewien, czy się zdecydujesz. Cieszę się, że tak się stało. Naprawdę się cieszę.

O rany, pomyślałam, kiedy zamknął drzwi. Spojrzałam przez okno na smaganą deszczem rzekę Hudson. Scott znał właściwą receptę. Życie chwilą. Wieczna młodość. Beztroska. Może udałoby mi się do tego przywyknąć.

Zerknęłam na zegarek. Było tuż po pierwszej. Gdzie powinnam teraz być? W łóżku w jakimś ciasnym pokoju hotelu Marriott w Wirginii.

Wybacz, Paul, pomyślałam. Ale pamiętaj, że to ty zacząłeś.

Postanowiłam do niego zadzwonić i wszystko wyjaśnić. Uznałam, że ten moment jest na to równie dobry, jak każdy inny. W końcu Paul lubił gry, nieprawdaz?

Ja również znam zasady tej rozgrywki, pomyślałam, zsuwając się z łóżka, aby poszukać swojej torebki i komórki.

Rozdział 11

Jesteś wreszcie, pomyślał Paul, kiedy Scott Thayer otworzył boczne drzwi garażu. Witaj, Scotty.

Ubrany na czarno i skulony w cieniu pod porośniętą bluszczem ścianą obok zaparkowanego motocykla Paul wiedział, że jest niewidoczny. Poza tym padało jak cholera.

Zważył kij golfowy w dłoni, kiedy Scott przeciął podjazd i wyszedł na mroczną ulicę. Najwyższy czas pokazać sukinsynowi, że popełnił błąd.

Scott się zbliżał. Jeszcze trzy metry. Jeszcze półtora.

Nagle nie wiadomo skąd ryknęła głośnie muzyka. Dźwięk dobiegał z bliska! Z kieszeni jego kurtki! Dzwoniła jego komórka!

Zaklął w myślach, sięgając do kieszeni, aby uciszyć durną melodię Tainted Love. Czemu, u licha, nie zostawił telefonu w samochodzie?

Gorączkowo starał się wyłączyć dzwonek wolną ręką, gdy wtem Scott Thayer go staranował. Paul stracił oddech i upadł plecami na błotnistą ziemię.

Spojrzał w górę prosto w szeroko otwarte oczy Scotta.

— To ty! — zawołał zszokowany Scott.

Wytrącił Paulowi z ręki kij golfowy, przygniatając mu palce butem do jazdy na motocyklu. Potem dźwignął go i wyrzucił w powietrze. Paul krzyknął, boleśnie uderzając w coś plecami. W motocykl. Runął razem z nim na ziemię i żałośnie znieruchomiał.

— Gdybym pana nie znał, panie Stillwell, mógłbym pomyśleć, że zamierzał mi pan zrobić krzywdę — odezwał się Scott, nawet niezdyszany. Podniósł kij golfowy i powoli się zbliżył. — Czymś takim można kogoś nieźle uszkodzić — powiedział, potrząsając żelaznym kijem numer 3, zupełnie jakby groził palcem. — Zresztą zaraz panu zademonstruję.

Rozdział 12

Stałam jak zamurowana z nosem przyciśniętym do zalanej deszczem szyby i wyglądałam na prywatną uliczkę przed garażem.

Nie wierzyłam w to, co widzę. To nie dzieje się naprawdę, myślałam. To jakiś absurd.

Paul tutaj?

Bije się ze Scottem na ulicy! I to nie na żarty.

Podeszłam do okna, kiedy usłyszałam huk upadającego motocykla. Potem już nie mogłam się poruszyć, jedynie wpatrywałam się w tę niewiarygodną scenę.

Oczywiście, że Paul tu jest, pomyślałam, czując, jak uginają się pode mną nogi. Ale ze mnie idiotka! Scott i ja nie byliśmy zbyt dyskretni. Ciągłe wysyłaliśmy do siebie e-maile. Nawet zapisałam jego numer w swojej komórce. Paul po prostu miał nas na oku.

Ogarnęło mnie poczucie winy. Poczułam strach.

Co mi przyszło do głowy?

Całymi tygodniami zadręczałam się, wyobrażając sobie Paula z blond pięknnością w ramionach. Każdej nocy w myślach widziałam, jak kochają się w luksusowym apartamencie w hotelu St. Regis.

Pograżałam się w bólu, jaki może poczuć tylko zdradzona żona. Żalossne.

Jednak wyobrażanie sobie zdrady to jedno.

Zrobienie tego samego z zemsty to coś zupełnie innego.

Na Boga, przecież właśnie zaliczyłam szybki numerek!

Patrzyłam bezsilnie, jak Paul i Scott rzucili się na siebie. Potem zniknęli mi z oczu, chowając się za pokrytą bluszczem ścianą po drugiej stronie ulicy. Stali się tylko brutalnymi cieniami, które mowocowały się, okładaly pięściami i kopały. Co się teraz dzieje?

Nie wiedziałam, co mam robić. Zawołać do nich? Spróbować ich powstrzymać?

Zresztą to był dopiero początek. Najgorsze nadejdzie, kiedy bójka dobiegnie końca i Paul tu wpadnie. Wtedy będę musiała stawić mu czoło.

Nie wiedziałam, jak sobie poradzę.

Nagle rozległ się głośny trzask, przypominający odgłos celnego trafienia kijem baseballowym w piłkę, i już nie musiałam zwracać sobie tym głowy.

Oba cienie przestały się poruszać.

Potem jeden z nich upadł. Odbił się od ziemi i znieruchomiał.

Kto został ranny? Kto upadł? — zastanawiałam się osłupiała. To wtedy zadałam sobie najbardziej przerażające pytanie ze wszystkich. Odebrało mi ono oddech i wbiło się w serce niczym lodowate ostrze.

Kogo bym wołała?

Rozdział 13

Na chwilę wszystko boleśnie zamarło. Cienie na ulicy. Mój oddech. Wydawało się, że nawet deszcz ustał. Zapadła cisza tak absolutna, że aż dzwoniła mi w uszach.

Nagle w oddali rozległ się odgłos uderzenia. Potem kolejny. Łup, łup, łup. Pomyślałam, że to może bicie mojego serca wzmocnione przez strach, ale potem srebrzysty blask rozproszył ciemność.

Do moich uszu dotarło charakterystyczne pulsujące dudnienie głośnej muzyki rapowej i w naszą uliczkę skręciła podrasowana acura, która po chwili wjechała na podjazd przed domem po drugiej stronie ulicy.

Na krótką chwilę potężne reflektory ksenonowe oświetliły przeciwną stronę ulicy, ukazując mi ze szczegółami niezapomnianą scenę.

Wszystko trwało ułamek sekundy, jednak to wystarczyło, aby ten widok na zawsze wrył mi się w pamięć.

Stojącym cieniem okazał się Paul. Ciężko dyszał, trzymając w dłoni kask Scotta niczym pałkę.

Scott leżał u stóp mojego męża, obok jego dłoni spoczywał kij golfowy, a pod głową widniała czarna aureola z krwi.

Właśnie do tego prowadzi zdrada, szepnął mi do ucha jakiś głos. Takie są skutki.

Wtedy zrobiłam najbardziej konstruktywną rzecz, jaka przysłała mi do głowy. Oderwałam się od okna i ukryłam twarz w dłoniach.

Scott leżał bez ruchu na ziemi.

Z mojego powodu.

Wciąż byłam jak sparaliżowana zmaganiem się z nową, oszałamiającą rzeczywistością, kiedy nagle zaniepokoiło mnie coś jeszcze.

Czy Paul jest na tyle wściekły, aby zwrócić się także przeciwko mnie?

Konieczność musiałam wiedzieć, co robi, więc wróciłam do okna.

Co, do diabła?

Tuż za leżącym motocyklem Scotta stał samochód Paula, otoczony kopułą światła. Patrzyłam z przerażeniem, jak mój mąż wrzucił ciało mojego kochanka na tylne siedzenie. Wydawało się, że głowa Scotta uderzyła o futrynę, i usłyszałam jęk.

Co on wyprawia?

W końcu zbiegłam po schodach. Nie mogłam dalej beczynnie na to patrzeć. W myślach powtarzałam zasady udzielania pierwszej pomocy. Oddychanie metodą usta-usta. Byłam już prawie przy drzwiach, kiedy nagle zdałam sobie sprawę z tego, że jestem naga. Szybko wróciłam na górę.

Włożyłam T-shirt i właśnie gorączkowo wciągałam dzinsy, kiedy usłyszałam trzask zamykanych drzwi samochodowych, a potem pisk opon.

Ponownie podbiegłam do okna.

Zdażyłam zobaczyć szybko odjeżdżający samochód Paula.

Zmagając się z bólem w klatce piersiowej i zawrotami głowy, patrząc, jak czerwone tylne światła jego auta znikają w ciemności, pragnęłam zadać mężowi tylko jedno pytanie.

Gdzie, do cholery, zabierasz Scotta?

Rozdział 14

Minęły całe dwie minuty, zanim zrozumiałam, co się prawdopodobnie stało. Dwie minuty, podczas których bezmyślnie opierałam się czołem o zimną, zalaną deszczem szybę. Uśmiechnęłam się, gdy wreszcie dostrzegłam słodką logikę w tym, co zobaczyłam. Po raz pierwszy tej nocy moje serce lekko zwolniło, zbliżając bicie do normalnego tempa.

Paul na pewno zabrał Scotta do szpitala.

Oczywiście, że tak. W końcu doszedł do siebie. To prawda, że na kilka minut stracił nad sobą panowanie. Każdy mężczyzna by się tak zachował po złapaniu faceta, który spał z jego żoną. Jednak kiedy Scott został pokonany, Paul wreszcie się otrząsnął.

Zapewne właśnie podjeżdżają pod izbę przyjęć najbliższego szpitala.

Zadzwoiłam po taksówkę i po czterdziestu trudnych do zniesienia minutach dotarłam do naszego domu w Yonkers. Otworzyłam drzwi na oścież i stanęłam w progu, w ciszy wpatrując się w zegar na kuchence mikrofalowej.

Gdzie jest Paul? Czy nie powinien już wrócić? Co się dzieje?

Uznałam, że mój mąż pojechał do szpitala Lawrence, który był oddalony o mniej więcej dziesięć minut od mieszkania Scotta. Ale minęła już ponad godzina, a on się nie odezwał. Czy wydarzyło się coś jeszcze straszniejszego? Może Paul został aresztowany?

Sprawdziłam automatyczną sekretarkę na piętrze, ale nie było na niej żadnych wiadomości poza komunikatem od ginekologa, dotyczącym mojego pogarszającego się stanu zdrowia. Po kolejnych pięciu minutach, spędzonych na gapieniu się na pustą ulicę, doszłam do wniosku, że powinnam zadzwonić do Paula na komórkę i spytać, co się dzieje. Problem polegał na tym, że nie bardzo wiedziałam, jak to ująć.

Cześć, Paul. Tak, to ja, Lauren. Jak się czuje ten facet, z którym pieprzyłam się za twoimi plecami? Nic mu nie będzie?

W końcu uznałam, że muszę osobiście sprawdzić, co się stało. Czekanie doprowadzało mnie do szaleństwa.

Najwyższy czas, aby stawić czoło sytuacji.

Musiałam pojechać do szpitala. Złapałam pistolet, wrzuciłam go do torebki i wybiegłam z domu.

Rozdział 15

Dzięki Bogu za ABS, pomyślałam, gdy prawie wjechałam swoim mini cooperem w tył lśniącego ambulansu zaparkowanego przed izbą przyjęć szpitala Lawrence.

— Gdzie jest ofiara pobicia? — zawołałam do eleganckiej rudej pielęgniarki, która siedziała za pleksiglasową szybą w recepcji.

— Mój Boże! Została pani pobita? — Zerwała się z miejsca, upuszczając z kolan magazyn „People”.

Rozejrzałam się po poczekalni. Była pusta i, co dziwniejsze, czysta. Uspokajająca muzyka klasyczna sączyła się z głośników pod sufitem. Bronxville, nieprzystojnie bogaty wschodni sąsiad Yonkers, był jedną z najbardziej ekskluzywnych podmiejskich dzielnic Westchester. W szpitalu Lawrence zajmowano się kontuzjami graczy w lacrosse, przypadkami przedawkowania preparatów przeciwtwardzikowych lub obrażeniami początkujących adeptów sztuki jeździeckiej.

Przewróciłam oczami i pobiegłam na parking.

Zakrwawiony anonimowy mężczyzna nie mógł zostać podrzucony pod drzwi szpitala Lawrence, gdyż byłiby tutaj teraz wszyscy

policjanci z Bronxville. A więc gdzie Paul mógł zawieźć Scotta?

Zastanowiłam się, jaki inny szpital znajduje się w pobliżu.

Mój wybór padł na Centrum Medyczne Matki Boskiej Miłosiernej, położone dalej na południe wzdłuż alei Bronx River. Ponownie dodałam gazu na mokrej ulicy.

Z powrotem do prawdziwego Bronksu. Tego bez „ville”.

Po dziesięciu minutach pędzenia na złamanie karku aleją zauważyłam, że okalające ją domki w stylu kolonialnym, o centralnie umieszczonych drzwiach, ustąpiły miejsca mniej urokliwym, surowym kamienicom. Nawet Steve McQueen byłby dumny ze sposobu, w jaki ślizgiem zatrzymałam samochód przed Centrum Medycznym przy East Street numer dwieście dwadzieścia trzy. Wbiegłam do izby przyjęć.

Kiedy w brudnej poczekalni przepchnęłam się na początek długiej kolejki do recepcji, usłyszałam hałaśliwe protesty.

— Czy w ciągu ostatniej godziny przywieziono do państwa jakieś anonimowe ofiary pobicia? — wrzasnęłam do pierwszej pielęgniarki, którą spotkałam.

Okryła zakrwawionym kuchennym ręcznikiem widelec do potraw z grilla, który tkwił w dłoni siedzącej obok niej Latynoski, po czym podniosła na mnie wzrok.

— Leży na trójce — odparła z poirytowaniem. — Kim pani jest, do cholery?

Towarzyszyły mi kolejne krzyki, gdy wbiegłam w otwarte drzwi za jej plecami. Znalazłam łóżko numer trzy i gwałtownie odsunęłam zieloną plastikową zasłonę, która je otaczała.

— Słyszałaś o pukaniu, suko? — wściekle spytał prawie nagi czarny chłopak, próbując zakryć się ręką, która nie była przykuta do

ramy łóżka. Głowę miał szczelnie owiniętą białym bandażem, a przy jego stopach siedział potężny biały policjant w mundurze.

Poczułam złowrogi ucisk w żołądku.

Skoro Scotta tutaj nie ma, pomyślałam...

To gdzie się podział, do cholery? I gdzie był Paul?

— Hej, ziemia do paniusi — odezwał się policjant, strzelając palcami. — Co jest?

Gorączkowo zastanawiałam się nad jakimś kłamstwem, kiedy nagle usłyszałam dwa głośne sygnały dźwiękowe przebijające się przez zakłócenia w jego krótkofalówce.

Chwilowo mnie zignorował, podkreślając głośność. Komunikat był zbyt niewyraźny, abym mogła wszystko zrozumieć, jednak usłyszałam coś o białej ofierze płci męskiej oraz poznałam adres.

Park Świętego Jakuba przy zbiegu Fordham Road i Jerome Avenue.

Biały mężczyzna? Nic z tego. Niemożliwe. To na pewno przypadek.

Zamknęłam usta, kiedy gliniarz ponownie skierował na mnie podejrzliwy wzrok.

— Czyli to nie tutaj zostawia się mocz do badania? — spytałam, cofając się do wyjścia.

Po chwili już wciskałam gaz do dechy, jadąc na południe Bronx River Parkway. Tylko rzucę okiem, myślałam, wpadając na Fordham Road. Żaden problem. To wręcz głupie. Przecież Scott nie może się znajdować w jakimś miejscu zbrodni w Bronksie. Ponieważ jest teraz w szpitalu, gdzie opatrują mu kilka skaleczeń i siniaków. Lekkich skaleczeń i siniaków, zaznaczyłam w myślach.

Jechałam Fordham Road na zachód. Przemknęłam pod znakiem zawieszonym nad uszkodzoną sygnalizacją świetlną, który głośił:

„Bronx powrócił”. A gdzie był? — zastanawiałam się, zerkając na zasłonięte stalowymi żaluzjami hiszpańskie sklepy z odzieżą, które od czasu do czasu przedzierały bary ze smażonymi kurczakami lub restauracje Taco Bell.

Ostro skręcałam w prawo w Jerome Avenue.

Po czym obiema stopami wdusiłam pedał hamulca.

Rozdział 16

Jeszcze nigdy nie widziałam tylu samochodów policyjnych naraz. Stały na chodniku, pod estakadą, zaparkowane niczym wozy osadników w betonowym parku Świętego Jakuba. Każde niebieskie, czerwone i żółte światło migało z pełną mocą. Wokół było mnóstwo żółtej policyjnej taśmy, jak gdyby Christo postanowił zbudować żółto-czarną instalację w Bronksie.

Jedź dalej, szepnął nieznany głos w głębi mojego umysłu. Na pewno jakiś lekarz właśnie zakłada Scottowi szwy. A może Paul już go odwiózł do domu, kto wie?

Natychmiast wynoś się z tego paskudnego miejsca. Wpakujesz się w kłopoty, duże kłopoty, jeśli tu zostaniesz.

Ale nie mogłam odjechać. Musiałam się upewnić. Musiałam zacząć zachowywać się odpowiedzialnie. Od zaraz.

Pojechałam w stronę największego zamieszania.

Szczupły, srebrnowłosy policjant kierujący ruchem wokół świateł popatrzył na mnie wytrzeszczonymi oczami, kiedy niemal na niego najechałam.

Sięgnął po kajdanki, gdy otworzyłam drzwi i prawie wypadłam z samochodu. Kiedy włożyłam rękę do torebki, zmienił zdanie i złapał za glocka.

Ale wtedy ją wyjęłam.

Swoją odznakę.

Złotą odznakę, którą otrzymałam, gdy nowojorska policja awansowała mnie na oficera wydziału dochodzeniowo-śledczego.

— Jezu — odetchnął mundurowy z ulgą, po czym podniósł złotą taśmę za sobą i przywołał mnie gestem. — Trzeba było od razu mówić, że ty służbowo.

Rozdział 17

Byłam policjantką od siedmiu lat, od półtora roku na stanowisku oficera śledczego pierwszego stopnia w wydziale zabójstw w Bronksie. Co oznaczało, że mój współpracownik Scott Thayer również był gliną. Oficerem trzeciego stopnia w brygadzie antynarkotykowej.

Cóż mogę powiedzieć?

Biurowe romanse zdarzają się także w nowojorskiej policji.

Schyliłam się pod żółtą taśmą i udałam w kierunku oślepiających białych światła, które ekipa badająca miejsce zdarzenia zainstalowała na środku parku. Być może na mój osąd wpływał nerwowy nastrój, ale chociaż często widywałam miejsca zbrodni, jeszcze nigdy nie spotkałam się z tak gorączkową atmosferą i tyloma wkurzonymi policjantami. Co tu się stało, do cholery?

Minęłam zardzewiałe drabinki i ścianę do piłki ręcznej pokrytą graffiti.

Zatrzymałam się w ciemności tuż poza kręgiem światła obejmującym niezwykle starą i zabrudzoną spalinami granitową fontannę.

Niebieska plastikowa plandeka wokół jej ozdobnej podstawy

częściowo unosiła się na powierzchni wody, coś zakrywając. Co się znajdowało pod spodem?

Przeczuwałam, że to bynajmniej nie nowe dzieło sztuki, które czekało na odsłonięcie właśnie tutaj, w Bronksie.

Prawie podskoczyłam, kiedy czyjaś dłoń, duża i ciepła, pogładziła sterczące włoski na moim karku.

— Co ty tu robisz, Lauren? — spytał oficer Mike Ortiz z typowym dla siebie szczerym półuśmiechem.

Mike, od roku mój partner, miał czterdzieści kilka lat i był równie niefrasobliwy, jak potężny. Często mylono go z wrestlerem Dwaynem Johnsonem, co zapewne dawało mu pewność siebie, dzięki której mógł sobie pozwolić na pewną dozę beztroski, jak również na wszystko inne, na co miał ochotę.

— Nie powinnaś być teraz w Quantico, rozdając... o, przepraszam, gromadząc wskazówki w akademii FBI?

Moje seminarium w Wirginii, zorganizowane przez wydział analiz behawioralnych FBI i sponsorowane przez nowojorską policję, dotyczyło najnowszych technik dochodzeniowych.

— Spóźniłam się na samolot — bąknęłam. — Polecę jutro rano.

Mike cmoknął językiem i lekko popchnął mnie w stronę oświetlonej fontanny.

— Coś mi się wydaje, że będziesz załowała tego spóźnienia.

Rzucił mi parę kaloszy i gumowych rękawiczek, po czym razem zbliżyliśmy się do okolonej wolutą kamiennej krawędzi fontanny. Powoli naciągnęłam podane akcesoria ochronne, a następnie weszłam do wody.

Lodowata deszczówka sięgała mi do połowy łydki.

Z trudem utrzymując równowagę, ruszyłam naprzód, skupiając się na odbiciach policyjnych świateł wewnątrz otworów wyżłobionych w kamiennej powierzchni. Przypominają malutkie fajerwerki,

pomyślałam, brodząc w wodzie coraz bliżej plandeki. Czerwone i niebieskie świetliste kwiatki. Trochę nierealne, tak jak wszystko inne tej nocy.

To głupota, pomyślałam z przekonaniem, podchodząc coraz bliżej.

Ponieważ pod plandeką na pewno leży jakiś handlarz narkotykami. Albo zwykły ćpun. Ludziom takim jak ja zawsze trafiają się podobne przypadki.

W końcu znalazłam się obok niebieskiej plandeki w gorącym i bezlitosnym świetle przenośnych reflektorów. Koniec zwlekania. Teraz już nie mogłam się wycofać, nawet gdybym chciała. Mike Ortiz był tuż za mną.

— Czyń honory, Lauren.

Wstrzymałam oddech.

Następnie odsunęłam plandekę.

Rozdział 18

Jeżu Chryste, pomóż mi, pomyślałam.

Moja kolejna myśl była jeszcze dziwniejsza.

Kiedy miałam siedem lat, dostałam piłkę do softballu prosto w klatkę piersiową. Zdarzyło się to podczas meczu między policjantami a strażakami, który towarzyszył dorocznemu grillowi w irlandzkiej części Bronksu. Stałam wtedy na linii przy pierwszej bazie i dopingowałam swojego tatę sierżanta, który właśnie rzucał piłkę ze wzniesienia dla miotacza. Zupełnie nie pamiętam samego momentu uderzenia. Podobno zatrzymało mi się serce. Mój ojciec musiał mnie reanimować, dopóki lekarze nie poddali mnie defibrylacji. Nie pamiętam żadnego światła na końcu tunelu ani aniołów stróżów o słodkich obliczach, wzywających mnie do nieba. Tylko ból i bezgłośnie poruszające się usta dorosłych, którzy na mnie patrzyli, widziane jak gdyby przez niezwykle grubą tafłę szkła.

Kiedy teraz spojrzałam w dół, odniosłam identyczne wrażenie oderwania od rzeczywistości.

Zobaczyłam ciepłe brązowe oczy wpatrujące się we mnie spod trzydziestu centymetrów zakrwawionej deszczówki.

W tamtej chwili o mało nie przytuliłam Scotta. Chciałam paść do wody w ubraniu tuż obok niego i go objąć.

Tylko nie mogłam się ruszyć.

Przypomniałam sobie nasze pierwsze spotkanie, na posterunku czterdziestym ósmym pod Cross Bronx Expressway. Wyrabiałam nadgodziny w biurze wydziału zabójstw na piętrze, a Scott w wydziale antynarkotykowym na parterze. Kiedy automat z napojami w świetlicy odmówił przyjęcia mojego banknotu dolarowego, Scott pożyczył mi pieniądze. Wdusiłam przycisk i z otworu wypadły dwie dietetyczne cole.

— Nie martw się — uśmiechnął się. W tamtym momencie prawie można było usłyszeć odgłos, z jakim spotkały się nasze spojrzenia. — Biuro Spraw Wewnętrznych się nie dowie.

Z trudem przełknęłam ślinę, stojąc w strugach deszczu. Spojrzałam na drobne kręgi, wywołane przez spadające krople ponad martwymi oczami Scotta.

— Jeden z mundurowych go zidentyfikował. Nazywał się Scott Thayer — odezwał się Mike. — To oficer z oddziału antynarkotykowego z Bronksu. Jeden z naszych, Lauren. Gorzej być nie może. Ktoś zabił policjanta.

Uniosłam dłoń do załzawionych oczu. Miałam ochotę je wyrwać.

— Został bardzo ciężko pobity — ciągnął mój partner, a jego głos brzmiał w moich uszach tak, jakby dobiegał z najdalszych zakątków kosmosu.

Skinęłam głową. Powiedz mi coś, czego nie wiem.

I wtedy Mike to zrobił.

— Praktycznie przerobiony na miazgę — rzekł z coraz wyraźniej wyczuwalnym gniewem. — A potem ktoś go zastrzelił.

Rozdział 19

Zastrzelił?

— Widzisz wlot rany pod szczęką po lewej stronie? — wskazał mój partner, cały czas mówiąc cichym, smutnym głosem.

Przyjrzałam się i skinęłam głową. Nie mogłam uwierzyć, że wcześniej tego nie zauważyłam. Rana przypominała umieszczony w niewłaściwym miejscu pepek. Zadrżałam, gdy nagle przypomniałam sobie dotyk zarostu Scotta na swoim brzuchu.

— No i rogówki.

Przytaknęłam. Kilka godzin po śmierci rogówki czasami robią się zamglone. U Scotta były klarowne, co oznaczało, że umarł bardzo niedawno.

— Ma kaburę przypiętą do kostki, ale broń zniknęła — zauważył Mike. — To mała kabura, więc nie jestem pewien, czy był w niej służbowy pistolet... może raczej broń przeznaczona do podrzucenia, na wypadek gdyby wplątał się w jakąś strzelaninę. Kto wie co tutaj robił. Tak czy inaczej, lepiej trafić przed sąd niż do trumny, prawda? Niestety, Scott spóźnił się na rozprawę. Bóg z nim.

Oto jeden z powodów, dla których lepiej nie angażować się w romanse w pracy, pomyślałam, kiedy po chwili wyszłam z fontanny i ciężko opadłam na jej zimną, wilgotną krawędź.

Mój mózg służył niewielką pomocą, ponieważ zafiksował się na jednym słowie. Kołatało mi się ono w umyśle, szalejąc niczym uwięziony ptak szukający wyjścia.

Dlaczego?

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Przecież Scott żył. Słyszałam jego jęk, kiedy Paul wsadzał go do samochodu. Pracowałam w wydziale zabójstw, byłam wyszkolonym ekspertem, więc się na tym znałam. Scott żył.

Właśnie, żył, pomyślałam, zerkając to na plandekę, to na ziemię pod stopami. Po chwili zauważyłam, że tak naprawdę to wcale nie plandeka, tylko kocyk Neat Sheet.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem. Dokładnie pamiętałam wyprawę do sklepu Stop & Shop, podczas której kupiłam ten kocyk Paulowi, aby mógł go wozić w bagażniku samochodu.

Paul, ty idioto, pomyślałam, a z oczu popłynęły mi łzy.

Ty głupi, cholerny idioto.

— Wiem, Lauren — powiedział Mike, siadając obok mnie. — Równie dobrze to mogłaś być ty. Albo ja. Pomyśl tylko, wszystko, do czego dążył. Wszystko, co lubił. Wszystko, na co czekał. — Ponnuro pokręcił głową. — Zatopione w jakiejś fontannie w Bronksie niczym worek śmieci.

Przez chwilę czułam potworny ciężar poczucia winy. Chęć przyznania się wisiła nade mną jak oczekująca lawina. Wystarczyło tylko odwrócić się do swojego partnera i wyrzucić z siebie całą prawdę. Powiedzieć mu o wszystkim. Ogłosić koniec życia takiego, jakie znałam.

Ale nie potrafiłam się zmusić do mówienia. Przynajmniej nie teraz. Czy było to jakieś instynktowne pragnienie, by ochronić Paula? Ochronić siebie? Nie wiem, naprawdę nie wiem.

W każdym razie niczego nie wyznałam i ta chwila minęła. Zatrzymałam swoje myśli dla siebie, drżąc i płacząc.

Rozdział 20

Wciąż wycierałam oczy, kiedy przed moimi gumiakami zatrzymały się znoszone czarne buty.

Uniosłam głowę i zobaczyłam swojego szefa, porucznika Pete'a Keane'a, Irlandczyka o jasnej skórze i dziecięcej twarzy, chudego niczym szkielet. Kierownik wydziału zabójstw w Bronksie mógłby uchodzić za podstarzałego ministranta, gdyby nie surowe szare oczy, których źrenice przypominały główki gwoździ.

— Lauren — odezwał się. — Przyjechałaś, kiedy usłyszałaś złe wieści, co? Bardzo się cieszę, że jesteś. Nie będę musiał sam do ciebie dzwonić. Chciałbym, żebyś poprowadziła to śledztwo. Ty i Mike stworzycie idealną drużynę. Mogę na was polegać, prawda?

Wbiłam w niego wzrok. Sprawy toczyły się w zastraszającym tempie. Ledwie zdążyłam oswoić się z faktem, że Scott nie żyje, a mój szef już chce, abym zajęła się śledztwem?

Nagle przyszło mi do głowy, że Keane dowiedział się o naszym romansie. Jezu. Może podejrzewa, że wiem coś o śmierci Scotta, i teraz mnie sprawdza. Czy właśnie o to chodziło?

Nie, pomyślałam. To niemożliwe. Nikt w pracy nie wiedział. Scott i ja bardzo uważnie zacieraliśmy ślady. Zresztą nie doszło między nami do niczego poza flirtem i kilkoma wspólnymi posiłkami. Oczywiście do dzisiaj.

Wydawało się, że tej nocy między mną a Scottem wydarzyło się wszystko co tylko możliwe.

Pete Keane po prostu lubił przydzielać mi duże sprawy, rozumiałam, głęboko wciągając powietrze, aby odpędzić paranoiczne myśli. W naszym oddziale nie brakowało oficerów wyższych ode mnie rangą, jednak ja, jego „glina-prawniczka”, jak mnie często nazywał, byłam perfekcjonistką. W swojej pracy w wydziale zabójstw robiłam użytek z wiedzy wyniesionej ze szkoły prawniczej. Metodycznie trzymałam się przepisów, byłam dokładna, znakomicie zorganizowana i miałam świetne wyniki. Prokuratorzy okręgowi bili się o moje sprawy, gdyż sporządzane przeze mnie raporty nadawały się do czytania podczas rozpraw.

To dochodzenie zapowiadało się na poważne polityczne zamieszanie, więc wszystko oprze się na raportach, które trzeba będzie ślać w górę hierarchii praktycznie co godzinę.

Niczego tak bardzo nie pragnęłam, jak uciec stąd w cholerę. Potrzebowałam czasu do namysłu, aby przyjrzeć się fragmentom swojego roztrzaskanego życia.

Poczułam silny ucisk w żołądku. Wszystko sprowadzało się do tego, że nie potrafiłam wymyślić przekonującej wymówki, aby nie przyjmować tej sprawy. Chwilowo miałam pustkę w głowie.

— Jak sobie życzysz, Pete — powiedziałam w końcu.

Szef przytaknął.

— Scott Thayer — rzekł, powoli kręcąc głową. — Cholera, miał dwadzieścia dziewięć lat. Niewiarygodne. Znaliście go chociaż?

Mike podmuchał swoją kawę i pokręcił głową. Szef zwrócił się w moją stronę.

— A ty, Lauren?

Jak mogłabym zaprzecić się Scotta? Zaledwie kilka godzin temu patrzył mi prosto w oczy i głaskał mnie po włosach, gdy leżeliśmy w jego łóżku. Teraz spoczywał martwy na kamiennej płycie, a na jego twarzy widniał grymas bólu zarezerwowany dla tych, którzy umierają w całkowitej samotności.

Kolejka numer 4 z piskiem przejechała po estakadzie na Jerome Avenue za naszymi plecami. Niebieskobiałe iskry uderzyły w mroczne oblicza pobliskich kamienic.

— Nazwisko chyba brzmi znajomo — skłamałam, zdejmując gumową rękawiczkę.

Moje pierwsze kłamstwo, pomyślałam, spoglądając na morze policyjnego błękitu i błyskające ogniście światła radiowozów.

Czułam, że nie ostatnie.

Rozdział 21

— Powiedźcie, co już macie — rzekł Keane. — Komendant właśnie zjechał z mostu Whitestone, muszę mu coś wcisnąć i to powinno starczyć na dłużej. Jakie są wasze wstępne ustalenia po obejrzeniu miejsca zbrodni? Pierwsze wrażenia?

— Rozległe rany szarpane i obrażenia twarzy — odparł Mike. — A także jedna rana postrzałowa pod szczęką po lewej stronie. Może więcej, ale wciąż czekamy na lekarza sądowego, żeby móc odwrócić ciało.

— Jaki kaliber?

— Średni. Może trzydziestkaósemka — zgadywał mój partner, wzruszając ramionami.

— Znaleźliście broń służbową lub odznakę?

Mike ponuro pokręcił głową.

— Na pierwszy rzut oka wydaje się, że ktoś Thayera strasznie pobił, zastrzelił, a potem tutaj podrzucił. Ktoś wyjątkowo na niego wściekły.

— Zgadzasz się z tym, Lauren? — zwrócił się do „wie szef. Skinęłam głową i odchrząknęłam.

— Tak to wygląda — odparłam.

— Dlaczego twierdzicie, że ktoś go podrzucił? — spytał Keane.
— Jesteście pewni, że Thayera nie zabito na miejscu?

— W fontannie jest za mało krwi. Poza tym na jego ubraniu są ślady błota i trawy — wyjaśnił Mike. — Ten park nie widział trawy od czasów Irokezów.

— Jak najszybciej przeprowadźcie wywiad środowiskowy — zlecił porucznik. — Porozmawiajcie z lekarzem sądowym i ekipą, która zabezpieczała miejsce zbrodni, a potem zasuwaszcie do gabinetu Thayera i sprawdźcie jego papiery. Zobaczcie, nad czym pracował. Już dzwonimy do pozostałych członków wydziału antynarkotykowego. Popytajcie ich, kiedy się tu zjawią. Pogadajcie z całym oddziałem.

Keane się odwrócił, kiedy pod estakadą zatrzymała się świta złożona z czterech samochodów, które szybko nadjechały z południa. Poklepał mnie po ramieniu ojcowskim gestem.

— Pewnie spróbują przekazać dochodzenie tym primadonnom z wydziału głównego, ale nie pozwolę na to. To się stało na naszym podwórku. Nie zawiedźcie mnie.

Rozdział 22

Nie zawieść mojego szefa? — pomyślałam tępo, gdy Pete Keane się oddalił.

Nie będzie łatwo.

Zaraz, zaraz, a gdzie jest Paul? Tak bardzo byłam na niego wściekła, że nawet nie przyszło mi do głowy, aby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Po raz pierwszy poczułam niepokój.

Przecież równie dobrze on też mógł zostać zastrzelony! To rzeczywiście miało sens.

Najpierw zadzwoniłam na jego komórkę. Poczułam gwałtowny ucisk w żołądku, gdy odezwała się poczta głosowa.

Musiałam sprawdzić, czy nic mu się nie stało.

— Cholera — powiedziałam, uderzając się w czoło telefonem, po czym podniosłam wzrok na swojego partnera. — Nie uwierzysz, ale wczoraj w nocy w ogóle nie mogłam zasnąć, więc postanowiłam upiec ciasto. No i zostawiłam je w piekarniku. Muszę zajrzeć do domu. Uda ci się mnie kryć przez jakieś pół godziny?

— Słucham? — odparł Mike, kręcąc głową. — To nasza największa sprawa, a ty... A co piekłaś?

— Murzynka.

— No dobra, kuchareczko — rzekł, cmokając z niedowierzaniem. — Na razie jesteś kryta. I tak musimy czekać na lekarza sądowego. Jeśli ktoś o ciebie spyta, powiem, że pojechałaś do gabinetu Scotta. Ale lepiej niech się pani pospieszy, pani śledcza, bo obawiam się, że porucznik nie będzie zachwycony, jeśli cię nie zastanie po powrocie, i nawet nocna przekąska go nie udobrucha.

Zrobiłam, jak mi kazał. Dzięki ciężkiej stopie i przenośnemu policyjnemu kogutowi, którego trzymałam w mini Cooperze, udało mi się dotrzeć do domu w mniej więcej osiem minut.

Ale kiedy wspięłam się na szczyt wzniesienia na naszej ulicy i zobaczyłam samochód Paula na naszym podjeździe oraz światło w oknie sypialni, zdjęłam nogę z gazu. Zalała mnie fala ulgi.

Przynajmniej Paul wrócił do domu.

Rozdział 23

Widok samochodu podsunął mi pewien pomysł. Mój mózg narazie zaczął właściwie pracować. Zgasiłam reflektory, wyłączyłam syrenę i światło na dachu, po czym dyskretnie podjechałam do swojego domu, zupełnie jakbym planowała włamanie. Musiałam dowiedzieć się jak najwięcej przed konfrontacją z Paulem. Zaparkowałam kilkadziesiąt metrów od domu i resztę drogi pokonałam piechotą.

Drzwi toyoty były zamknięte, jednak szybko sobie z nimi poradziłam za pomocą wytrycha, który wyjęłam z bagażnika swojego samochodu. Zatrzymałam się przy drzwiach od strony kierowcy, gdzie w nozdrza uderzył mnie silny zapach. Sosnowy płyn do czyszczenia oraz wybielacz. Ktoś tu sprzątał. Otrząsnęłam się z emocji, wzięłam głęboki wdech, po czym włączyłam małą latarkę.

Odkryłam tylko kilka kropel krwi pod dywanikiem przed prawym tylnym siedzeniem.

Znalezienie otworu po kuli zajęło mi zaledwie trzy minuty.

Był pod zagłówkiem fotela kierowcy. Pocisk wbił się w siedzenie, ale nie wyleciał z drugiej strony. Podłubałam w otworze ostrzem swojego leathermana, którego zawsze nosiłam przy sobie, i po chwili

trafiłam na coś twardego. Po kilku kolejnych ruchach spłaszczona ołowiana kula wypadła z otworu prosto na moją dłoń.

Schowałam pocisk do torebki, zamknęłam oczy i spróbowałam wyobrazić sobie całe zdarzenie.

Paul zapewne prowadził, gdy Scott, leżąc na tylnym siedzeniu, odzyskał przytomność. Zdezorientowany i wystraszony wyciągnął pistolet z kabury na kostce i strzelił do mojego męża. Pierwszy pocisk trafił w zagłówek.

Paul się odwrócił, próbując odebrać Scottowi broń. Wtedy wypaliła po raz drugi.

Prosto w szczękę Scotta. Jezu Chryste.

Wciągnęłam do płuc powietrze przesiąknięte ostrą wonią wybielacza i kontynuowałam odtwarzanie wydarzeń.

Paul wpadł w panikę. Wiedział, że od zabójstwa policjanta, nawet w samoobronie, nie sposób się wykręcić. Dlatego szybko obmyślił plan, najlepszy, jaki mógł. Scott był gliniarzem. Kto zabija gliniarzy? Handlarze narkotykami. Pojechał więc do Bronksu i znalazł okolicę uczęszczaną przez dealerów. Tam zostawił ciało, po czym wrócił do domu i wyczyścił samochód.

Pokręciłam głową, a łzy ponownie napłynęły mi do oczu. Przez mniej więcej pięć minut klęczałam w miejscu, w którym Paul zabił Scotta, i płakałam, aż rozbolewały mnie oczy.

To nie fair. To nie w porządku. Wystarczył jeden błąd i trzy życia legły w gruzach. W końcu otarłam łzy, wysiadłam z samochodu i ruszyłam w stronę domu. W stronę Paula.

Ale najpierw lekko zboczyłam z trasy.

Rozdział 24

Jestem oficerem śledczym w wydziale zabójstw, i to dość dobrym, więc bez trudu znalazłam pistolet i odznakę Scotta w ogrodowej szopie na narzędzia.

Wysprzątanie miejsca zbrodni wymaga mnóstwa pracy oraz użycia środków czyszczących. Nie znalazłam żadnych dowodów w koszu na śmieci przed garażem, więc sprawdziłam kolejne przewidywalne miejsce. Za drzwiami szopy stała jedna z toreb, w których trzymaliśmy odpadki. Wystawały z niej krwistoróżowe papierowe ręczniki.

Pod torbą leżały odznaka Scotta oraz pistolet, z którego Paul go zastrzelił.

Był to rewolwer colt .38 o krótkiej lufie, model Detective Special. Rzeczywiście okazał się czymś specjalnym. Podniosłam go, używając jednego z papierowych ręczników. Otworzyłam komorę i spojrzałam w ciemne otwory, w których brakowało dwóch pocisków.

Ostrożnie wsunęłam broń z powrotem pod torbę, po czym zamknęłam szopę. Szłam podjazdem w stronę drzwi wejściowych, kiedy moja komórka zaczęła wibrować.

Sprawdziłam, kto dzwoni, a następnie zerknęłam na rozświetlone

okno sypialni. Ukryłam się w cieniu obok drzwi garażu.

Dzwonił Paul.

Czego chciał? Czy powinnam odebrać i z nim porozmawiać? Czy mnie zobaczył? Stchórzyłam i pozwoliłam, aby nagrał się na pocztę głosową. Kilka sekund później odtworzyłam wiadomość.

„Cześć, Lauren, to ja. Jestem w domu. Miałem małe problemy ze swoim lotem. Później wyjaśnię, co się stało. Czy ty też miałaś jakieś komplikacje? Zauważyłem, że twój samochód zniknął. Jesteś w pracy? Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz mogła, dobrze? Martwię się o ciebie”.

On się martwi o mnie? — pomyślałam, wpatrując się w okno. Dlaczego? Przecież nikogo nie zabiłam.

Czy sytuacja mogła się stać jeszcze bardziej dziwna? W każdym razie dobrze, że nic mu się nie stało, pomyślałam, zamykając kłapkę telefonu.

Przynajmniej fizycznie było z nim wszystko w porządku.

Głęboko wciągnęłam powietrze w płuca, przystając obok schodów prowadzących na werandę, i przygotowując się do wejścia do domu i stanięcia z mężem twarzą w twarz, kiedy mój telefon ponownie zaczął wibrować.

Ale tym razem nie dzwonił Paul.

To był mój partner. Cofnęłam się w cień obok garażu i odebrałam połączenie.

— Mike?

— Czas minął, Lauren. Keane wkrótce tu będzie. Nie uda mi się zbyt długo cię kryć. Musisz natychmiast wracać.

— Już jadę.

Ponownie spojrzałam na okno sypialni. Na co czekam, do cholery? Dlaczego kręcę się w ciemnościach przed własnym domem?

Muszę wejść i porozmawiać z mężem. Zażegnać ten kryzys. Zadzwoić do dobrego prawnika. Zachowywać się racjonalnie, jak osoba dorosła. Jakoś to wszystko rozwiązać.

Wystarczyło spojrzeć Paulowi w oczy i powiedzieć: „Tak, zdradziłam cię. Tak, dziś w nocy kochałam się z innym mężczyzną, a teraz musimy sobie poradzić ze strasznymi konsekwencjami tego, co zrobiłeś”.

Myślałam o tym, stojąc w deszczu.

Nie lubiłam zwlekać, jednak w tym przypadku postanowiłam zrobić wyjątek.

Kryjąc się w cieniu, przemknęłam z powrotem do swojego samochodu.

Rozdział 25

Zostawiłam samochód na bulwarze Grand Concourse i oszołomiona powędrowałam Sto Dziewięćdziesiątą Trzecią Ulicą, próbując jakoś ogarnąć myślami tę katastrofę. Spotkałam Mike'a przy południowym wejściu do parku, znacznie oddalonym od Jerome Avenue, gdzie nasi szefowie urządzili centrum dowodzenia.

Rzuciło mi się w oczy kilka nowych furgonetek zaparkowanych wzdłuż ulicy. Świetnie. Społeczeństwo ma prawo wiedzieć. A niby dlaczego, jeśli mogę spytać?

— Ktoś zauważył, że mnie nie było?

Mike zrobił zboląłą minę.

— Niestety, Lauren. Komendant przyjechał jakieś dziesięć minut temu i wściekł się, że cię nie zastał.

Poczułam gwałtowny ucisk w żołądku.

— Ale znasz mnie — dodał mój partner. — Potrząsnąłem nim trochę i kazałem mu zabierać dupę w troki i wracać do knajpy z pączkami, gdzie jego miejsce.

Zdzieliłam żartownisia pięścią w ramię. Okazało się to nawet przyjemne.

— Doceniam to — powiedziałam. Mike nawet nie miał pojęcia jak bardzo.

Deszcz nie przestawał padać, gdy szliśmy w stronę kamienic przy Crestón Avenue po wschodniej stronie parku. Jeśli oczywiście dwa akry betonowych boisk do piłki ręcznej, zardzewiałych obręczy do koszykówki i huštawek przeżutych przez pitbulle można nazwać parkiem.

Nie wiem, czego patronem jest święty Jakub, ale podejrzewam, że nie są to marihuana, koka i heroina, które sprzedaje się w starych budynkach wokół parku. Sądząc po spojrzeniach, którymi obdarzali nas młodzi, znudzeni, zakapturzeni mężczyźni, stojący pod czerwoną plastikową markizą sklepiku na rogu, nasza obecność wyraźnie spowolniła handel.

— Sierzancie, liczę na to, że ma pan dla nas jakieś dobre wiadomości po rozmowach z ludźmi — odezwał się Mike do potężnego czarnoskórego policjanta, który wypełniał raport w otwartych drzwiach blokującej przejazd policyjnej furgonetki.

Ten podniósł wzrok, pokazując rozczarowaną twarz. Świetnie, pomyślałam. Rozczarowanie to dobra wróżba.

— Znaleźliśmy niejaką Amelię Phelps, osiemdziesięcioletnią Afroamerykankę, która mieszka w tamtej ruderze — powiedział sierżant, pokazując obłożony winylem wiktoriański budynek na rogu. — Widziała jakiś samochód, który zaparkował niedaleko jej podjazdu — kontynuował sierżant — a także mężczyznę, który wyjął coś z bagażnika.

— Białego, czarnego, Latynosa? — spytał Mike.

Przerwał mu głośny krzyk.

Tak to się kończy! wołał jeden z miejscowych, którzy stali przed sklepikiem, rozkładając przy tym ręce — Gliny nareszcie dostały za swoje! — wrzasnął ponownie. — Najwyższy czas!

Mike ruszył w stronę zebranych tak szybko, że musiałam biec, aby za nim nadążyć.

— Co powiedziałaś? — spytał, przykładając rękę do ucha, po czym schylił się pod policyjną taśmą i zbliżył do mężczyzn przed sklepikiem.

Większość sprzedawców z parku Świętego Jakuba przezornie rozproszyła się po okolicy, ale jeden hałaśliwy, szczupły, zielonooki, jasnoskóry Latynos z jakiegoś powodu nie ruszał się z miejsca. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat.

— Co? Prawda w oczy kole? — zawołał do Mike'a, przekrzywając drobną głowę niczym kogut. — To spróbuj coś z tym zrobić, koleś.

Mój partner zdjął metalową pokrywę z kosza na rogu i obiema rękami rzucił nią w chłopaka, jak gdyby podawał mu piłkę do koszykówki. Stalowa krawędź pokrywy trafiła chłystka, który wylądował na plecach w rynsztoku. Mike podniósł kosz i odwrócił go nad dzieckiem, zasypując go śmieciami.

— Może być? — spytał.

— On nie jest tego wart — szepnęłam mu do ucha, kiedy go dogoniłam. — Chcesz trafić do pudła z powodu takiego łachudry? Otrząśnij się, Mike. Wszędzie pełno naszych przełożonych.

Potań żyłę, która pulsowała mu na skroni, i w końcu pozwolił mi się odciągnąć.

— Masz rację. Masz rację, partnerko — wymamrotał ze spuszczoną głową. — Przepraszam, straciłem nad sobą panowanie.

Wtedy sobie przypomniałam.

Mike był synem policjanta, który zginął na służbie. Jego tata

patrował środki transportu. Pewnego dnia w metrze złapał na gorącym uczynku gwałcicieli i dostał kulkę w głowę. Było to jedno z niewielu morderstw dokonanych na nowojorskich policjantach, które nigdy nie zostało wyjaśnione.

A więc istnieje coś, co może wyprowadzić z równowagi mojego spokojnego partnera, pomyślałam, ciągnąc go w stronę domu świadka.

Martwy policjant.

Sytuacja wyglądała coraz weselej.

Rozdział 26

A oto i nasz świadek. Co dokładnie widział? Amelia Phelps, drobna stara Murzynka, okazała się emerytowaną nauczycielką angielskiego z liceum w Bronksie.

— Czy napiją się państwo herbaty? — spytała z idealną dykcją, wprowadzając nas do swojego zakurzonego, zapuszczonego salonu. Każde wolne miejsce zajmowały książki, które piętrzyły się na wysokość piersi niczym śmieci na wysypisku.

— Dziękujemy, pani Phelps — odpowiedział Mike, wyjmując okulary i zakładając je na nos. — Jak pani wie, w parku znaleziono martwego policjanta. To właśnie my prowadzimy dochodzenie. Czy może nam pani jakoś pomóc?

— Samochód, który widziałam, to toyota — odparła pani Phelps. — Wydaje mi się, że toyota camry, nowy model. Mężczyzna, który z niej wysiadł, był biały i miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Nosił okulary i ciemne ubranie. Początkowo sądziłam, że pojawił się tutaj z tego samego powodu, dla którego zazwyczaj odwiedzają nas biali, czyli w celu zakupienia nielegalnych środków odurzających od chłopców z sąsiedztwa. Jednak po

chwili z pewnym zdziwieniem zauważyłam, że otworzył tylne drzwi samochodu i wyciągnął coś dużego, owiniętego w niebieski materiał. Mogło to być ciało. Wrócił mniej więcej po pięciu minutach z pustymi rękami, po czym odjechał.

Zerknęłam na Mike'a. Jego radosne oszołomienie dorównywało mojemu zniechęceniu.

Ponieważ ta była nauczycielka z Bronksu okazała się wyjątkowym świadkiem. W naszej pracy spotkaliśmy się już ze strzelaninami, do których dochodziło w biały dzień na stacji benzynowej, a żadna z dwudziestu obecnych na miejscu osób niczego nie zauważyła. Zdarzyło nam się także rozmawiać z gośćmi weselnymi, ostrzelanymi z jadącego samochodu, niezdolnymi choćby w przybliżeniu opisać sprawców.

Tymczasem tutaj mieliśmy przypadek podrzucenia zwłok w środku nocy w miejscu spotkań handlarzy narkotykami, czyli najtrudniejsze z możliwych śledztw, i trafiła nam się babcia, która dysponowała wręcz fotograficzną pamięcią.

— Zapisała pani numer rejestracyjny? — spytał Mike zgodnie z oczekiwaniami.

O nie, pomyślałam, mrużąc oczy. Proszę, Boże, niech ona zaprzeczy.

— Nie — odparła nauczycielka.

Musiałam się bardzo postarać, aby głośno nie odetchnąć.

— Było zbyt ciemno? — zapytał mój partner, wyraźnie rozczarowany.

— Nie — rzekła pani Phelps, spoglądając na niego, jak gdyby był uczniem, który zapomniał podnieść rękę. — Nie było żadnych tablic.

Czy zadzwoniła pani na policję i opowiedziała o tym, czego była świadkiem? — spytałam. Nauczycielka poklepała mnie po kolanie.

— W tej okolicy, pani porucznik, trzymanie się z dala od nie swoich spraw jest wyuczoną koniecznością.

— Dlaczego więc powiedziała pani policjantowi, który zapukał do pani drzwi, że coś pani widziała? — Mike nie ukrywał zaciekania.

— Ponieważ mnie o to spytał — odparła kobieta, sztywno kiwając głową. — Nie mam w zwyczaju kłamać.

Przynajmniej pani może to o sobie powiedzieć, pomyślałam.

— Czy podczas okazania podejrzanych umiałaby pani wskazać mężczyznę, którego pani widziała? — Zmusiłam się do uśmiechu.

— Bez wątpienia.

— To wspaniale — rzekłam i dałam pani Phelps swoją wizytówkę. — Będziemy w kontakcie.

— Może pani na to liczyć — dodał Mike.

Rozdział 27

Kiedy opuściliśmy dom Amelii Phelps i z powrotem weszliśmy do parku, Mike zatknął swoje dwuogniskowe okulary na czubku głowy. Mamrotał coś entuzjastycznie pod nosem, przeglądając notatki z rozmowy. Wydawał się napompowany energią. Zapewne czuł, że zbliżamy się do zabójcy. Znałam to wspaniałe uczucie. Bycie oficerem śledczym, stanie po stronie dobra.

Strasznie mi go brakowało.

Miałam olbrzymie wyrzuty sumienia z powodu tego, że okłamałam Mike'a i resztę funkcjonariuszy, którzy wystawali teraz na deszczu. Kiedy ginie policjant, dotyka to wszystkich gliniarzy. Oczywiście pierwszą reakcją jest wściekłość, ale pod nią kryje się lęk, który nie daje spokoju. Czy popełniliśmy błąd, wybierając tak niebezpieczną pracę? Czy warto ryzykować życie?

Wiedziałam, że moi koledzy i współpracownicy cierpią i trudno jest im się pozbierać. Wyznając prawdę, pomogłabym im się pozbyć tego nerwowego napięcia. Myśl o tym, że komuś jeszcze mogłaby stać się krzywda, niemal przyprawiała mnie o mdłości.

Zamknęłam oczy, słuchając trzasków policyjnego radia oraz szumu deszczu w koronach drzew.

Nikomu nie powiedziałam, co tak naprawdę stało się ze Scottem.

Stałam ze spuszczoną głową i zaciśniętymi ustami.

Podniosłam wzrok dopiero, gdy ujrzałam jakieś zamieszanie obok fontanny.

Ponad dwudziestu mundurowych ustawiło się w dwóch równoległych rzędach, które połączyły fontannę z czarnym samochodem lekarza sądowego, zaparkowanym pod zardzewiałą estakadą na Jerome Avenue.

— Wyjmują go — powiedział jeden z policjantów, mijając mnie i zajmując miejsce w rzędzie.

Honorowa gwardia złożona z sześciu funkcjonariuszy ostrożnie weszła do wody i przejęła od zespołu lekarskiego zielonoczarne worek na zwłoki, w którym umieszczono Scotta. Trzymali go tak, jakby był chory, a nie martwy. Mój Boże, chciałabym, aby tak było. Pragnęłam cofnąć czas i powtórzyć tę noc, jej każdą sekundę.

Ktoś w tym stojącym bez ruchu, ciemnogrnatowym oddziale zaintonował irlandzką pieśń Danny Boy, śpiewając wysokim, czystym, zniewalającym tenorem, który wpędziłby w kompleksy samego Ronana Tynana.

Czy chcielibyście poznać definicję słowa „żałość”? Co powiecie na sześciu policjantów, którzy powoli niosą swojego martwego kolegę między mrocznymi kamienicami Bronksu w padającym deszczu i przy dźwiękach ponurej pieśni. Czy Scott w ogóle był Irlandczykiem? Nie wiedziałam. Pewnie wszyscy martwi gliniarze są Irlandczykami.

Kiedy procesja mnie mijała, przyglądałam się, jak krople deszczu rozpryskują się na worku ze zwłokami niczym święcona woda. Wszędzie dookoła mężczyźni nie kryli łez.

Nawet komendant, który stał obok karawanu, zakrył oczy dłońmi.

Kiedy Scotta wkładano na tył samochodu, zupełnie jak teczkę z dokumentami chowaną do szuflady, nad głowami przejechał nam pociąg linii 4, który zabrzmiał jak werbel.

Łzy pociekły mi z oczu, jak gdyby ktoś przeciął moje kanaliki łzowe.

Rozdział 28

Kątem oka dostrzegłam jakąś białą rozmazaną plamę i nagle otoczyła mnie ściana ciepłego tyweku.

— Och, Lauren — szepnęła mi do ucha Bonnie Clesnik, koleżanka z akademii, mocno mnie przytulając. — To takie straszne. Biedny facet.

Bonnie przygotowywała się do studiów medycznych na Uniwersytecie Nowojorskim, ale porzuciła uczelnię i została policjantką. Obecnie była sierżantem w zespole, który zabezpieczał miejsca zbrodni. Jako jedyne kobiety w oddziale składającym się głównie z dwudziestodwuletnich gładkich chłopców z Long Island, szybko znalazłyśmy wspólny język. Tak często nocowałam w mieszkaniu na poddaszu przy St. Mark's Place, które należało do Bonnie i jej partnera Tatuma, że nazwali materac moim imieniem.

Wydobyła z głębi kombinezonu chusteczki higieniczne. Jedną wytarła kąciki oczu, kolejną wręczyła mnie.

— Tylko na nas popatrz — zaśmiała się. — Prawdziwe twardełki, co? Ile to już czasu? Rok? Masz nową fryzurę. Podoba mi się.

— Dzięki — rzekł Mike, wchodząc między nas. — Po prostu umyłem włosy. Z kim mam przyjemność?

— Bonnie, ten błazen to Mike, mój partner. Myślałam, że pracujesz na dzienną zmianę.

— Kiedy usłyszałam, co się stało, od razu tu popędziłam, tak jak wszyscy. Nie widziałam tyłu gliniarzy w jednym miejscu od czasu parady w Dniu Świętego Patryka. Albo od jedenastego września. — Zdjęła torebkę termoizolacyjną, którą miała zawieszoną na piersi obok kilku aparatów fotograficznych. — Ale cieszę się, że przyjechałam, Lauren. Naprawdę się cieszę. Chyba coś znalazłam.

Wzięłam od niej torebkę i uniosłam do światła.

W jednej chwili wydało mi się, że wszystkie latarnie w parku i poza nim rozbłyły intensywnym białym blaskiem. Czułam się tak, jakby krople deszczu mnie przenikały.

Powoli obracałam w dłoniach srebrne okulary Paula w drucianej oprawce.

— Były w kocu, w który zawinięto Scotta — wyjaśniła Bonnie. — Już dzwoniłam do jednego z ludzi z jego wydziału. Thayer nie nosił okularów. Jeżeli zostały przepisane przez lekarza, to możemy sprawdzić rejestry wszystkich okulistów w pobliskich stanach i przyszpilić tego pieprzonego okularnika.

Poczułam drżenie w lewym oku, kiedy Mike wydał z siebie okrzyk entuzjazmu i przybił Bonnie piątkę.

Po chwili z jego radiostacji wypłynął strumień elektronicznego trajkotania.

— Lauren, to szef — poinformował mój partner. — Komendant dotarł do autobusu z paczkami i chce zorganizować odprawę.

— Wszystko w porządku, Lauren? — spytała Bonnie, kładąc mi rękę na plecach. — Nie wyglądasz za dobrze.

Spojrzałam w jej zatroskane oczy. Chryste, tak bardzo chciałam wszystko wyznać, właśnie tu i teraz. Bonnie była moją przyjaciółką, kobietą i policjantką. Ona mogłaby mnie najlepiej zrozumieć. Doradzić, co mam robić. Pomóc mi.

Ale co miałam jej powiedzieć? Pieprzyłam się ze Scottem, a rozwalił go mój własny mąż? Odwróciłam wzrok. Zrozumiałam, że nikt nie przyjdzie mi z pomocą. Byłam zdana tylko na siebie.

— W porządku — odrzekłam.

— Wszyscy jesteśmy trochę zdenerwowani — wyjaśnił Mike Bonnie, prowadząc mnie w stronę autobusu, w którym zorganizowano centrum dowodzenia. — Nawet niektórzy z dealerów przed sklepikiem mieli łzy w oczach, kiedy ten rudy policjant śpiewał Danny Boy. — Objął mnie ramieniem. Był naprawdę dobrym człowiekiem, jednym z najlepszych.

— Facet się pogubił, Lauren. Początkowo myślałam, że jesteśmy załatwieni. Dobrze wiesz, jak trudne są śledztwa dotyczące podżucenia zwłok. Ale sama zobacz. Błąd za błędem. To jakiś amator. Pewnie wydawało mu się, że zaciera za sobą ślady, ale tak się spieszył, że wszystko spieprzył. Jesteśmy coraz bliżej. Stawiam dwunastopak sama adamsa, że jutro o tej porze będziemy już mieli tego dupka. Przyjmujesz zakład?

Pokręciłam głową, ledwie utrzymując się na nogach i mozolnie brnąc w stronę autobusu.

— Nic z tego, Mike. Nie dam się tak łatwo podpuścić.

Rozdział 29

Po chwili znalazłam się w jaskrawo oświetlonym, sterylnym centrum dowodzenia; próbowałam trzymać się prosto na nogach.

Wszędzie wokół policjanci siedzieli przed ekranami laptopów. Ich przeżożeni, ubrani w białe koszule, pokrzykiwali do telefonów komórkowych. Na szerokim ekranie widniała prezentacja PowerPoint, która przedstawiała mapę okolicy. Wszystko to przypominało centrum kryzysowe w Pentagonie albo migawkę z telewizyjnego serialu 24.

W uszach czułam walenie rozszalałego serca.

Paul był naszym wrogiem.

— Panie komendancie — odezwał się mój szef oficjalnym tonem, jakiego się po nim nie spodziewałam. — To jest porucznik Lauren Stillwell, która prowadzi dochodzenie.

Uścisnęłam potężną dłoń, po czym podniosłam wzrok na słynne ojcowskie czarnoskóre oblicze komendanta Nowego Jorku, Ronalda Durhama.

— Miło panią poznać, porucznik Stillwell — odezwał się Durham ciepłym i słodkim głosem. — Kilka z pani raportów trafiło na moje biurko. Znakomita robota.

Mój Boże, pomyślałam, ponownie czując zawroty głowy. Pierwsze pochlebstwo ze strony komendanta. Czas na wstawienie kolejnej półki do szafki z trofeami.

Potem spałam z chmur na ziemię niczym ćpun po trzydniowym narkotykowym ciągu, kiedy przypominałam sobie pogrążający dowód, jaki stanowiły okulary Paula.

Twarożek w mojej lodówce przetrwa dłużej niż moja kariera.

— Dziękuję, panie komendancie — wydukałam.

— Co pani ustaliła do tej pory? — spytał Durham, wpatrując mi się prosto w oczy.

Powiedziałam mu o wszystkim. O ranach Scotta, o idealnym opisie Paula i jego auta, który otrzymaliśmy od Amelii Phelps, o okularach, które właśnie znaleźliśmy. Podałam dokładny przepis na własną porażkę.

Kiedy skończyłam, komendant postukał się palcem w wargę. W odróżnieniu od wielu innych wysokich rangą policjantów Durham był prawdziwym oficerem śledczym, który wspiał się po kolejnych szczeblach kariery.

— Czy przejrzała pani akta spraw, którymi się zajmował?

— Jeszcze nie miałam okazji. To będzie nasz kolejny krok.

Durham skinął głową.

— Wkrótce go dopadniecie. Tylko szybkie rozwiązanie tej sprawy pomoże nam wszystkim poradzić sobie z szokiem.

Nie wszystkim, pomyślałam.

— Pani porucznik — zaczął komendant z uśmiechem.

Byłam pewna, że o coś mnie poprosi. Nie miałam pojęcia, co to takiego, ale wiedziałam, że kiedy szef daje ci marchewkę, zazwyczaj nie musisz długo czekać na kij.

— Tak, panie komendancie? — odrzekłam, bezskutecznie starając się pozbyć śladów nerwowości w głosie.

— Przypominam o przekazaniu rodzinie Scotta Thayera wiadomości o jego śmierci.

Z całej siły zacisnęłam szczęki, dziwiąc się, że nie popękały mi przy tym zęby. Jezu Chryste, zapomniałam! Poinformowanie rodziny należało do moich obowiązków jako osoby prowadzącej dochodzenie.

Scott mówił mi, że jego mama i młodsza siostra mieszkają gdzieś w Brooklynie. To będzie prawdziwa tortura. Może zamiast tego po prostu wsadzę rękę w maszynę do mielenia drewna?

— Oczywiście, panie komendancie — wymamrotałam.

— Wiem, że to najmniej przyjemna część pani pracy — powiedział Durham, klepiąc mnie po ramieniu ojcowskim gestem. — Jednak sądzę, że należy to zrobić, zanim nazwisko Scotta wycieknie do prasy. Myślę także, że rodzina powinna usłyszeć o tej tragedii od kogoś, kto pracował na tym samym posterunku. Ja mógłbym przyjechać trochę później, aby spróbować złagodzić ten cios.

— Rozumiem — odparłam.

Komendant westchnął.

— Ale jakkolwiek byśmy to rozegrali, wiadomość o jego śmierci i tak będzie straszliwym szokiem dla żony Scotta — dodał ponuro.

— Nie wspominając o trójce jego dzieci.

Rozdział 30

Scott był żonaty?

Tylko siłą woli udało mi się utrzymać na nogach, które ogarnęło nagle odrętwienie.

Żonaty, ojciec trojga dzieci?

O tym z pewnością nie wspominał.

Ani o żonie, ani o dzieciach. Scott twierdził, że jest kawalerem i najlepszą partią w całej nowojorskiej policji.

— Tak, wiem — odezwał się komendant. — To wszystko wygląda coraz gorzej. Wydarzyła się tu dziś prawdziwa tragedia. Żona Scotta, Brooke, ma dopiero dwadzieścia sześć lat. Została sama z cztero- i dwulatkiem oraz niemowlęciem.

Kolejne ojcowskie klepnięcie w ramię dało mi do zrozumienia, że zebranie dobiegło końca. Podejrzewałam, że przy okazji awansu każdy policjant musi się wykazać biegłą znajomością tego gestu.

— Porucznik zna adres — rzekł komendant. — Do dzieła, pani porucznik. Powodzenia.

Mniej więcej dwadzieścia minut po tym, jak zostawiliśmy komendanta w centrum dowodzenia, zatrzymaliśmy się przed ładnym

domem w holenderskim stylu kolonialnym, w połowie długiej ulicy, którą okalały podobne posiadłości.

W żadnym z okien domu Thayerów nie paliło się światło. Jaskrawe kwiaty otaczały wyłożoną płytkami ścieżkę, która biegła po łuku przez zadbane trawnik.

Na końcu krótkiego podjazdu wisiała tablica do koszykówki firmy Fisher-Price. Z trudem oderwałam od niej wzrok. Zerknęłam na zegarek. Zbliżała się czwarta rano.

Chwileczkę, pomyślałam rozpaczliwie. Czy naprawdę muszę wchodzić do tego domu? Mogłabym po prostu stąd odjechać, czyż nie? O wszystkim zapomnieć. O tym, że jestem policjantką. O tym, że jestem żoną. Dlaczego mam się trzymać konwenansów? Mogę zmienić swoje życie. Na przykład uciec do klasztoru i zająć się produkcją sera.

— Gotowa? — spytał Mike, który stał u mojego boku.

— Nie — odrzekłam, otwierając zewnętrzne drzwi zabezpieczające. Potem dwukrotnie zapukałam mosiężną kołatką.

Prawdziwa piękność, pomyślałam od razu, gdy ujrzałam zaspianą twarz drobnej brunetki, która nam otworzyła.

Dlaczego Scott miałby zdradzać taką śliczną dziewczynę? Matkę swoich dzieci.

— Tak? — odezwała się Brooke Thayer, a jej oczy rozszerzyły się, gdy przenosiła wzrok między mną a Mikiem.

— Witaj, Brooke — powiedziałam, pokazując odznakę. — Mam na imię Lauren. Jestem oficerem policji z posterunku Scotta.

— O mój Boże. — Brooke w jednej chwili się rozbudziła i zaczęła bardzo szybko mówić. — Chodzi o Scotty'ego, prawda? O nie! Co się stało? Jest ranny?

Wiadomość o śmierci przekazuje się na różne sposoby, a żaden z nich nie jest przyjemny. Niektórzy policjanci uważają, że najlepsza

jest brutalna szczerłość. Inni łagodzą cios, najpierw mówiąc, że ofiara została poważnie ranna, a potem stopniowo dochodząc do informacji o jej zgonie. Po raz pierwszy tej nocy postawiłam na szczerłość.

— Ktoś go zastrzelił, Brooke. Bardzo mi przykro. Nie żyje.

Zobaczyłam, jak jej oczy tracą kontakt z rzeczywistością.

Do tego nie sposób się przyzwyczaić. Widzisz, jak ktoś, kto stoi tuż przed tobą, nagle znika. Zapada się w głąb siebie. Potem odeszła od drzwi, cofając się nierównym krokiem niczym futbolista próbujący złapać długie podanie. Osunęła się na kolana.

— Nie! — krzyknęła.

Uklękłam obok niej w ciemnym holu, głaszcząc ją po plecach — swoją złą, zdradziecką, nikczemną dłonią — podczas gdy ona krzyczała coraz głośniejsze.

— Nie! Neeee! Neeee!

— Wiem — szeptałam jej do ucha. — Wiem.

— Gównu wiesz! — wrzasnęła, odpychając mnie i drapiąc. Cofnęłam się, zasłaniając twarz. Jeden z długich paznokci zostawił czerwoną ukośną pręgę na moim czole. Potem Brooke upadła na bok.

— Nie wieceesz! — krzyczała w podłogę z twardego drewna. — Nie wiesz! Nie!

Rozdział 31

Mike podniósł Brooke Thayer i posadził ją na kanapie w salonie. Kiedy zamknęłam drzwi, zauważyłam dziewczynkę o blond włosach, ubraną w różową piżamkę z disneyowskimi Trzema Królowkami. Przypatrywała mi się z góry schodów.

— Cześć, kochanie — odezwałam się. — Twojej mamusi nic się nie stało. Mam na imię Lauren. — Ślicznotka milczała i dalej patrzyła na mnie dużymi niebieskimi oczami. — Może spróbuj wrócić do łóżka, kochanie — powiedziałam, wspinając się na pierwszy stopień schodów.

Wtedy zaczęła krzyczeć. Tak wysokim i ostrym głosem, że musiałam odwrócić twarz i zakryć uszy.

Brooke błyskawicznie mnie minęła i wbiegła po schodach. Mała syrena alarmowa umilkła od razu, gdy dziewczynka utonęła w objęciach matki.

Stałam bez ruchu, a mama i córka kołysały się w tył i przód. Na stoliku w salonie dostrzegłam fotografię Scotta w mundurze. Obję mował ramieniem ciężarną żonę. Zdjęcie zrobiono chyba w jakimś parku. Słońce świeciło olśniewająco.

Kiedy Brooke i jej córka zaczęły wspólnie lamentować, nagle

pomyślałam o pistolecie w swojej torebce. Ujrzałam go oczami wyobraźni. To, w jaki sposób stal, z której jest wykonany, błyszczy w świetle niczym chrom. Jego niemal kobiece krągłości. Wyobraziłam sobie zimny wylot lufy przystawiony do skroni i dotyk spustu pod drugim stawem prawego palca wskazującego.

Stałam w domu Scotta i myślałam o swojej broni, a także o tym, co zrobiłam. Zastanawiałam się, jak wiele jeszcze zniosę.

Nie jesteś złym człowiekiem, próbowałam sobie wmawiać. Przynajmniej nie byłeś do dzisiaj.

Rozdział 32

Biedna Brooke nadal kołysała swoją czteroletnią córeczkę, kiedy w korytarzu na piętrze rozległ się płacz niemowlęcia.

Powoli wspierałam się po schodach.

— Czy mam zajrzeć do dziecka? — spytałam. Wydawało się, że kobieta mnie nie zauważa. Nie odezwała się ani słowem. — Spróbuj znaleźć książkę adresową w jednej z szuflad w kuchni i zadzwoń po kogoś z rodziny — zawołałam do Mike’a.

Minęłam Brooke i kierując się płaczem, dotarłam do pokoiku dziecięcego na tyłach domu.

Nad kołyską wisała karuzelka z rękawicami i kijami baseballowymi oraz nocna lampka z logo New York Mets.

Chłopczyk z pewnością nie miał jeszcze pół roczku. Podniosłam zawodzące maleństwo.

Jego ciało drżało z każdym krzykiem, zbyt głośnym jak na tak małą istotę. Gdy przygarnełam go do piersi, niemal od razu przestał płakać. Usiadłam na bujanym fotelu, tuląc malca i ciesząc się z tej chwili ucieczki od hałasu na dole.

Nawet w tak paskudnych okolicznościach zauważyłam, jak wspaniale pachniał. Tak czysto. Głośno przetknęłam ślinę, kiedy wreszcie otworzył oczy. Duże, ciepłe i brązowe.

Wyglądał dokładnie jak Scott.

Teraz to ja zaczęłam płakać. Pomyślałam, że dziecko, które trzymam w ramionach, już nie ma ojca.

Brawo, Lauren. Brawo.

— Proszę mi go oddać — warknęła Brooke, wpadając do pokoju z butelką w rękę. Chłopiec uśmiechnął się do mnie, kiedy podawałam go matce. Kobieta nadal płakała, ale wydawało się, że pierwszą szok miała już za sobą.

— Może po kogoś zadzwonię? — zaproponowałam.

— Już rozmawiałam ze swoją mamą — odparła. — Niedługo tutaj będzie.

Po raz pierwszy popatrzyła prosto na mnie. Jej brązowe oczy były zaskakująco życzliwe.

— Podrapałam panią. Tak mi przykro. Nie...

— Proszę — szybko jej przerwałam. — Niech mnie pani tylko nie przeprasza. To pani teraz potrzebuje pomocy. Pani i dzieci.

— Niech mi to pani sama powie — rzekła Brooke po dłuższej chwili.

Przypatrywałam się jej szeroko otwartymi oczami. W świetle nocnej lampki jej twarz wyglądała bardzo surowo, a oczy przypominały mroczne otchłanie.

— Słucham?

— Niech mi pani powie, co się stało z moim mężem. Doceniam szczerść, z jaką przekazała mi pani tę wiadomość. Mężczyźni starają się mnie ochronić, ale ja chcę dokładnie wiedzieć, co się wydarzyło, aby móc sobie z tym poradzić. Muszę to zrobić dla dzieci.

— Jeszcze tego nie wiemy — odpowiedziałam. — Znaleźliśmy

go zastrzelonego w parku Świętego Jakuba w Bronksie. To znane miejsce handlu narkotykami. Jej twarz wykrzywił grymas, usta i lewa powieka zadrżały.

— Oooh! Wiedziałam — rzekła w końcu, energicznie kiwając głową. — „Za tajne operacje dostaje się awans, Brooke. Nie martw się, zawsze mnie pilnują”. Jak widać, nie zawsze, ty cholerny idioto.

Gorączkowo zastanawiałam się, co powiedzieć, aby przerwać ciszę, która teraz zapadła. Miałam wrażenie, że ściany się do mnie przybliżają. Musiałam się stąd wydostać. Żołądek zaczynał podchodzić mi do gardła. Potrzebowałam świeżego powietrza.

O co zazwyczaj pytam podczas przesłuchania, gdy niewiele wiem o sprawie? Ponownie wyjęłam notatnik.

— Kiedy ostatnio widziała się pani ze Scottem? — Staralam się zachowywać tak, jak przystało na oficera śledczego.

— Wyszedł około ósmej wieczorem. Powiedział, że wróci za kilka godzin. Scotty był niesamowicie punktualny. Prawie nigdy nie spóźnił się do domu.

— Nie mówił, dokąd dokładnie idzie? Czy przed wyjściem odebrał jakiś telefon?

— Wydaje mi się, że nie. Nie. Nie przypominam sobie żadnego telefonu.

Nagle Brooke znów zaniósła się płaczem.

— Boże. Jego biedna mama i siostra... byli ze sobą tak blisko. One przecież... Chyba nie zdołam im o tym powiedzieć. Nie... Czy pani mogłaby to zrobić, pani...?

— Mów mi Lauren.

— Lauren, czy mogłabyś do niej zadzwonić? To znaczy do mamy Scotty'ego. Zrobisz to?

— Oczywiście.

Pracujesz w jego wydziale?

— Nie, jestem z wydziału zabójstw.

— Znałaś Scotty’ego?

W ciszy słyszałam mlaskanie synka Scotta, chciwie kończącego swoją butelkę.

— Nie — rzekłam w końcu. — Stacjonowaliśmy na tym samym posterunku, ale nigdy nie mieliśmy okazji współpracować.

— Przepraszam za Taylor, moją czteroletnią córeczkę. Nie reaguje zbyt dobrze na obcych. Ma autyzm.

Zabrakło mi tchu.

Wystarczy.

To była kropla, która przepełniła kielich.

— Mam nadzieję, że jej nie przestraszyłam — rzuciłam, prawie wybiegając z pokoju. — Czy mogę skorzystać z łazienki?

— W korytarzu po prawej stronie.

Zaczęłam wymiotować prawie pół metra przed sedesem. Odkręciłam oba kurki, aby stłumić odgłosy torsji. Pozostawiłam je odkręcone, aby zagłuszyć także dzikie piski przypominające gwizd czajnika, które wydobyły się z moich ust.

Do posprzątania łazienki zużyłam całą rolkę papieru toaletowego. Siedząc na przykrytej różową wykładziną klapie od sedesu, wyjęłam pistolet. Zastanawiałam się, czy koroner zapisałby w moim akcie zgonu: „śmierć z poczucia winy”. W końcu schowałam broń i zesłam po schodach. Nie dlatego, że już nie chciałam się zabić. Po prostu doszłam do wniosku, że Brooke Thayer miała wystarczająco ciężką noc.

W kuchni mój partner zaproponował, że to on poinformuje matkę.

— Nie trzeba, Mike — powiedziałam, uśmiechając się jak wariatka i wybierając numer z otwartej książki adresowej. — Po co tworzyć precedens?

Kiedy powiedziałam mamie Scotta, że jej syn nie żyje, odsunęłam telefon od ucha. Skrzyżowaliśmy spojrzenia z partnerem, słuchając pełnych cierpienia odgłosów dobiegających ze słuchawki.

Mike wziął do ręki obrazek narysowany kredkami świecowymi, który wisiał na lodówce pod magnesem z wizerunkiem zwierzaków z programu Blue's Clues, po czym pokręcił głową. Jedno z dzieci narysowało dwugłowego smoka.

— Znajdźcie ludzi, którzy za to odpowiadają — powiedziała Brooke, kiedy kilka minut później szliśmy do drzwi. Jej dwuletni synek też już nie spał. Trzymał się nogi matki, którą puściła jego czteroletnia siostra. Niemowlę, które Brooke trzymała na rękach, znów zaczęło płakać. — Znajdźcie ich! — usłyszeliśmy już za drzwiami. — Znajdźcie zabójców Scotty'ego!

Rozdział 33

Jeśli nie liczyć słów Brooke, które wciąż rozbrzmiewały mi w uszach, droga powrotna do Bronksu upłynęła nam w całkowitej ciszy.

Członkowie międzywydziałowego oddziału antynarkotykowego, do którego należał Scott, czekali na nas w swoim pokoju odpraw na pierwszym piętrze posterunku czterdziestego ósmego. Siedziba mojego wydziału zabójstw znajdowała się na trzecim piętrze. Wchodząc po schodach, starałam się nie patrzeć na drzwi świetlicy, gdzie po raz pierwszy spotkałam Scotta.

Ludzie z jego jednostki nie wyglądali jak typowi policjanci, nawet dla mnie. Przez chwilę pomyślałam, że skręciłam w niewłaściwy korytarz i dotarłam na spotkanie klubu deskorolkarzy.

Szef oddziału, agent DEA Jeff Trahan, był wysoki i miał długawe blond włosy, które nadawały mu wygląd podstarzałego surfera. Główny opiekun Scotta, nazywany jego „smyczą”, Azjata Roy Khuong z nowojorskiej policji, miał tak dziecinną twarz, że zapewne odmawiano mu sprzedaży papierosów. Oficer policji stanowej Dennis Marut przypominał wschodnioazjatycką wersję Doogiego Howsera.

Ostatni członek zespołu, Thaddeus Price, zwalisty Murzyn, od stóp do głów ubrany w skórę i złoto, wyglądał raczej na ochroniarza jakiejś gwiazdy gangsta rapu, a nie na agenta DEA. Należało to chyba zapisać na jego korzyść.

Stałam pod brzęczącymi lampami fluorescencyjnymi, niemal kurcząc się pod wpływem ostrych spojrzeń.

Jednak po chwili zdałam sobie sprawę z tego, że takie same reakcje obserwowałam przez całą noc: spojrzenia wyrażające straż, gniew i szok. Sama czułam się podobnie — a przynajmniej była to część moich odczuć.

Dla oddziału antynarkotykowego strata agenta operacyjnego stanowiła spełnienie najgorszego koszmaru. Tak jak większość osób, których bliscy padli ofiarą zabójstwa, także oni wyglądali, jakby w ich obecności wybuchła bomba; kręcili się bezładnie, szukali jakiegoś celu, pomysłu na to, co dalej robić.

— Jesteśmy tutaj, aby ci służyć pomocą na ile to tylko możliwe — oznajmił Trahan uroczyście, kiedy wszyscy już się przedstawili. — Po prostu powiedz nam, co możemy zrobić dla Scotta.

Jak długo jeszcze mogę odgrywać tę farsę? — zastanawiałam się, przenosząc wzrok ze zbolałych twarzy na upstrzony zaciekami sufit. Jakiś osiemnastokolowiec, który zmierzał w stronę Long Island, wprawił w drgania szczelnie zamalowaną szybę w oknie w rogu pokoju. Wyjęłam notatnik.

— Nad czym ostatnio pracował Scott? — spytałam.

Rozdział 34

Trahan wziął głęboki oddech, po czym zaczął mówić.

— Scott był naszym głównym agentem operacyjnym w śledztwie przeciwko dwu handlarzom ecstasy z Hunts Point, braciom Ordonez. Starszy z braci jest pilotem wojskowym, który lata z dostawami do Niemiec. Okazało się, że jego C sto trzydzieści bynajmniej nie wraca z tych kursów z pustą ładownią. Scott kilka razy kupił od nich mniejsze porcje towaru. Na przyszły tydzień zaplanowaliśmy zakup za ćwierć miliona dolarów. Chcieliśmy ich wtedy przyskrzytnić.

— Czy Scott ostatnio się z nimi kontaktował? — spytałam.

— Według rejestru dzwonił do nich trzy dni temu — wtrącił się Roy Khuong. — Ale mogli się do niego odezwać dziś wieczorem, po służbie.

— Czy Scott wybrałby się na spotkanie, nie informując was o niczym?

— Nie, jeśli mógłby tego uniknąć — odrzekł Roy. — Ale praca pod przykrywką to niebezpieczna robota, w której można liczyć tylko na siebie. Sama pani o tym wie, pani porucznik. Czasami nie ma okazji, żeby zadzwonić po wsparcie.

— Czyli ktoś mógł niespodziewanie przyjechać do Scotta i poprosić, aby ten mu towarzyszył, a Scott musiał się zgodzić, aby nie wzbudzać podejrzeń? — odezwał się Mike.

— Właśnie — przytaknął Thaddeus Price. — Zdarza się i tak.

Trahan zaproponował kolejną wersję wydarzeń.

— Albo skontaktował się z nim ktoś związany z dawnym śledztwem. Może ktoś, kogo Scott przyskrzynił albo kto właśnie wyszedł z więzienia. Tego boimy się najbardziej, kiedy wychodzimy do miasta. Że będziemy siedzieć z dzieciakiem w Burger Kingu i nagle wpadniemy na kogoś, kogo rozpracowaliśmy.

Usłyszałam, jak mój partner jęknął, kiedy Trahan podzielił się swoimi przypuszczeniami. Potencjalnie mieliśmy do czynienia z setkami podejrzanych o morderstwo.

— Przede wszystkim musimy przesłuchać braci Ordonez — rzekł Mike. — W grę wchodziło mnóstwo forsy. Mogli wcześniej przyjechać po Scotta, aby go okraść. Scott został ciężko pobity. Możliwe, że go torturowali, aby dowiedzieć się, gdzie jest te ćwierć miliona. Musimy zgarnąć frajerów. Wiemy, gdzie są?

— Mark, ten pilot, pracuje w bazie lotnictwa marynarki wojennej Lakehurst w południowej części New Jersey. Poprosimy policję stanową, żeby porozmawiała z jego dowódcą i sprawdziła jego mieszkanie w Toms River — odpowiedział Trahan. — Ale Victor, młodszy z braci, ma trzy albo cztery mieszkania-kryjówki w Brooklynie i Bronksie. Należą do jego dziewczyn i krewnych. Potrzebujemy kilku godzin, aby ich obu namierzyć. Skontaktujemy się z informatorami i zobaczymy, czego uda nam się dowiedzieć.

— A na razie zbiorę akta z poprzednich spraw Scotta, żebyśmy

mogli zestawić nazwiska przyskrzynionych gości z osobami, które niedawno wyszły z pudła — zaproponował Thaddeus.

— To mnóstwo papierów — odrzekł Trahan, ponuro kręcąc głową. — Scott dorwał setki bandziorów. Był jednym z najlepszych agentów operacyjnych, z którymi pracowałem.

Mnie z pewnością nabrał, pomyślałam, przypominając sobie jego żonę i rodzinę.

Odwrociłam się od wypełnionych bólem, przekrwionych oczu Trahana. Wyglądał tak, jakby stracił przede wszystkim najlepszego przyjaciela, a nie współpracownika.

— Poczekajcie chwilę — odezwał się oficer Marut. — Czy powiadomiono już rodzinę Scotta? Mój Boże, jak Brooke to zniesie? I dzieciaki. Miał ich chyba czwórkę.

— Trójkę. Właśnie stamtąd wróciliśmy — odrzekłam. — Brooke zareagowała tak, jak można się było spodziewać.

Rozległ się dźwięk przypominający strzał z pistoletu, kiedy partner Scotta, Roy Khuong, nagle kopnął swoje biurko. Kartki poszybowały w powietrze, gdy zepchnął całą zawartość blatu na podłogę. Po chwili szybko wyszedł z pomieszczenia.

Mike pokręcił głową, wyjął komórkę i zaczął wybierać jakiś numer.

— Do kogo dzwonisz? — spytałam.

— Budzę prokuratora okręgowego. Chcę, żeby zaczął załatwiać billingi telefonu domowego Scotta i jego komórki.

Wstrzymałam oddech. Billingi, czyli rachunki szczegółowe z firmy telekomunikacyjnej, pozwolą zobaczyć wszystkie połączenia przychodzące i wychodzące, wszystkie rozmowy przeprowadzone za pomocą aparatów Scotta.

Wliczając jego telefony do mnie!

Pięć minut później Mike zatrzymał się na schodach, po których wspinaliśmy się do naszego pokoju odpraw.

— Lauren, twoje oczy są szare — powiedział.

— O czym ty mówisz? Są niebieskie.

— Chodzi mi o białka. Nie zwalniasz tempa, odkąd to wszystko się zaczęło. Teraz mamy chwilę przestoju. Dopiero rano będziemy mogli zrobić coś konkretnego. Mieszkasz dziesięć minut stąd. Może wrócisz do domu i prześpisz się kilka godzin? Teraz ja mam zmianę, więc popilnuję interesu.

Nie chciałam zostawiać swojego partnera samego, tym bardziej że mogłam przegapić coś ważnego. Kto, do diabła, mógł wiedzieć, co się stanie za chwilę? Ale światła uliczne, które widziałam przez brudne okno za plecami Mike'a, zaczynały rozplýwać mi się przed oczami. Byłam wykończona.

Temu, kto powiedział, że przeprowadzka i rozwód to dwa najbardziej stresujące wydarzenia w życiu, mąż nigdy nie zastrzelił kochanka.

Uznałam, że upadnięcie bez sił na podłogę w niczym mi nie pomoże.

— W porządku, Mike. Ale zadzwoń do mnie, kiedy tylko czegoś się dowiesz. Czegokolwiek.

— Jedź do domu, Lauren.

— Dobra. Już jadę. Już mnie nie ma.

Rozdział 35

Wjechałam do garażu i wyłączyłam silnik mini coopera. Właśnie wysiadałam z samochodu, gdy nagle usłyszałam dziwny odgłos, który dobiegał z przeciwległego prawego narożnika pomieszczenia. Chyba byłam odrobinę przewrażliwiona, bo od razu wyciągnęłam glocka i wycelowałam w siedzącą tam postać.

Po chwili zdałam sobie sprawę z tego, że to Paul.

Zapaliłam światło, po czym schowałam broń do kabury.

Mój mąż chrapał na ogrodowym krzeselku obok swojego stołu z narzędziami. Na betonowej podłodze, tuż obok niego, stała butelka johnniego walkera. Pozostał w niej nie więcej niż jeden kieliszek alkoholu.

Aha, a Paul nie miał na sobie ubrania. Był zupełnie goły.

I pijany. Zalany w trupa. Nawalony jak stodoła. Albo nawet dwie.

Wpatrując się w jego zatroskaną, nieprzytomną twarz, zrozumiałam, że to, co przeżyłam tej nocy, nijak nie może się równać z jego doświadczeniami.

Dokończyłam szkocką i dopiero wtedy spróbowałam go obudzić. Bez powodzenia.

Pociągnęłam go za płatek ucha; otworzył jedno oko. Szarpnęłam go za prawą rękę i dźwignęłam na nogi.

Kiedy prowadziłam go do domu, coś mamrotał, ale nie mogłam zrozumieć ani słowa. Nigdy nie widziałam go tak pijanego.

Prawie nadwerzężyłam sobie plecy, próbując skierować go do naszej sypialni. W końcu położyłam go na łóżku i przyniosłam kosz, na wypadek gdyby chciał zwymiotować.

Udało mi się dotrzeć do łazienki, zanim cały nagromadzony stres eksplodował we mnie gwałtownym szlochem.

Cholera, dokąd to wszystko zmierza? Jak mogłam udawać głupią podczas przesłuchania? To nie jest zabawa. Scott Thayer nie żyje. Niewiele zdarzeń na tym świecie jest badanych równie skrupulatnie, jak morderstwo nowojorskiego policjanta. Czy ja myślałam, że się z tego wykręcę? Chyba oszalałam.

Znów pomyślałam o Brooke Thayer. O jej autystycznej córce. O pozostałej dwójce dzieciaków. Czułam się zatruta. Zła. Chciałam się oddać w ręce sprawiedliwości. W tym momencie zrobiłabym niemal wszystko, aby zrzucić z siebie to brzemię.

Ale to nie ja zostałamby ukarana.

Tylko Paul.

Co więc miałam teraz zrobić?

Rozdział 36

Nadal nie znałam odpowiedzi na to pytanie, kiedy trzy minuty później upadłam pod prysznicem.

Stałam i myłam włosy szamponem, gdy nagle z impetem usiadłam na zimnej porcelanie. Woda odbijała mi się od tułowia i nóg.

Przycisnęłam czoło do mokrych płytek podłogowych, pozwalając, aby wydarzenia tej nocy powoli przeze mnie przepływały. Nie potrafiłam zdecydować, co najbardziej mnie przeraża. To, że zdradziłam Paula? A może widok martwej twarzy Scotta? Albo widok twarzy jego żony?

Zamknęłam oczy, rozpaczliwie pragnąc, aby woda mnie rozpuściła, abym spłynęła po dnie wanny i z bulgotem zniknęła w odpływie.

Kiedy tak się nie stało, oderwałam czoło od podłogi i otworzyłam oczy.

To wszystko tak po prostu nie zniknie, prawda? Muszę coś zrobić. Ale co?

Rozważyłam wszystkie możliwości.

Po pierwsze, co by się stało, gdybym doniosła na Paula?

Dokładnie znałam sposób działania wymiaru sprawiedliwości w Bronksie. Tak jak każdy detalista, który na co dzień zmagają się z hurtową liczbą spraw, miejscowy prokurator generalny chętnie zawierał ugody z przestępcami, ograniczając im kary. Jednak sprawa Scotta była na tyle poważna, że prokurator potraktuje ją jako szansę zawodowego rozwoju. Dojdzie do wojny. Paul kontra system, a ten ostatni zrobi wszystko, aby wygrać — i to w sposób druzgocący.

Pomyślałam o stercie rachunków od prawnika. O wysokości kaucji. Jeżeli Paul w ogóle będzie mógł wyjść za kaucją.

Nawet gdyby uznano, że działał w samoobronie, w najlepszym przypadku zostałby oskarżony o nieumyślne zabójstwo, za co grozi pięć lat w stanowym więzieniu. Pokręciłam głową. Pięć lat. Za każdym razem, gdy odstawiałam więźnia na Rikers Island, już po pięciu minutach pragnęłam przepłynąć sto długości basenu wypełnionego środkiem antybakteryjnym. Skrzywiłam się, przypominając sobie skazańców stojących niczym bydło w kolejce w sali przeszukań. Płacz niemowląt i seks pod stołem w pokoju odwiedzin.

Wyobraziłam sobie Paula spoglądającego na mnie ponad brudnym blatem z odrazą w pociemniałych oczach. „Co się stało, Lauren?“, spytałby. „Myślałem, że lubisz szybkie numerki”.

A jakby tego było mało, pozostawała jeszcze nowojorska prasa. Trudno o bardziej smakowity kęsek dla brukowców niż tragiczny finał miłosnego trójkąta z udziałem dwojga policjantów, z których jeden przyplącił to życiem! Można się było spodziewać trwałej utraty dobrego imienia.

Miejsca w galerii Największych Nieudaczników.

Upokorzenia w mass mediach.

No i nie zapominajmy o tym, co by się stało z rodziną Scotta. W tej chwili Brooke jest postrzegana jako wdowa po bohaterze. Jednak

gdyby wyszło na jaw, że Scott zginął z ręki męża kobiety, z którą zdradzał żonę, skończyłoby się wyplakiwanie na ramieniu komendanta. Pa, pa, Brooke, pa, pa, dzieciaki.

Oczy niemal wyszły mi z orbit, kiedy rozważyłam to wszystko ze szczegółami.

Ujawnienie prawdy oznaczało także utratę przez rodzinę Thayerów prawa do świadczeń otrzymywanych z racji śmierci Scotta podczas pełnienia obowiązków służbowych!

Wyobraziłam sobie Brooke kołyszącą swoją biedną córeczkę. Zamiast otrzymywać rentę po mężu, zostanie z pustymi rękami.

Wstałam z podłogi i spróbowałam złapać oddech.

Moje małe zebranie zwołane w celu podjęcia decyzji dobiegło końca.

Gdyby chodziło tylko o mnie, bez wahania oddałabym się w ręce sprawiedliwości. W tej chwili poszłabym do swojego pokoju, ubrała się i pomaszerowała prosto do gabinetu szefa. Wyznałabym całą prawdę.

Ale chodziło nie tylko o mnie, lecz także o Paula. I Brooke.

A przede wszystkim o troje osieroconych dzieci.

Nie ma się co oszukiwać, przynajmniej na razie nie widziałam innego wyjścia.

Musiałam wszystko naprawić.

Kiedy wstawiłam twarz pod strumień wody, w moich uszach rozległ się huk przypominający odgłosy burzy.

Ale jak mogę to wszystko naprawić?

Rozdział 37

Paul nadal chrapał, kiedy wychodziłam do pracy. Żałowałam, że nie mogę z nim porozmawiać. Gdybym powiedziała, że mieliśmy wiele do omówienia, wyraziłabym się wyjątkowo oględnie. Jednak skoro w więzieniu raczej nie działa poradnia małżeńska, postanowiłam, że zamiast budzić Paula, przede wszystkim wrócę do pracy, aby sprawdzić, czy uda mi się uchronić go przed trafieniem za kratki.

Kiedy weszłam do pokoju odpraw, Mike właśnie zapisywał nazwisko Scotta na tablicy informacyjnej wydziału zabójstw.

Byłam dość mile zaskoczona, kiedy stwierdziłam, że nikt nie spogląda na mnie podejrzliwie. Najwyraźniej fala adrenaliny i przeżenie mogły skutecznie udawać entuzjazm. Przez ubrudzoną szklaną ścianę gabinetu zobaczyłam swojego szefa, porucznika Keane'a, który rozmawiał przez telefon stojący na biurku i jednocześnie wybierał numer na swojej komórce.

Co mamy? — spytałam, wyjmując z papierowej torby kawę, którą kupiłam w małym latynoskim sklepiku, i podając ją Mike'owi. Starbucks jeszcze nie zawitał do Soundview.

— Gówno — odparł mój partner, siadając i strzelając w poprzek biurka kawałkiem plastikowej przykrywki. — Ani śladu po Ordenezach. Okazało się, że pilot dostał wolne do następnej środy; w mieszkaniu też go nie znaleźliśmy. O młodszym z braci, jeszcze gorszej szumowinie, również nie mamy żadnych wieści. — Podał mi aktówkę. — Zerknij na album rodzinny.

Bracia Ordenez byli jedynymi dziećmi dominikańskich imigrantów. Akta trochę starszego z tej dwójki, wojskowego pilota Marka, okazały się zaskakująco skromne. Jedno aresztowanie za napaść w wieku dwudziestu jeden lat. Jednak młodszy, Victor, miał długą i ciekawą kartotekę.

Od szesnastego roku życia regularnie trafiał do więzienia, budując rekordową statystykę. Włamanie, handel narkotykami, usiłowanie gwałtu, napaść na współwięźniów podczas odbywania kary, posiadanie broni.

Jednak moją uwagę od razu przykuł jeden z zarzutów, zupełnie jakby ktoś oznaczył go fluorescencyjnym markerem.

Usiłowanie zabójstwa policjanta.

W raporcie opisano, jak w wieku siedemnastu lat, stawiając opór podczas próby zatrzymania w związku z podejrzeniem o posiadanie narkotyków, Victor wyciągnął ukryty półautomat kaliber .380, wycelował prosto w twarz policjanta i kilkakrotnie nacisnął spust. Kiedy powalono go na ziemię, okazało się, że pistolet szczęśliwie nie wypalił, ponieważ młody Ordenez, nowicjusz we wspomniałym świecie półautomatów, zapomniał odciągnąć zamek i załadować pierwszy nabój do komory. Dowodem na to, jak poważne problemy miał nowojorski wymiar sprawiedliwości w czasach epidemii cracku na początku lat dziewięćdziesiątych, niech będzie fakt, że Victor odsiedział tylko rok.

Wpatrywałam się w jego kartotekę z niedowierzaniem.

Victor Ordonez był idealnym kandydatem na mordercę Scotta. Sama niemal uwierzyłam, że to zrobił.

Siadając, wskazałam podbródkiem sterty teczek przykrywające nasze połączone biurka i podłogę.

— Poprzednie sprawy narkotykowe Scotta?

Mike przytaknął ponuro. Odłożył na blat swoje okulary do czytania i potarł oczy.

— Nie zabiorę się do tej sagi, dopóki nie porozmawiam z naszymi dominikańskimi przyjaciółmi. Chyba jedyną dobrą wiadomością jest to, że udało mi się skłonić prokuratora generalnego, aby wystąpił do firmy telekomunikacyjnej o billingi Scotta. Właśnie to załatwiają. Przefaksują nam wyniki w ciągu najbliższych dziesięciu minut.

Rozdział 38

Siedziałam jak skamieniała, starając się przyswoić to, co właśnie usłyszałam. Fluorescencyjne światła nade mną szumiały niczym ul pełen rozżłoszczonych pszczoł.

Ile razy Scott do mnie dzwonił w ciągu ostatniego miesiąca? Dwadzieścia? Może trzydzieści? W jaki sposób mam się z tego wykręcić? Wyobraziłam sobie zaskoczenie malujące się na twarzy mojego partnera, kiedy zobaczy mój numer powtarzający się raz za razem na billingach.

Mike poruszył myszą, aby pozbyć się wygaszacza ekranu z napisem „Genetyka sięgnęła DNA”. Kiedy pokręcił głową, rozległ się dźwięk, jakby ktoś nadepnął na folię pęcherzykową.

— Mike, co robisz? — spytałam w końcu.

— Muszę się zabrać do DD pięć. Keane zaraz wyjdzie z siebie. Tylko na niego popatrz.

DD 5 to raporty z miejsca zdarzenia, które musieliśmy dołączyć do akt sprawy Scotta. Uniosłam brwi.

— Halo? Ziemia do Mike’a. Ktoś będzie czytał te raporty, Szekspirze. Pamiętaj, że z nas dwojga ty błyszczysz urodą, a ja inteligencją. Może lepiej zdrzemnij się kilka godzin w kanciapie na górze.

Musisz mieć sprawną głowę, na wypadek gdyby przyszło ci wyważyć nią jakieś drzwi. Sama skrobnę raporty na tyle dobrze, żeby nas nie odsunęli od sprawy, a kiedy przyjdą billingi, zacznę je analizować. Co ty na to?

Mike wpatrywał się we mnie z przesadnym cierpieniem w zaczerwienionych oczach. W końcu ziewnął.

— Dobrze, kochanie — odrzekł, wstając.

Wstrzymałam oddech, kiedy szedł w stronę wyjścia. Właśnie zamknęła się za nim krata, kiedy w pomieszczeniu rozległo się ciche, nieprzyjemne brzęczenie.

Odwrociłam się. To był faks. O cholerka.

Brzęczenie się powtórzyło, a po nim rozległ się elektroniczny pisk. Jedna z białych kartek zaczęła powoli wyslizgiwać się z urządzenia.

Nie zatrzymuj się, partnerze, pomyślałam, nie patrząc na Mike'a. Proszę. Zrób to dla mnie.

Jednak kątem oka zauważyłam, że Mike zawraca.

Miałam wypieki na twarzy. Za chwilę wszystko zobaczy. Mój numer powtarzający się raz za razem na billingu! Jak mogę to wyjaśnić, do diabła? Nic nie przychodziło mi do głowy. Jak się z tego wykaraskać?

Całkiem się odwróciłam, kiedy Mike wziął do ręki pierwszą kartkę. Zobaczyłam, że mruży oczy i dotyka dłonią czoła.

Wtedy zauważyłam, że jego okulary do czytania leżą na biurku obok mnie, tam gdzie je zostawił.

Nie zastanawiając się długo, zadziałałam.

Odsunęłam dolną szufladę i za pomocą jednej z teczek z aktami Scotta zgarnęłam do niej okulary. Potem po cichu zamknęłam szufladę nogą.

Udawałam, że nie zauważam Mike'a, dopóki nie usłyszałam, jak przeszukuje blat swojego biurka.

— Przecież kazałam ci się zdrzemnąć — powiedziałam z irytacją. — Czyżbyś znowu miał atak starczej demencji?

Mike ciężko westchnął i przerwał poszukiwania. Rzucił mi na kolana billingi Scotta.

— Są twoje, sestro — rzekł słabym głosem. — Z pozdrowieniami od pani Bell. Do zobaczenia, idę się przekimnąć.

Rozdział 39

Przez bite dwie minuty kręciłam ołówkiem między palcami niczym majoretka pałką, a moje stare skrzypiące krzesło krakało jak wrona, gdy bujałam się w tył i przód, wpatrując się w billingi Scotta.

Odwróciłam się i mrużąc oczy, spojrzałam przez przeszkloną ścianę na swojego szefa, na szczęście wciąż zajętego, po czym ponownie przeniosłam wzrok na osiem arkuszy wypełnionych liczbami.

To niesamowite, że udało mi się zdobyć billingi Scotta, ale kiedy je przejrzałam, zrozumiałam, że mam nowy problem.

Wetknęłam ołówek między tylne zęby, zamieniając go w zabawkę do żucia.

Jak, do cholery, mam usunąć swój numer?

Pojawiał się aż trzydzieści trzy razy!

— Lauren! — ktoś zawołał.

Prawie połknęłam gumkę z ołówka, kiedy gwałtownie uniosłam wzrok. Nie zauważyłam, kiedy szef opuścił gabinet. Oparł dłonie na

moim biurku i pochylił się nade mną, niemal wbijając paznokcie w brzeg kartek. Czy potrafił czytać do góry nogami?

— Jak nam idzie z raportami? — spytał Keane. — Burmistrz i komendanci z wydziału śledczego chcą je dostać jak najszybciej. Będzie z tym jakiś problem?

— Proszę mi dać godzinę, szefie — odparłam, wywołując odpowiedni formularz na ekranie komputera.

— Masz pół godziny — rzucił przez ramię, odchodząc od mojego biurka.

Pochyliłam się nad klawiaturą, starając się wyglądać na zapracowaną, a jednocześnie ukryć to, co robię.

Mój wzrok powędrował z ekranu na billingi. Potem z billingów na ekran. Czekałam, aż nasunie mi się jakieś oczywiste rozwiązanie.

Nagle, w cudowny sposób, tak właśnie się stało.

Billingi wydrukowano popularną czcionką. Times New Roman.

Po chwili miałam już w głowie niemal kompletny plan.

To dobrze, pomyślałam, klikając ikonę Microsoft Word, ponieważ nie miałam ani chwili do stracenia.

Zaczęłam od sprawdzenia, z jakim numerem Scott łączył się najczęściej. Kierunkowy 718 i nieznana mi centrala telefoniczna.

Sprawdziłam w swoich notatkach i potwierdziłam, że był to domowy numer Scotta.

Wpisałam rząd cyfr, kliknęłam „drukuj” i porównałam wydruk z billingami. Liczby były trochę za duże. Zazaczyłam numer, po czym zmniejszyłam rozmiar czcionki z dwunastki na dziesiątkę, wydrukowałam i ponownie porównałam.

Idealnie. Nada się.

Skopiowałam numer trzydzieści trzy razy i po raz trzeci wcisnęłam

„drukuj”. Kto wie, pomyślałam, chowając do kieszeni nożyczki i taśmę klejącą, które wyjęłam z szuflady biurka. Wstałam, zabierając ze sobą billingi oraz kartki z wydrukami.

To może zadziałać.

Po pięciu minutach niewirtualnego wycinania i wklejania w ostatniej kabinie w damskiej toalecie, udało mi się zakryć wszystkie miejsca na billingach, w których pojawiał się mój numer, karteczkami z domowym numerem Scotta.

Wszystkiego, co ważne, nauczyłam się w przedszkolu, pomyślałam, sflukując skrawki papieru w sedesie.

Pozostało wykonanie jednej kserokopii — a po drodze zahaczenie o niszczarkę — i wszystko wyglądało tak, jak sobie tego życzyłam.

Miałam nowe, dopracowane billingi Scotta.

Kiedy dwadzieścia minut później wyszłam z gabinetu Keane’a, gdzie zostawiłam gotowe raporty z miejsca zbrodni, Mike wrócił do pokoju odpraw. Wbił wzrok w dyskretnie zmienione billingi, które położyłam na jego biurku. Jego okulary do czytania spoczywały na nich niczym przycisk do papieru.

— Nie przejmuj się — powiedziałam, poklepując go po szerokich plecach. — Takie drobne wpadki się zdarzają w twoim wieku.

Zabrałam płaszcz z oparcia swojego krzesła.

— Dokąd idziesz? — spytał.

— Spotkać się ze swoją przyjaciółką Bonnie. Postaram się przyspieszyć analizę miejsca zbrodni.

— Dlaczego nie mogę iść z tobą?

— Bo musisz się skontaktować z firmą telekomunikacyjną i dowiedzieć się, czyje to numery, sprawdzić, do kogo Scott dzwonił.

— Daj spokój — odezwał się, kiedy wychodziłam. — Będę grzeczny. Wiesz, że nie jestem tylko wielkim brzydalem. Mam też wrażliwe oblicze. Należę do klubu książkowego Oprah Winfrey.

— Przykro mi — odparłam, stukając w kratę. — Chłopcom wstęp wzbroniony.

Rozdział 40

No dalej, dalej, dalej! Szybciej, szybciej!

Zerknęłam na zegarek, kiedy elektroniczny pisk sklepowej kasy po raz milionowy eksplodował mi w głowie.

Myślałam, że zakupy w Duane Reade na skrzyżowaniu Pięćdziesiątej Siódmej i Broadwayu zajmą mi niewiele czasu, w końcu kupowałam tylko jedną rzecz. Ale po chwili zobaczyłam długą na cały sklep kolejkę do jedynej czynnej kasy.

Dziesięć minut później od ziemi obiecanej oddzielał mnie już tylko jeden klient, kiedy nagle pojawił się inny kasjer i zawołał: „Następny”.

Kiedy stawiałam pojedynczy krok, który dzielił mnie od nowo otwartej kasy, niemal staranował mnie Azjata w średnim wieku, ubrany w strój portiera.

— Hej! — zawołałam.

W odpowiedzi facet pokazał mi plecy, odpychając mnie i stawiając na ladzie paczkę przekąsek Combos.

Ostatnie, czego pragnęłam, to robienie sceny, ale nie miałam czasu na fałszywą grzeczność. Sięgnęłam i wyrwałam kasjerowi

paczkę z ręki, po czym cisnęłam ją między zapchane półki za moimi plecami. Tak się rozwiązuje problemy w Nowym Jorku.

— Następny znaczy następny — wyjaśniłam zszokowanemu mężczyźnie, kiedy kasjer skanował i pakował moje zakupy.

Torbę otworzyłam dopiero, kiedy znalazłam się w swoim radiowozie, zaparkowanym na drugiego na środku Broadwayu. Włożyłam gumowe rękawiczki i wyjęłam z paczki męskie okulary do czytania.

Szkła były okrągłe, otoczone srebrną oprawką. Tak samo jak w okularach, które Paul zgubił na miejscu zbrodni i których, jak liczyłam, Bonnie jeszcze nie przeanalizowała.

Przetarłam je spirytusem, po czym wrzuciłam do torebki na dowody. Podpaliłam paragon zapalką i wysypałam popiół przez okno na ulicę. Potem włączyłam silnik i odjechałam z piskiem opon.

Następny przystanek: kwatera główna policji na Manhattanie.

Rozdział 41

Bonnie siedziała z głową schowaną w jednej z szuflad w swoim biurku, kiedy weszłam do jej gabinetu na czwartym piętrze przy Police Plaza numer jeden.

— Hej, Bonnie — odezwałam się. — To ty, prawda?

— Lauren, co za miła niespodzianka — odrzekła Bonnie, wstając i potrząsając torbą, w której miała kawę ze Starbucksa. — A jakie świetne wycucie. Masz ochotę na francuską paloną kawę? — Po chwili postawiła przede mną parujący kubek. — A więc — zaczęła — jak wam idzie?

— Miałam cię spytać o to samo.

— Ta sprawa to dla nas priorytet, ale zajmie nam trochę czasu. Jak na razie wiemy tylko, że materiał, w który owinięto Scotta, to Neat Sheet, masowo produkowany kocyk piknikowy. Sprzedają je w każdym supermarkecie.

Pociągnęłam łyk kawy, kiwając głową. Kupiłam go w Stop & Shop.

— A co z okularami? — spytałam.

— Przykro mi, ale niewiele. Na szklach nie było żadnych widocznych odcisków palców. Wysłałam je do laboratorium, żeby poszukali chociaż fragmentarycznych odcisków na oprawkach, ale

nie liczę na wiele. Będziemy musieli trzymać kciuki za namierzanie za pomocą recepty. Przed chwilą skończyłam rozmawiać z niejakim Sakarovem, dyrektorem wydziału okulistyki na Uniwersytecie Nowojorskim. Zbada okulary i pomoże nam przeszukać rejestry.

Sparzyłam się w język kolejnym łykiem kawy, po czym postawiłam kubek na narożniku biurka Bonnie.

— Czy mogłabym je zobaczyć? — spytałam.

Bonnie dziwnie na mnie popatrzyła.

— Po co? Wzruszyłam ramionami.

— Czyja wiem? Może uda mi się jakoś wyczuć, co to za facet. Nigdy nic nie wiadomo.

Bonnie wstała, szczerząc zęby w uśmiechu.

— No dobrze, pani jasnowidz. Laboratorium jest tuż obok, zaraz ci je przyniosę. Posiedź tutaj i przygotuj swoje tajemne moce.

Rozdział 42

Dotknęłam okularów w kieszeni kurtki, patrząc, jak Bonnie odchodzi. Od początku zamierzałam improwizować, ale co w zasadzie miałam powiedzieć? „Popatrz, Bonnie, ptaszek!”, a potem szybko dokonać zamiany?

Piłam kawę i próbowałam coś wymyślić.

Mniej więcej po minucie przed gabinetem Bonnie pojawił się niechlujnie wyglądający młody człowiek. Widziałam, jak się rozgląda, wyraźnie zagubiony. Może to iluzjonista David Blaine, który pokaże mi kilka manualnych sztuczek.

Otworzyłam drzwi.

— Mogę panu w czymś pomóc? — zawołałam.

— Szukam sierżant Clesnik. Mam odebrać paczkę dla doktora Sakarova.

O nie! Przyszedeł po okulary. Skończył mi się czas.

A może wcale nie? Chłopak wpatrywał się we mnie, kiedy się namyślałam. W końcu wyjęłam z kieszeni plastikową torebkę z okularami, które kupiłam w Duane Reade. Na biurku Bonnie znalazłam pustą kopertę. Schowałam do niej okulary, polizałam i zakleiałam, po czym podałam młodzieńcowi.

Schował kopertę do torby na ramieniu, ale nie ruszał się z miejsca, cały czas się na mnie gapiąc. Co teraz? Bonnie w każdej chwili mogła wrócić.

— Czy coś jeszcze? — spytałam.

Potał zarost na podbródku.

— Może pani numer? — odpowiedział Kudłaty z chytrym uśmiechem. — Byłoby fajnie.

Jasne. Jakbym nie miała dosyć młodszych mężczyzn. Pomyślmy, co mogę powiedzieć, aby błyskawicznie go spławić?

— A lubisz dzieci? — wypaliłam, patrząc mu w oczy z miłością. — Bo mojej czwórce bardzo by się przydał ojciec.

— Spoko, tylko żartowałem — machnął ręką, po czym wreszcie wyszedł.

Bonnie wróciła jakieś trzy minuty później, niosąc okulary Paula w torebce na dowody.

— Masz szczęście, że przyszedłaś tak wcześnie — powiedziała. — Niedługo ma je odebrać poślaniec.

— O nie. Jakiś facet właśnie tu był, a ja go odesłałam. Zaraz go dogonię. — Wyrwałam jej okulary z ręki i pobiegłam do wyjścia. — Dzięki za kawę, Bonnie. Zadzwoń do mnie, kiedy tylko będziesz coś miała — krzyknęłam przez ramię.

Rozdział 43

Po powrocie do siedziby wydziału zabójstw od razu zauważyłam, że mój szef nie był sam. Zdażyłam jedynie powiesić płaszcz na krzesło, kiedy otworzyły się drzwi jego gabinetu.

— Lauren — zawołał Keane. — Chodź tutaj, proszę. Muszę z tobą natychmiast porozmawiać.

Stłumiłam jęk, przestępując próg gabinetu. Jeff Buslik podniósł wzrok, kierując na mnie ostre i czujne spojrzenie swoich ciemnych, błyszczących oczu.

— Dobry wieczór, pani porucznik — powiedział.

Przez ostatnie pięć lat zabójczo przystojny czarnoskóry Jeff Buslik pełnił obowiązki szefa wydziału zabójstw w biurze prokuratora generalnego w Bronksie. Wszyscy zgodnie twierdzili, że to prawdziwy geniusz. Pracowałam z nim trzykrotnie, zanim stanął na czele wydziału. Za każdym razem doprowadzał do uznania oskarżonych za winnych i skazania ich na maksymalny wymiar kary: od dwudziestu pięciu lat do dożywocia w stanowym więzieniu, jak przystało na Bronx.

Siadając, potarłam oczy.

— Co już macie? — spytał prokurator. — Powiedz mi wszystko, Lauren.

— Daj mi spokój, Jeff. Masz przed sobą mój raport. Przejrzyj go sobie jeszcze raz. Tak będzie szybciej.

Jeff się uśmiechnął. Nic dziwnego, że przysięgli za nim przepadali. Skubaniec wyglądał jak gwiazda filmowa. Był także nieźle wygadany.

— Zrób to dla mnie — poprosił.

A więc mu powiedziałam.

Kiedy skończyłam, odchylił się do tyłu na krześle. Położył dłonie na klapach nieskazitelnie czystej szarej marynarki i zapatrzył się na sufit upstrzony zaciekami. Jego oczy poruszały się tam i z powrotem pod na wpół przymkniętymi powiekami, zupełnie jakby coś czytał. Zastanawiałam się, ile zabójstw przewinęło się przez jego biurko. Tysiąc? Dwa tysiące?

Już teraz analizował i segregował informacje, budując silne i słabe strony aktu oskarżenia.

A może po prostu czytał mi w myślach? Zmusiłam się, aby przestać stukać butem o podłogę. Chryste, byłam przy nim solidnie zdenerwowana.

— Czy ta staruszka, Amelia Phelps, wydaje się wiarygodnym świadkiem? — spytał po chwili.

Skinęłam głową.

— Bardzo wiarygodnym, Jeff.

— Co z raportem patologa?

— Spiesz się — odparł mój szef. — Ale to zajmie jeszcze co najmniej tydzień.

— Co wam podpowiada intuicja w sprawie tych dwóch handlarzy? — spytał Jeff. — Braci Ordonezów?

— Znakomicie nam pasują — odrzekł Keane. — Tylko mamy kłopot z ich namierzeniem.

— Myślicie, że mogą być w drodze na Dominikanę? Ja tego nie wykluczam.

Czyż to nie byłoby cudowne? — pomyślałam.

— Kto wie? — odpowiedziałam.

— Uważacie, że są na tyle głupi, aby mieć przy sobie narzędzie zbrodni? — spytał Jeff, odpychając się elastycznym czubkiem buta i bujając na poskrzypującym krześle. — Moi przysięgli uwielbiają narzędzia zbrodni. Narzędzia zbrodni i DNA. W dzisiejszych czasach muszę im dawać mieszankę CSI oraz Prawa i porządku. Sami wiecie. Jeśli znajdziemy broń, najlepiej ze śladami krwi, to śledztwo będzie rozwiązane, zanim na dobre się zacznie.

W mojej głowie pojawił się sugestywny obraz pistoletu i zakrwawionej torby, które leżały w mojej szopie na narzędzia.

— Pracuję w tej dzielnicy nie od dziś, Jeff— powiedziała nonszalancko. — Nauczyłam się nie lekceważyć ludzkiej głupoty.

Buslik ponownie błysnął uśmiechem rodem z czerwonego dywanu.

— Wygląda na to, że jak zwykle o wszystkim pomyślałaś. Wracam do biura i zabieram się do przygotowywania nakazów rewizji. Kiedy tylko zdobędziecie adres, będziemy mogli zaczynać. Może spróbujemy powalczyć o karę śmierci.

Rozdział 44

Prawie implodowałam za biurkiem, kiedy Jeff Buslik opuścił budynek.

Myślałam, że sobie poradzę. Stałam na czele dochodzenia, więc wydawało mi się, że potrafię być o krok przed wszystkimi. Teraz już nie byłam tego pewna. Szczerze mówiąc, poważnie w to wątpiłam.

Do tej pory miałam szczęście, ale jak długo to potrwa? Niezbyt długo, jeżeli bystrooki Jeff Buslik będzie mi zerkał przez ramię. On potrafi wyczuć winę tak jak rekin wyczuwa krew.

Dwadzieścia minut później do biura wszedł Mike, niosąc tuzin pączków i kawę.

Świetnie, potężna dawka kofeiny. Zupełnie jakbym nie była dostatecznie nakręcona.

— Co słyhać? — spytałam.

Mike pokręcił głową.

— Pączka z galaretką? — zaproponował, otwierając pudełko.
— Nikt nic nie wie. Musimy czekać. Babeczkę?

Resztę dnia i początek wieczoru spędziliśmy, odmawiając komentarzy dziennikarzom, którzy dzwonili co pół godziny, oraz przeglądając akta spraw Scotta.

Szybko odkryłam, że Scott rzeczywiście był fantastycznym agentem operacyjnym. Wypożyczano go na potrzeby prowokacji, które organizowały FBI i ATF. Udało mu się nawet zostać prawą ręką wysoko postawionego członka kartelu Cali.

Natrafiłam na zdjęcie, na którym on i jego koledzy z międzywydziałowego oddziału specjalnego pozowali uśmiechnięci na tle ściany worków z przechwyconą kokainą. Och, Scott.

Pokręciłam głową, zamykając teczkę i otwierając kolejną.

Urodzony kłamca, a ja oczywiście musiałam mu uwierzyć.

Kiedy znów podniosłam wzrok, za oknami pokoju odpraw panowała ciemność. Która to już godzina?

Mike odłożył słuchawkę telefonu i ryknął niczym niedźwiedź, którego obudzono ze snu zimowego dwa miesiące za wcześnie.

— Tylko posłuchaj. Ci geniusze z DEA zlokalizowali braci Ordonezów, cytuję, „w tym nocnym klubie w Mott Haven, który częściowo do nich należy, albo w mieszkaniu na brooklińskim zadupiu”.

— Niezły rozrzut.

— No właśnie. Tak czy inaczej, czeka nas długa noc. Teraz ty trochę odpocznij. Wracaj do domu i sprawdź, co słychać u męża. Nie wyłączaj komórki. Kiedy tylko dostanę sygnał, dam ci znać. Jedź do domu.

Rozdział 45

Kiedy weszłam do domu, usłyszałam odgłosy telewizora dobiegające z salonu. Pojedynczy głos, a po nim śmiech publiczności w studiu. Pewnie Letterman. Świetnie. Wkrótce będzie opowiadał kawały o mnie i Paulu.

Położyłam kluczyki na ramie lustra i popatrzyłam na niebieski blask telewizora, sączący się przez szparę w drzwiach na wykładzinę w przedpokoju. Ze wszystkich trudnych rzeczy, które dziś zrobiłam, ta wydawała się najcięższa.

Nic nie stanowi równie udanego ukoronowania dnia, który poświęciłaś na zacieranie śladów morderstwa, jak przyznanie się mężowi do zdrady.

Wzięłam głęboki wdech, powoli wypuściłam powietrze z płuc, po czym otworzyłam drzwi.

Paul leżał na kanapie, przykryty po samą szyję narzutą z motywem New York Yankees. Wyłączył telewizor, kiedy zobaczył, że stoję w progu.

— Cześć — rzucił z uśmiechem.

Nadal ładnie się uśmiechał, nawet w najmniej odpowiednich chwilach.

Zmierzyłam go wzrokiem. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie wesołego „cześć”. Może raczej: „cześć, dziwko”.

— Cześć... — odpowiedziałam niepewnie.

Jaki powinien być następny krok w tym tańcu? Nie miałam zielonego pojęcia. Paul nigdy wcześniej nie zamordował mojego kochanka.

— Jak było w pracy? — spytał.

— W porządku... Nie wydaje ci się, że powinniśmy porozmawiać o tym, co się stało wczoraj w nocy?

Opuścił wzrok na podłogę. Może wreszcie zmierzaliśmy we właściwym kierunku.

— Nieźle się zaprawiłem, co?

Miałam ochotę odpowiedzieć, że tak zazwyczaj bywa, kiedy ktoś samodzielnie wyłopie butelkę szkockiej, ale postanowiłam okazać więcej serca. Paul musiał się otworzyć, zrzucić brzemię, które dźwiga. Powiedzieć mi, co dokładnie się wydarzyło. Pragnęłam wysłuchać jego wersji wydarzeń.

To by zdecydowanie ułatwiło całą sprawę. Mógłby pozbyć się tego ciężaru, a ja mogłabym go zapewnić, że nie musi się martwić, bo wszystkim się już zajęłam.

— Co się dzieje, Paul? — szepnęłam. — Możesz mi powiedzieć.

Zerknął na mnie, przygryzając dolną wargę.

— Mój Boże, Lauren. Chodziło o mój lot. To był koszmar. Usłyszeliśmy głośny huk i zaczęliśmy spadać. Byłem pewien, że to kolejny zamach terrorystyczny. Że już po mnie. Nagle wszystko się uspokoilo. Samolot wyrównał lot, ale pilot wylądował w Groton. W ogóle nie dotarłem do Bostonu. Ale czułem się tak, jakby ktoś ofiarował mi drugą szansę. Kiedy znaleźliśmy się na ziemi, wynająłem samochód i przyjechałem do domu. Chyba nadal byłem w szoku. Otworzyłem szkocką, bo pomyślałem, że drink mnie uspokoi. Zanim

się zorientowałem, z jednego drinka zrobiła się cała butelka. Nie pytaj mnie, co się stało z moim ubraniem. Przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć.

W ciemności czułam, że moja twarz płonie. Dlaczego Paul mnie teraz okłamywał? Zachowywał się tak, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że wiem, co się stało. Wiedziałam jednak, że mordercom często zdarzają się przypadki wyparcia, i to niezwykle silnego. Zabójcy zaczynają wierzyć, że nie popełnili zbrodni. Czy właśnie o to tutaj chodzi? Czy szok i poczucie winy spowodowały, że Paul ma przywidzenia?

— Paul! — odezwałam się w końcu. — Proszę cię!

Spojrzał na mnie zmieszany.

— O co mnie prosisz?

Mój Boże, pomyślałam. Jeszcze tego brakowało. Czy on ze mną w coś gra? Zupełnie, jakby nie wiedział, że też tam byłam. Jakby myślał, że Scott był sam i...

Jasna cholera! A więc o to chodzi! Zakryłam dłońią szeroko otwarte usta. Nie mogłam w to uwierzyć.

Paul nie miał pojęcia, że tam byłam!

Zrozumiałam, że wcale nie przyjechał do domu Scotta, aby nas nakryć. Pewnie przeczytał któryś z jego e-maili, nabrał podejrzeń i postanowił skopać rywalowi dupę, żeby raz na zawsze go ode mnie odciągnąć. Dlatego odjechał bez konfrontacji ze mną! I dlatego teraz tak się zachowuje. Wcale nie udaje. Rzeczywiście nie wie, o co mi chodzi!

Nie wie, że go zdradziłam.

Rozdział 46

To zmieniało postać rzeczy, prawda? Po drugiej stronie salonu Paul zsunął z siebie narzutę.

— Chodź tu do mnie, Lauren. Za ciężko pracujesz. Do diabła, oboje za ciężko pracujemy. No, chodź.

Kiedy zobaczyłam go leżącego tak na kanapie, przypomniało mi się, jak rok temu nadwerżyłam sobie plecy, goniąc za podejrzanym po schodach przeciwpożarowych w dzielnicy Throgs Neck. Wylądowałam w łóżku na dwa tygodnie, a Paul wykorzystał swój urlop, aby się mną zaopiekować. Naprawdę się zaopiekować. Gotował nam trzy posiłki dziennie i jadaliliśmy razem w salonie, oglądaliśmy telewizję, czytaliśmy, czasem to on mi czytał. W połowie drugiego tygodnia wysiadł bojler i nigdy nie zapomnę, jak Paul mył mi włosy w kuchennym zlewie wodą podgrzaną na gazie.

Najważniejsze zaś, że mogłam na niego liczyć.

A teraz to on potrzebował mojego wsparcia.

Wzięłam głęboki oddech, podeszłam i położyłam się obok niego. Zgasił światło. W ciemnościach odnalazłam jego dłoń i mocno ją ścisnęłam.

— No cóż, cieszę się, że wróciłeś do mnie cały i zdrowy — powiedziałam w końcu. — Nawet jeśli zgubiłeś gdzieś ubranie.

Rozdział 47

Następnego ranka, kiedy Paul wyszedł do pracy, szybko się ubrałam. Szczerze mówiąc, chciałam, aby sobie poszedł. Wręcz nie mogłam się tego doczekać.

Już miałam wrzucić torebkę do mini coopera, kiedy nagle ze szczegółami przypomniłam sobie, co powiedział zastępca prokuratora generalnego Jeff Buslik na temat pistoletu, z którego zastrzelono Scotta. Jego znalezienie było kluczowe dla rozwiązania sprawy.

Oddaliłam się od samochodu i pospieszyłam w kierunku szopy na narzędzia, powtarzając w myślach jedno pytanie.

Do której rzeki wyrzucę pistolet — Hudson, East czy Harlem?

Jednak kiedy otworzyłam drzwi szopy, poczułam w gardle wielką gulę. Tego się nie spodziewałam. Nawet w najgorszych koszmarach.

Miejsce, w którym wcześniej leżała torba z dowodami, było puste! Pozostało tylko powietrze.

Sprawdziłam za grabiami, torbami z nawozem, konewką.

Nigdzie nie było broni. Ani zakrwawionych papierowych ręczników. Niczego.

Co teraz?

Wpatrywałam się w puste miejsce, zastanawiając się, czy Paul pozbył się dowodów swojej winy. Może wyrzucił je, kiedy pojechał oddać samochód? A jeśli tak, to gdzie?

To mnie zmartwiło. Bardzo. Narzędzie zbrodni wciąż gdzieś tam było, a na nim prawdopodobnie odciski palców mojego męża.

Stałam w miejscu, zmagając się z uciskiem w żołądku, kiedy nagle zauważyłam łopatę. Miała ciemny czubek. Dotknęłam go. Był mokry od błota. Zabrałam łopatę z szopy i pobiegłam truchtem na podwórze za domem.

Gdzie bym zakopała broń, gdybym była Paulem?

Uznałam, że pewnie chciałam ją ukryć gdzieś niedaleko. W miejscu, które widziałabym z okna, aby móc się upewnić, że nikt się przy nim nie kręci.

Rozejrzałam się po podwórzu. Słońce oświetlało je tylko po południu, więc na razie wciąż było zacienione. Przespacerowałam się wzdłuż całego terenu, przez dwadzieścia minut wpatrując się w chłodną, ciemną ziemię, ale nie zauważyłam żadnych wyraźnych śladów. Ani na rabatach, ani pod żywopłotem, ani obok azalii.

Mniej więcej dziesięć minut później, tuż obok grilla, koło sterty ogrodowych cegieł, które kupiliśmy rok temu w Home Depot, zauważyłam coś dziwnego. Na ziemi po prawej stronie sterty widniały delikatne odciski.

Zdałam sobie sprawę z tego, że ktoś przesunął cegły kawałeczek w lewo.

Zaczęłam zdejmować ich górną warstwę i układać na pierwotnym miejscu. Grunt pod ostatnim rzędem był rozpulchniony.

Zabrałam się do kopania i po chwili natrafiłam łopatą na coś szeleszczącego. Wstrzymałam oddech, a moje serce mocniej zabiło. To była plastikowa reklamówka ze sklepu Stop & Shop. Otworzyłam ją i zobaczyłam pistolet kaliber .38 leżący na zakrwawionych ręcznikach.

Schowałam go do torebki, po czym zawiązałam otwór reklamówki i włożyłam ją do bagażnika chevroleta impali, radiowozu, którym zazwyczaj jeździłam do pracy. Następnie wróciłam na podwórze, zasypałam otwór i skrupulatnie ułożyłam cegły tak samo, jak je zastałam.

Złana potem właśnie odkładałam na miejsce ostatnią cegłę, kiedy usłyszałam jakiś dźwięk dobiegający od strony narożnika domu.

Odwróciłam się.

Serce zamarło mi w piersi.

To był mój partner, Mike.

Mike? U mnie w domu? Teraz?

Za nim stali członkowie oddziału specjalnego Scotta, Jeff Trahan i Roy Khuong. Wszyscy byli ubrani w kamizelki kuloodporne.

Czułam, że moje gruczoły potowe szeroko się otwierają. To było to — koniec gry!

Obserwowali mnie. Dokładnie wiedzieli, co się stało. Zapewne od samego początku.

A teraz wszystko się skończyło.

Bezgłośnie otworzyłam usta i wpatrywałam się w nich, wciąż klęcząc.

— Co się stało, Lauren? Nie odbierasz telefonu? — spytał Mike, stawiając mnie na nogi. — Właśnie dostaliśmy sygnał od naszego tajnego informatora, że Ordenezowie są w swoim Klubie. Postanowiliśmy po ciebie wpaść. Marut i Price czekają w furgonetce.

Strzepnął ziemię z moich dłoni, jak gdybym była niegrzecznym dzieckiem, które zostało przyłapane na zabawie w błocie.

— Będziesz mogła posadzić swoje byliny później, Martho Stewart — powiedział z uśmiechem, wyraźnie podekscytowany. — Teraz zapołujemy na zabójców glin.

Rozdział 48

Jadąc za szybko mknącą furgonetką, która udawała samochód firmy hydraulicznej, lecz tak naprawdę służyła specjalnemu oddziałowi antynarkotykowemu policji w Bronksie, oglądałam czarno-białe zdjęcia braci Ordonezów, które miał przy sobie Mike. Mark, pilot, był o rok starszy od Victora, jednak ospowaci twardziele o surowych oczach mogliby uchodzić za bliźniaków.

Oddałam zdjęcia Mike'owi, który przycupnął obok mnie. Był ubrany w kevlarową kamizelkę, a do piersi przyciskał bojową strzelbę. Ja również miałam na sobie kamizelkę kuloodporną, która straszliwie ciążyła mi na plecach i ramionach.

A może to rozsadzające czaszkę poczucie winy i niepewność ciągnęły mnie ku ziemi.

— Prawdziwi przystojniacy — bąknęłam.

— Zauważyłaś, jaką bladą skórę ma Victor? Nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Niemal idealnie pasuje do opisu Amelii Phelps. On to zrobił, Lauren. Już piętnaście lat temu prawie zabił policjanta, a teraz udało mu się ze Scottem, sukinsyn go załatwił. Czuję to. — Popatrzyłam na swojego partnera. Miał nieobecne,

złowrogie spojrzenie. — Tych dwóch pożałuje, że matka nie udusiła ich zaraz po urodzeniu — szepnął.

Przeczesałam włosy palcami. Przypomniałam sobie, że tata Mike'a został zastrzelony na służbie. A teraz ścigaliśmy zabójców gliniarza. Nagle zwątpiłam, czy to dobry pomysł. Szczerze mówiąc, byłam pewna, że nie.

— Jesteśmy na miejscu — zawołał Trahan z fotela kierowcy, kiedy furgonetka zwolniła. — Przygotujcie się, drogie panie.

W zamkniętym wnętrzu furgonetki unosił się intensywny metaliczny zapach. Pewnie adrenalina. A może testosteron. Sytuacja rozwijała się zdecydowanie za szybko. Szczęk broni odbijał się echem od mocnych stalowych ścian.

Zaparkowaliśmy na Sto Czterdziestej Pierwszej Ulicy, odchodzącej od Willis Avenue. Patrząc na zachwaszczone place i sypiące się budynki, stwierdziłam, że Manhattan ze swoim rynkiem nieruchomości najwyraźniej jeszcze nie zawitał w te okolice.

Za wszelką cenę starałam się nie myśleć o tym, co robimy.

Po drugiej stronie opustoszałej ulicy niesiona wiatrem strona z gazety „El Diario” zatrzymała się na przypominającym szkielet zde-rzaku kompletnie ogołoczonego cadillaca escalade. Jedynymi budow-lami w tej okolicy, które sprawiały wrażenie w miarę solidnych, były osiedla na drugim brzegu spiżowej rzeki Harlem za naszymi plecami.

Trahan wskazał stary, pochylony czteropiętrowy budynek bez windy, który stał w połowie długości ulicy.

— To tam — powiedział. — To ten klub.

Klub? — zdziwiłam się. Jaki klub? Trahan pokazywał niecie-kawą sklepową witrynę z ciemną bramą, którą okalały dwie pary

stalowych opuszczanych drzwi pokrytych graffiti. Okna w sypiącej się części mieszkalnej kamienicy były puste. Brakowało w nich nie tylko ludzi, ale także szyb i aluminiowych ram. Trahan zauważył moją osłupiałą minę.

— Poczekaj, aż zobaczysz budynek w środku — rzekł, ze smutkiem kręcąc głową. — To inny świat.

Wyjął komórkę i do kogoś zadzwonił. Po kilku sekundach syknął i zatrzasnął klapkę telefonu.

— Cholerni tajni informatorzy. Baba nie odbiera.

— Baba? — upewniłam się, czy dobrze usłyszałam.

— Oczywiście — odparł oficer Marut. — Sypiała z Markiem Ordonezem, dopóki ten nie zostawił jej dla innej. Nie ma lepszego źródła informacji niż odrzucona kobieta.

— Kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś? — spytałam.

— Chwilę przed wizytą u ciebie — odrzekł Trahan. Z frustracji zacisnął zęby na antenie krótkofalówki. — Chciałem to załatwić szybko, wrzucić granaty błyskowo-hukowe przez frontowe drzwi, powalić wszystkich na ziemię. Teraz już sam nie wiem. Informatorka powiedziała, że klub jest pełen ludzi. Nie możemy ryzykować, że komuś stanie się krzywda, zwłaszcza nam. — Musimy mieć pewność, że Ordonezowie są w środku. Jeśli tak, to pieprzyć wszystko!

— Zaraz, zaraz — przerwałam mu. — A gdzie są oddziały specjalne? Oni uwielbiają takie akcje. Może pozwolimy im się tym zająć?

— Scott był naszym bratem — odezwał się Khuong ponuro, mierząc mnie surowym spojrzeniem czarnych jak węgiel oczu. — To musi zostać w rodzinie.

Dobry Boże. Coraz mniej mi się to podobało. Wszyscy tutaj sprawiali przerażające wrażenie. Byli zbyt nakręceni, rozwalali, aby panowały nad nimi emocje. Cała ta akcja bardziej przypominała

wyprawę wojenną niż próbę aresztowania. Co się stało z zasadą odsuwania od śledztwa osób zaangażowanych emocjonalnie? Choć akurat ja nie miałam prawa do krytyki.

— Mówicie, że tam jest pełno ludzi? — Spojrzałam z powątpiewaniem na opuszczony budynek. — Dochodzi dziewiąta rano.

Thaddeus błysnął złotym zębem. A przynajmniej tak mi się wydawało. Potem przeładował dziesięciomilimetrowego smith & wessona.

— Niektórzy nigdy nie kończą się bawić, dziewczyno.

— Zaczekajcie. W jaki sposób zrobimy zwiad? — włączył się do rozmowy oficer Marut. — Jeśli ci goście zabili Scotta, to pewnie są piekielnie nieufni wobec każdego, kto wygląda podejrzanie. Wszyscy ich śledziliśmy. Kto wie czy nas nie rozpoznają.

— Mam pomysł — powiedziałam. Popatrzyłam na klub. Sprawił złowrogie wrażenie, niczym wejście z podupadłej dzielnicy prosto do piekła. Ale to moje kręactwa nas tu doprowadziły i ledwie radziłam sobie z tą świadomością. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby jeszcze komuś stała się krzywda. — Załóżcie na mnie podsłuch — poprosiłam.

Trahan pokręcił głową.

— Nic z tego.

— Czyś ty zwariowała? — odezwał się Mike. — Nie ma mowy, żebyś weszła do tej dziury sama. Ja to zrobię.

Popatrzyłam mu w oczy. Mówił poważnie. Jak już wspominałam, z moim partnerem nikt nie mógł się równać.

— Posłuchaj mnie — odparłam. — Wchodzę do środka. Nikt mnie tam nie zna. Zresztą nie będą się spodziewać kobiety. Jeśli to ci nie wystarczy, przypominam, że to ja prowadzę dochodzenie. A odpowiadając na twoje pierwsze pytanie: tak, oczywiście, że zwariowałam.

Rozdział 49

Agent DEA Thaddeus Price potrzebował około półtorej minuty, aby umieścić malutki bezprzewodowy mikrofon Typhoon pod guzikiem mojego żakietu. Miałam ochotę powiedzieć mu, że aż tak mi się nie spieszy, ale zachowałam tę uwagę dla siebie.

— Dobra, oto cały sprzęt — rzekł. — To zapadła dziura, ale uwierz mi, że w piątki rano mają komplet ostrych imprezowiczów z Manhattanu. Podejdiesz, zapukasz do drzwi i powiesz bramkarzowi, że szukasz swojego chłopaka, didżeja Lewisa. Nie martw się, nie ma go tam. Ale bramkarz powinien cię wpuścić.

— Dlaczego?

Thaddeus ponownie błysnął zębem w uśmiechu. — Spójrz w lustro. Ładne białe dziewczyny nie muszą się znajdować na liście gości.

— Jeśli zobaczysz któregokolwiek z naszych koleś, Marka albo Victora, zawołaj: „kod czerwony” i schowaj się za najbliższym rogim — poradził Trahan. — Zrób tak samo w przypadku kłopotów, jeżeli poczujesz się w jakikolwiek sposób zagrożona. Będziemy w środku, zanim zdążysz zaczerpnąć powietrza, zgoda?

— Kod czerwony. Jasne — odpowiedziałam.

Kod czerwony panował w moim życiu bez przerwy przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

— Czy coś jeszcze? — zastanowił się Trahan. — No tak. Oddaj broń i odznakę. Bramkarz może zechcieć cię przeszukać.

Wydawało mi się, że ściany zatłoczonej furgonetki gwałtownie się przybliżyły, aż poczułam się tak, jakbym leżała w trumnie. Swojej własnej.

Jezu Chryste!

Bez problemu mogłam oddać glocka i odznakę.

Jednak w torebce miałam też pistolet Scotta, od którego kuli zginał. Jego widok mógłby wywołać lekką konsternację wśród pasażerów furgonetki. Co miałam teraz zrobić, do diabła?

Sięgnęłam do torebki i podałam Trahanowi glocka. Potem wręczyłam mu swoją złotą odznakę.

Broń Scotta pozostawiłam tam, gdzie była, pod portfelem i pudełkiem miętusów.

— Trzymajcie za mnie kciuki — poprosiłam.

— Kod czerwony — powtórzył Trahan. — Nie zgrywaj bohatera, Lauren.

— Wierz mi, nie jestem bohaterem.

Drzwi furgonetki gwałtownie się odsunęły. Mrużąc oczy, wysiadłam na popękany i poplamiony chodnik. Rozejrzałam się. Nie wiedziałam, co wygląda marniej: podupadły śródmiejski krajobraz czy moje szanse na wyjście cało z tej szalonej gry.

— Nie przejmuj się, partnerko — rzekł Mike. — Przez cały czas będziemy mieli na ciebie oko.

No właśnie, pomyślałam, podnosząc torebkę, gdy zatrzasnęły się za mną drzwi samochodu.

W tym cały szkopał.

Popatrzyłam na tak zwany klub, do którego miałam pójść. Stalowe opuszczone drzwi. Ciemna brama pomiędzy nimi, przypominająca pionowy otwarty grób.

Na litość boską, co też może mi się za chwilę przytrafić?

Kod czerwony stanowił najmniejszy z moich problemów.

Rozdział 50

W niewielkiej wnęce tuż za nędznymi drzwiami wejściowymi wisiał karmazynowy aksamitny sznur, a za nim znajdowała się ciemna jak atrament klatka schodowa prowadząca w dół.

Bramkarz stojący obok schodów miał na sobie okulary przeciwsłoneczne w kolorze szampana oraz trzyczęściowy garnitur, który wyglądał na wykonany z czerwonego poliestru. Podchodząc, zastanawiałam się, co mnie w tym facecie bardziej niepokoi: jego dwa metry wzrostu czy potworna otyłość.

Od strony surowej betonowej klatki schodowej dobiegał regularny łomot, jak gdyby w czeluściach ziemi prowadzono roboty strzelnicze.

— Lewis dziś kręci? — spytałam.

Bramkarz zaprzeczył niemal niezauważalnym ruchem ogromnej głowy.

Czy rozumiał po angielsku? Czy od razu rozpoznał, że jestem policjantką? Nagle bardzo się ucieszyłam, że mam Mike'a i resztę facetów w zasięgu krzyku.

— To prywatna impreza czy mogę wejść?

Modliłam się o to pierwsze, zerkając w dół ciemnych schodów. Nie miałam nic przeciwko temu, aby wrócić przegrana do furgonetki. Wymyślilibyśmy coś innego. W tej chwili skłaniałam się ku drzemce. Lub trzytygodniowym wakacjom za granicą.

— Zależy — odezwał się w końcu.

— Od czego?

Opuścił okulary i stanął w taki sposób, że poczułam, jak ze strachu żołądek podchodzi mi do gardła.

— Od tego, jak bardzo ci zależy.

— Brzmi romantycznie — odparłam i odwróciłam się na pięcie.

— Ale niczego na tym świecie nie pragnę aż tak bardzo.

— Poczekaj, poczekaj — zawołał obleśny typ, wybuchając złośliwym śmiechem i odpinając aksamitny sznur. — Nie bądź taka drażliwa, białasko. Żartowałem tylko. Bramkarski humor. Witaj w CudZiemiu.

Rozdział 51

Kiedy w końcu dotarłam na dół zdradliwie mrocznych schodów, byłam niemal gotowa, aby dla obrony wyciągnąć z torebki pistolet Scotta. Zamiast tego wzięłam głęboki wdech, po czym ruszyłam w stronę głośnego dudnienia, przechodząc przez drzwi zasłonięte kurtyną z kryształowych koralików.

Po drugiej stronie z osłupieniem popatrzyłam na płaskie ekrany telewizorów, drogie oświetlenie oraz zatłoczony bar na środku pomieszczenia, który wyglądał, jakby wykonano go z czarnego szkła.

Stojące za nim barmanki miały na sobie czarne gumowe kostiumy kotów i sztuczne piersi. Cholera, to mogli być transwestyci. Bronx naprawdę powrócił.

Musiałam przyznać, że klub zrobił na mnie wrażenie. To równie dobrze mógłby być Manhattan. Bracia Ordonezowie odrobili pracę domową z upokarzania.

Wśród głównie latynoskiego tłumu obecna była także spora grupa bogatych białych klientów. Pocili się na parkiecie, z twarzami zastygłymi w głupawych uśmiechach, kręcąc kolorowymi świecącymi pałeczkami, które trzymali w rękach.

Ponad wirującymi tancerzami, w stalowej klatce zwisającej z sufitu, nagi karzeł z anielskimi skrzydłami tłukł w przęty białą pałką policyjną. Kto wymyśla to gówno?

— Wyczuwam twoją energię — odezwał się do mnie tłusty facet w średnim wieku o wyglądzie maklera, opuszczając parkiet i starając się mnie objąć.

Spróbowałam go odepchnąć, a kiedy to nie poskutkowało, lekko uderzyłam go kolanem między nogi.

— Dopiero teraz ją wyczuwasz — odparłam, pospiesznie się wycofując. Umknęłam w stronę baru.

— Dwanaście dolarów — rzuciła barmanka, kiedy zamówiłam heinekena.

No proszę, pomyślałam, niechętnie płacąc, nawet ceny mają jak na Manhattanie.

Mniej więcej pół minuty później niski, pulchny, uśmiechnięty Latynos z bródką wepchnął się na miejsce obok mnie.

— Sprzedaję cukierki — powiedział.

Zmierzyłam go wzrokiem. Cukierki? Czy ten tekst to jakiś nowy sposób na podryw? Zdażyłam wypaść z branży. Choć szczerze mówiąc, jako grzeczna dziewczynka z katolickiej rodziny nigdy tak naprawdę w niej nie byłam.

Położył mi na dłoni pigułkę w kolorze kości słoniowej. To raczej nie była landrynka.

— Dwadzieścia — rzekł.

Oddałam mu tabletkę, a on wzruszył ramionami i odszedł. Handlarz ecstasy zapewne pracował dla Ordonezów. Niestety, straciłam go z oczu, kiedy znalazł się na parkiecie, na którym niczym w kalejdoskopie rozbłyskiwały promienie laserów.

Zaczęłam się rozglądać w poszukiwaniu kogoś z Ordonezów. Przyjrzałam się ekskluzywnym boksom w tylnej części parkietu za didżejem. Stroboskopy i ostre fale basów nie pomagały mi w koncentracji. Czy mi się to podobało, czy nie, musiałam podejść bliżej.

Przemykałam wzdłuż krawędzi parkietu, aby uniknąć kolejnych niechcianych zaczepek, kiedy nagle tuż obok mnie otworzyły się drzwi w betonowej ścianie.

Wyszedł przez nie Victor Ordonez i spojrzał mi prosto w oczy. Zanim zdołałam się poruszyć, na karku poczułam żelazny uścisk.

Odwróciłam się i ujrzałam swojego kolegę z góry, bramkarza, który zdecydowanie potrzebował diety.

— To tylko ja, proszę pani — wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Zapraszamy do pokoju dla VIP-ów — wrzasnął Victor, przekrzykując muzykę. Zostałam wepchnięta do środka. — To prywatna impreza. Ale ty możesz zostać moim gościem.

Rozdział 52

Pokój dla VIP-ów na tyłach klubu okazał się piwnicą. Surowe betonowe ściany i podłoga, ramy okienne z pustaków, zardzewiały kadłub starego bojlera. Ładny wystrój. Goła żarówka wisiała nad starym kuchennym stołem pokrytym plamami tłuszczu, na którym stała elektroniczna waga z nierdzewnej stali.

Za stołem, po drugiej stronie ciemnych drzwi, znajdował się korytarz, w którym coś leżało na podłodze.

Serce podeszło mi do gardła.

To był poplamiony materac.

— Zabieraj te brudne łapy — parsknęłam, próbując wyrwać się z uścisku bramkarza.

— Uspokój się, proszę — odezwał się Victor uprzejmie, stając przede mną.

Miał na sobie trzyczęściowy biały garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Ciekawe, czy Mickey Rourke wie, że zginęły mu ciuchy.

— Chodzi o rutynowe kwestie bezpieczeństwa — wyjaśnił. — Mój pracownik, Ignacio, zapomniał cię przeszukać na górze. To spore przeoczenie z jego strony.

W mojej głowie odezwał się alarm. Zastanawiałam się, co jeszcze uznaje za rutynowe brutalny handlarz narkotyków, którego miałam przed sobą.

— Hej, możesz mnie stąd wykopać za złamanie przepisów — odparłam. — I tak chciałam iść na śniadanie do jakiejś jadłodajni.

Victor westchnął, po czym skinął głową na bramkarza.

Wyrwano mi torebkę z ręki. Usłyszałam, że jej zawartość ląduje na stole, i rozejrzałam się w poszukiwaniu innego wyjścia z pomieszczenia.

Nie mogłam oderwać wzroku od materaca. Pamiętałam o sprawie za usiłowanie gwałtu, o której czytałam w aktach Victora.

Czy powinnam rzucić się po pistolet Scotta? Ile zostało pocisków w magazynku? Cztery? Dwie kulki dla młodego Ordoneza, potem strzał w głowę olbrzyma i ucieczka tymi samymi drzwiami, którymi weszłam.

— Co to jest? — spytał Victor, uprzedzając mnie i biorąc do ręki trzydziestkęósemkę Scotta.

Wpadłam w panikę. Miałam na sobie mikrofon i nie mogłam pozwolić, aby reszta oddziału dowiedziała się o pistolecie. Zaczęłam gorączkowo myśleć nad odpowiedzią.

— To mi wygląda na kod czerwony — odparłam spokojnie.

— Co to jest kod czerwony?

— Właśnie to. Broń, którą masz w rękę i którą we mnie wycelowałeś. To jest kod czerwony! — powiedziałam głośno, mając nadzieję, że mikrofon wychwycił moje słowa.

Poczułam pieczenie w kolanach, kiedy Victor nagle rzucił mnie na podłogę.

— Stul pysk, suko! Za kogo ty się uważasz, że przychodzisz do mojego klubu i się na mnie wydzierasz?

— Coño! Nie widzisz? — odezwał się bramkarz za moimi plecami. — To policyjny pistolet. Pierdolona glina. A Pedro już się przed nią zdradził!

— Zamknij się, debil, i daj mi pomyśleć! — wrzasnął Victor.

Moja twarz zdrętwiała, kiedy młodszy z braci Ordonezów nagle wycelował we mnie pistolet. Zajrzałam do czarnego wnętrza lufy. Przed oczami zamiast całego życia przeleciało mi wszystko, co się stało, odkąd postanowiłam przespać się ze Scottem. Ze szczegółami zobaczyłam każdy fałszywy krok, który doprowadził mnie od wydarzeń sprzed dwóch dni do chwili obecnej.

Zaraz, a gdzie jest mój oddział? Popatrzyłam na grube ściany. Cholerne piwnice! Pewnie nie działa tu radio.

— Kod czerwony! — ryknęłam i rzuciłam się do drzwi.

Bramkarz okazał się zaskakująco szybki jak na taką górę mięsa. Zdążyłam pokonać tylko połowę drogi, zanim chwycił mnie za kostkę, prawie urywając lewą stopę.

Nagle rozległ się krzyk i drzwi eksplodowały!

Dudniąca muzyka taneczna w jednej chwili wypełniła pomieszczenie. Przed moimi oczami — załzawionymi od pyłu i drzazg — rozegrała się najbardziej satysfakcjonująca scena, jaką widziałam w życiu.

Mój partner, Mike, wjechał do piwnicy na wyważonych drzwiach niczym na desce surfingowej.

Rozdział 53

Mike zmiażdżył paskudną twarz bramkarza ciosem kolby w nos, zanim potwór zdążył wykrztusić pierwsze przekleństwo.

— Gdzie Victor? — spytał, rzucając mi mojego glocka i kajdanki. — Straciliśmy z tobą łączność. Informatorka Trahana powiedziała nam, że Ordonez cię tu przyprowadził.

— Nie wiem, dokąd poszedł — odparłam, rozglądając się dokoła. — Był tu przed sekundą.

— Przykuj do czegoś tego gościa i chodź ze mną jako wsparcie.

Opuścił strzelbę i pobiegł w głąb mrocznego korytarza, w którym leżał materac.

Przykułam nieprzytomnego bramkarza do jednej z rur bojlera. Miał połamane okulary, a jego krwawiąca twarz kolorem upodobniła się do garnituru. Chciałam mu powiedzieć, że to taki gliniarski humor. Ruszyłam korytarzem za swoim partnerem.

Gdzieś przede mną trzasnęły drzwi.

Cholera, dokąd pobiegli Mike i Ordenez? Uderzyłam się w piszczel o niewidoczne schodki, po czym wbiegłam po nich, trzymając przed sobą glocka.

Drzwi, które w końcu znalazłam, praktycznie za pomocą twarzy, prowadziły na rozległy teren pełen wysokich chwastów, śmieci i tłuczonego szkła. Gdzie ja jestem?

Zamrugałam pod wpływem oślepiającego światła dziennego. Zobaczyłam, że Mike jest już w połowie opuszczonego placu. Kilkadziesiąt metrów przed nim postać w białym garniturze biegła wzdłuż Sto Czterdziestej Ulicy. To musiał być albo Victor Ordenez, albo jakiś łodziarz trenujący przed maratonem.

Zaczęłam zmniejszać dystans, podczas gdy Mike gonił Victora na wschód przez dwie kolejne przecznice. Za trzecim skrzyżowaniem przebiegli pod wiaduktem i wpadli na teren złomowiska. Czy Ordenez ucieknie? Chyba miałam taką nadzieję. Gdyby to ode mnie zależało, mógłby pobiec nawet do samego Santo Domingo.

Niestety, mój partner nie rezygnował z pościgu, desperacko pędząc torem przeszkód usianym zgniecionymi pudłami i stertami metalu. Wystarczyłoby, aby Ordenez zatrzymał się i strzelił, a Mike byłby załatwiony. Ale tak się nie stało.

Zbliżając się do ściany zardzewiałej blachy na tyłach złomowiska, usłyszałam głośny metaliczny pisk, a następnie huk metalu uderzającego o metal. Co to było, do diabła?

Kilkadziesiąt metrów ode mnie, w najodleglejszym narożniku złomowiska, Ordenez zeskoczył z wózka widłowego, którym właśnie wjechał w ogrodzenie.

Na czworakach precyzyjnie się przez pęknięcie, które zrobił w płocie.

Po chwili zza sterty rur wyłonił się Mike i zanurkował w ten sam otwór, cały czas siedząc zbiegowi na karku.

Kiedy wreszcie dotarłam na miejsce, sapiąc i dysząc, zobaczyłam pociągi. Mnóstwo pociągów. Ordonez uciekł ze złomowiska na plac postojowy wagonów metra.

A ja zapomniałam naładować kartę miejską, pomyślałam, przeczołgując się przez otwór w ogrodzeniu i wypatrując śmiercionośnej trzeciej szyny.

Rozdział 54

Biegłam przez wąski przesmyk między dwoma zaparkowanymi pociągami linii 4, rozpaczliwie szukając Mike'a i Ordoneza, kiedy nagle usłyszałam ostry trzask. Cholera! Szyba nad moją głową rozsypała się na kawałki.

— Hej, biaśsko! Łap!

Odwróciłam się i zobaczyłam, jak Victor Ordonez wychyla się z okna w kabinie konduktora dwa wagony ode mnie i ponownie strzela. Poczułam, że coś świsnęło mi koło ucha, a następnie usłyszałam dźwięk, który przypominał odgłos pękającego cienkiego lodu.

Wycelowałam glocka w stronę Victora i kilkakrotnie nacisnęłam spust.

Kiedy wyrzucałam pusty magazynek, zdałam sobie sprawę z tego, że coś ciepłego spływa mi po szyi. Wtem moje nogi jakby przestały istnieć i upadłam na żwir. Coś było nie w porządku z jedną stroną mojej twarzy.

Boże, dostałam! Kręciło mi się w głowie. Zupełnie jakbym wyslizgiwała się ze swojego ciała i patrzyła na siebie z zewnątrz.

Nie poddawaj się szokowi, Lauren! Zrób coś! Ale już! Dźwignęłam się na nogi i zaczęłam się wycofywać na tyle szybko, na ile

pozwalają mi drżące kolana. Przycisnęłam rękaw kurtki do głowy w miejscu, z którego krwawiłam.

Ponownie upadłam i z trudem wstałam, aż wreszcie dotarłam do końca pociągu.

Zauważyłam otwarte drzwi w ostatnim wagonie. Podciągnęłam się, wślizgnęłam na brzuchu do środka i wtoczyłam pod siedzenia.

Wtedy strzelanina rozpętała się na dobre! W odległości dwóch lub trzech wagonów trzykrotnie huknęła strzelba, raz za razem. Po-tem strzał rozległ się niemal dokładnie nade mną i szyba w wagonie, w którym się schowałam, rozprysła się na drobne kawałeczki.

Leżałam zwinięta w kłębek na brudnej podłodze, krwawiąc i dygocząc, kiedy nagle z sąsiedniego wagonu dobiegł mnie krzyk Ordoneza. Z miejsca, w którym leżałam, nie mogłam go dojrzeć, ale słyszałam go doskonale, jakbyśmy byli w tym samym pokoju.

— Dobra! Dobra! Poddaję się! — wrzeszczał do kogoś Victor. Rozległ się odgłos czegoś ciężkiego upadającego na podłogę. Pisto-let Scotta? — Żądam rozmowy z prawnikiem — rzekł Ordenez.

Przez chwilę panowała cisza. Dziwnie głęboka. Co się dzieje?

Potem usłyszałam odgłos przeładowywanej strzelby. Klik-klak.

— Jediną osobą, z którą się spotkasz, ty pieprzony morderco, jest grabarz — powiedział Mike.

O nie! Dobry Boże, Mike. Co ty wyprawiasz? Nie! Przewróci-łam się na brzuch i z wysiłkiem stanęłam na nogi, szeroko otwierając usta, aby krzyknąć do partnera.

— Morderco? — spytał Ordenez ze zdziwieniem w głosie. Potem strzelba huknęła po raz ostatni.

Rozdział 55

Chyba na chwilę straciłam przytomność, bo następną rzeczą, którą usłyszałam, było czyjeś wołanie: „Gdzie ty, kurwa, jesteś?!”. Głos dobiegał z krótkofalówki Mike’a, która leżała obok mojego ucha. Mike siedział na podłodze wagonu, trzymając moją głowę na kolanach.

— Wszystko będzie w porządku, Lauren — powiedział z uśmiechem i łzami w oczach. — To tylko draśnięcie, powierzchowna rana. Przrzekam, że z tego wyjdiesz.

— Nie umrę?

— Nie. Na pewno nie przy mnie.

Przez otwarte drzwi pomiędzy wagonami widziałam rękę, która wystawała z morza potłuczonego szkła. Biały rękaw był upstrzony śladami krwi.

— Co z Victorem? — spytałam. — Czy...

Położył mi palec na ustach.

— Odpowiedziałem ogniem, kiedy do mnie strzelił. Pamiętasz, co się stało, prawda, partnerko?

Skrzywiłam się. Nie mogłam w to uwierzyć. W jakiś sposób moje życie pokonało drogę od normalności do tego punktu.

— Tak właśnie było. Najpierw on strzelił, a potem ja — powtórzył Mike. — Właśnie tak i nie inaczej.

Skinęłam głową i odwróciłam wzrok.

— Słyszę, Mike. Zrozumiałam.

— Tutaj są — rozległ się rozpaczliwy głos na zewnątrz wagonu. — Są w środku.

— Mój tata został zabity w takim samym pociągu — powiedział Mike zmęczonym głosem. — Takim samym. — Usłyszeliśmy zbliżające się uderzenia śmigieł helikoptera, a potem szczekanie psów. — Często zabierał mnie i mojego młodszego brata na ryby na City Island — ciągnął mój partner. — Pewnego razu brat tak się wiercił, że wyrzucił łódkę. Myślałem, że tata go utopi, ale on tylko się roześmiał. Właśnie taki był. Takiego zawsze będę go pamiętał. Płynącego do brzegu z nami uczepionymi u szyi i śmiejącego się do rozpuku. — Z krtani Mike'a wyrwał się przerażający dźwięk, który wyrażał trzydzieści lub czterdzieści lat smutku. — Zawsze wiedziałem, że coś takiego w końcu się zdarzy. Wcześniej czy później.

Poklepałam go po łokciu.

Potem ratownicy medyczni i agenci DEA wpadli do podziurawionego kulami wagonu.

Rozdział 56

To zdecydowanie nie miał być mój ostatni dzień. Okazało się, że nawet nie potrzebuję szwów, więc lekarz tylko oczyścił ranę, zatamował krwawienie z policzka i lewego ucha, po czym opatrzył mnie za pomocą niewielkiego bandaża. Siedziałam w otwartych drzwiach karetki, obserwując całe zamieszanie i rozmyślając o tym, że mogłam tutaj zginąć.

Trahan w końcu zadzwonił po oddziały specjalne, czyli nowojorski SWAT, więc ich ciężarówki z silnikami Diesla wkrótce ustawiły się wokół placu. Przybyły także oddziały z psami, helikoptery oraz pluton śledczych i mundurowych. Kiedy Mike zobaczył, że zostałam ranna, wysłał sygnał 10-13, „policjant w pilnej potrzebie”, na który odpowiedzieli chyba wszyscy poza strażą nadbrzeżną.

Porucznik Keane zeskoczył ze stopni wagonu, w którym nadal leżał Victor Ordonez, po czym do mnie podszedł.

— Dobrze się spisałaś. Sprawdziliśmy numer seryjny pistoletu, który znaleźliśmy przy naszym drogim zmarłym Przyjacielu. To broń Scotta. Tak jak podejrzewaliśmy, to Ordonez go załatwił.

Pokręciłam głową, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

W jakiś dziwaczny sposób sprawy ułożyły się lepiej, niż oczekiwałam, a nawet marzyłam. Teraz już wszystko będzie w porządku. Pomimo moich opóźnień, zaniedbań i kłamstw.

— Znaleźliście Marka, jego brata pilota?

— Jak dotąd nie. Ale nie przejmuj się, facet w końcu wypłynie.

— Gdzie jest Mike?

Mój szef przewrócił oczami.

— Przesłuchują go ludzie z Biura Spraw Wewnętrznych. Dotarli tutaj jeszcze przed oddziałami specjalnymi. To, że zostałam ranna, najwyraźniej nie ma dla nich większego znaczenia. Może te dupki myślą, że sama się postrzeliłam i podrzuciłam broń.

Zapanowałam nad swoim oddechem, ale tylko dzięki niezwyklej koncentracji.

Tymczasem szef pomasował mnie po plecach niczym asystent w narożniku przed posłaniem boksera do walki.

— Poproś go, żeby podwiózł cię do szpitala Jacobi, zanim zjawi się komisarz. Potem pojedź do domu i wyłącz telefon. Będę trzymał tych natrętów z dala od ciebie, dopóki nie złapiesz oddechu. Zadzwoń do mnie jutro. Czy czegoś teraz potrzebujesz?

Pokręciłam głową. Nie miałam pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie.

— Naprawdę świetna robota, maleńka — powtórzył na odchodnym. — Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni.

Siedziałam, patrząc, jak się oddala. Policja znalazła mordercę. Paul prawdopodobnie się wywinie. Brooke i dzieciaki otrzymają

opiekę, na jaką zasługują. Obserwowałam niebieski policyjny helikopter, który prześlizgnął się ponad drutem ostrzowym zwieńczającym płot wokół placu i wzbił się w jasnobłękitne niebo. W pozabawionym szyb oknie wagonu kątem oka dostrzegłam błysk lampy aparatu fotograficznego, którego używali specjaliści od medycyny sądowej.

Wszystko się ułożyło, prawda? To już koniec tego bałaganu.

Więc dlaczego płaczę?

Rozdział 57

Był słoneczny i rześki poniedziałkowy poranek.

Stojąc na baczność na stopniach kościoła Świętego Michała przy Czterdziestej Pierwszej Ulicy w Woodside, cieszyłam się ciepłem, które dawały mi mundur oraz bliskość otaczających mnie policjantów.

Chociaż na odgradzonej ulicy znajdowało się od trzech do czterech tysięcy gliniarzy, którzy czekali na przybycie karawanu z trumną Scotta, jedyne, co się poruszało i wydawało jakikolwiek odgłos, była łopocząca flaga trzymana przez gwardię honorową, pyszniąca się jaskrawymi gwiazdkami i paskami.

Grzechot werbli rozległ się wraz z pierwszym uderzeniem dzwonów. Zza rogu kamiennego kościoła wyłonił się czterdziestoosobowy oddział członków Szmaragdowego Stowarzyszenia. Tym razem dudy milczały, a dobosze wygrywali marsza żałobnego na bębnach owiniętych czarną tkaniną.

Za nimi jechał pozornie niemający końca podwójny sznur policjantów na motocyklach, których silniki strzelały przy spacerowej prędkości.

Kiedy na horyzoncie wreszcie pojawił się lśniący czarny karawan, niemal można było usłyszeć, jak tysiącom osób serce podchodzi

do gardła. Nawet prezydentów nie chowa się w tak wzruszający sposób i z taką klasą jak nowojorskich policjantów, którzy zginęli podczas pełnienia służby.

Mocno zacisnęłam szczęki, starając się nie drżeć, nie poruszać i nie wybuchnąć płaczem.

Z limuzyny, która zatrzymała się za karawanem, wysiadła Brooke Thayer z niemowlęciem na rękach i czteroletnią córeczką u boku.

Jeden z członków gwardii honorowej szybko wystąpił z szeregu i pochylił się przy drzwiach limuzyny, wyciągając rękę. Po chwili z samochodu wysiadł dwuletni synek Scotta, ubrany w czarny garniturek.

Czarny garniturek i ośmiokątną policyjną czapkę ojca.

Nabożeństwo było torturą. Matka Scotta dwukrotnie się rozpląkała podczas drugiego czytania, a jego siostra podczas mowy pogrzebowej.

Sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdy Roy Khuong, najlepszy przyjaciel i partner zmarłego, opowiedział historię o tym, jak Scott uratował mu życie podczas strzelaniny. Roy zakończył opowieść, odwracając się w stronę krucyfiksu i mówiąc ze wzruszającym przekonaniem: „Kocham cię, Scott”.

Sama nie wiem, jak wytrzymałam do końca. Ludzie potrafią niezwykle wiele wytrzymać. Jak chociażby turysta, który odciął sobie scyzorykiem rękę, kiedy ta utknęła pod głazem. Możemy znieść wszystko, czyż nie?

Cóż, przynajmniej ja mogę. Wiem, że tak jest.

Pochowali Scotta na cmentarzu Calvary, na wysokim wzgórzu, z którego roztaczał się widok na wieżowce Manhattanu.

Burmistrz Nowego Jorku wskazał ręką miasto, kiedy zakończył swoją przemowę nad grobem.

— Prosimy Scotta, aby dalej robił to, co tak dobrze wychodziło mu za życia. Aby nad nami czuwał. Nigdy nie zapomnimy twojej ofiary.

Brooke ścisnęła mnie niczym imadło, po tym jak rzuciłam swoją różę obok setek innych, które przykryły wieko polakierowanej trumny. Dotknęła bandaża na mojej twarzy.

— Wiem, co dla mnie zrobiłaś — szepnęła. — Co zrobiłaś dla mojej rodziny. Teraz mogę spać spokojnie. Dziękuję ci za to.

Naciągnęłam czarny daszek czapki jeszcze mocniej na oczy, aby je zasłonić, głupio skinęłam głową, po czym odeszłam.

Rozdział 58

Przed odjazdem z cmentarza siedziałam samotnie w samochodzie. W lusterku wstecznym widziałam trumnę pokrytą kwiatami.

Kiedy rozległ się pisk dud, przez chwilę znów poczułam intensywny zapach wody kolońskiej, deszczu i trawy. Przypomniałam sobie święty ciała Scotta w jego sypialni. Dotyk jego silnego podbródka na mojej nagiej skórze. Odpędziłam te zakazane myśli niczym demony, którymi w istocie były, kiedy dźwięki Amazing Grace popłynęły ponad grobami.

To był błąd, pomyślałam.

Wszystko było potwornym błędem. Nagłym jak błyskawica i równie śmiertelnym.

Wyglądałam przez okno na policjantów, którzy z zaczerwienionymi oczami wracali do swoich samochodów. Świadomość, że ich oszukiwałam, paliła mnie w żołądku jak kwas, ale ze wszystkich sił starałam się wierzyć, że w tych okolicznościach to najlepsze wyjście.

Bo czy istniało inne rozwiązanie? Nieludzki, demoralizujący, sensacyjny cyrk, którym była prawda?

Popatrzyłam na trumnę w chwili, gdy synek Scotta zasalutował do trzęsącej się krawędzi czapki. Potem podniosłam wzrok na porażający pejzaż Manhattanu i na groby na pierwszym planie, które także przypominały miasto.

Kiedy uruchamiałam silnik, moje oczy były suche.

To wszystko miało jedną niewątpliwą zaletę — Paul i ja otrzymaliśmy drugą szansę.

Część druga

Komplikacje

Rozdział 59

Dochodziła dziewiąta rano następnego dnia po pogrzebie Scotta, kiedy zadzwonił telefon.

Leżałam bez ruchu, mając nadzieję, że Paul odbierze. Od czasu strzelaniny zachowywał się wspaniale. Wziął urlop w pracy i gotował, odbierał moje telefony oraz wysłuchiwał mnie, kiedy potrzebowałam się wygadać. Wyglądał, jakby cieszył się swoją rolą obrońcy i uzdrowiciela. Przynajmniej nie powtórzyło się żłopanie szkockiej nago w garażu, więc skupienie się na mnie chyba miało pozytywne skutki.

Muszę przyznać, że choć jestem zaradna i twardo stąkam po ziemi, czułam ulgę, że tym razem ktoś inny się mną opiekuje.

Telefon nie przestawał dzwonić, a kiedy przewróciłam się na drugi bok, zobaczyłam, że Paula nie ma.

Podniosłam słuchawkę i usiadłam.

Spodziewałam się usłyszeć swojego szefa lub Mike'a. Może kogoś z Biura Spraw Wewnętrznych. Ale myliłam się.

— Lauren? Witaj, tu doktor Marcuse. Cieszę się, że zastałem cię w domu. — Zadrżałam, oczekując najgorszego. — Nie martw się,

Lauren. Spokojnie. Wróciły wyniki testów i są bardzo dobre.

Siedziałam na łóżku, tak silnie drząc pod wpływem ulgi, że aż stukiałam słuchawką o swoją zabandażowaną głowę.

— Wszystko z tobą w porządku — ciągnął lekarz. — A nawet lepiej. Mam nadzieję, że siedzisz. Nie jesteś chora, jesteś... w ciąży.

Mijały kolejne sekundy. Było ich całkiem sporo. Każda wypełniona całkowitą ciszą.

— Lauren? — odezwał się doktor Marcuse słabym głosem. — Jesteś tam jeszcze?

Powoli opadłam na łóżko. Wydawało mi się, że minęło dużo czasu, zanim dotknęłam głową poduszki.

W ciąży? — pomyślałam, nagle mając wrażenie, że się rozta-
piam.

Jak to możliwe? Jak to się mogło teraz wydarzyć?

Paul i ja od lat staraliśmy się o dziecko. Po licznych wizytach u specjalistów od płodności oraz wykonaniu wielu testów dowiedzieliśmy się, że zaburzenie równowagi pH stworzyło środowisko, które nie sprzyja zapłodnieniu. Próbowaliśmy wszystkiego poza lekami na bezpłodność, które były niewskazane ze względu na przypadki raka jajnika w mojej rodzinie.

— Co takiego? Jest pan pewien? Jak to się stało?

— Nie wiem, Lauren — odpowiedział lekarz, chichocząc. — Nie było mnie przy tym. To ty mi powiedz.

Kręciło mi się w głowie. Miałam wrażenie, że cały pokój wiruje. Oczywiście zawsze chciałam mieć dziecko. Ale teraz?

— Jestem w ciąży? — powiedziałam oszołomiona do słuchawki.

— Jesteś co? — spytał Paul. Właśnie wszedł do sypialni, niosąc tacę ze śniadaniem.

Usta odmówiły mi posłuszeństwa, więc podałam mu słuchawkę. Nie wiedziałam, jak zareaguje. Przestałam próbować przewidywać uczucia Paula. Popatrzyłam mu w oczy. Ale nie musiałam długo czekać. Po chwili jego twarz rozświetlił wyraz ekstatycznego zaskoczenia, a następnie na usta wypłynął mu szeroki uśmiech.

— Że co...? — wydukał. — Jesteś... O mój Boże... — Upuścił słuchawkę i podniósł mnie z łóżka. Przytulał mnie chyba przez całą wieczność. — O Boże — powiedział. — Dziękuję ci, Boże. Dziękuję ci. Taka wspaniała wiadomość.

Kiedy się obejmowaliśmy, szybko policzyłam w myślach. Kiedy ostatnio miałam okres? Co też mi przyszło do głowy? Oczywiście, że to dziecko Paula. Spałam ze Scottem tylko raz, zaledwie sześć dni temu.

Nagle coś zimnego w moim wnętrzu zaczęło się zmieniać. Przez cały okres mojej rekonwalescencji nie było chwili, kiedy nie dręczyłyby mnie poczucie winy, wstyd i niepewność.

Jednak teraz, noszona na rękach przez radosnego, przystojnego męża, coś sobie uświadomiłam. Paul i ja po prostu chcieliśmy mieć to, czego pragnęli wszyscy. Szczęśliwe małżeństwo i rodzinę. Byliśmy dobrymi ludźmi, pracowitymi i skromnymi. Jednak od pierwszego dnia napotykalśmy trudności. Blokady. Byliśmy dwojgiem ludzi, którzy pomimo starań nie mogli stać się trojgiem.

Czy się rozwiedliśmy? Rozeszliśmy, ponieważ bycie razem stało się niewygodne? Nie. Kurczowo trzymaliśmy się siebie nawzajem, próbując sprawić, aby nasze małżeństwo przetrwało. Przez lata walczyliśmy o to, by nasza miłość pokonała kaprys biologii, starając się pozostać razem, podczas gdy nasze kariery oraz stresy codziennego życia we współczesnym świecie robiły co w ich mocy, aby nas rozdzielić.

Rozpłakałam się, kiedy Paul przyłożył dłoń do mojego brzucha. Dziecko! — pomyślałam, chwytając go za rękę. Nareszcie jakiś znak nadziei. Przebaczenia.

Nowe życie dla nas obojga. Więc jednak możemy przetrwać. Naprawdę nam się uda.

— Kocham cię, Paul. Będziesz wspinałym ojcem.

— Ja też cię kocham — szepnął i scałował łązy z moich policzków. — Mamusiu.

Rozdział 60

Kiedy wreszcie przyszedłam do pracy w następny poniedziałek, w gabinecie mojego szefa siedziało dwóch mężczyzn. Z przeciwległego końca pokoju odpraw przyjrzałam się ich eleganckim fryzutom i ciemnym garniturom.

Mój paranoiczny mózg od razu zaczął pracować na zwiększonych obrotach. Scott pracował dla DEA, która wchodziła w skład Departamentu Sprawiedliwości. Z kolei sprawy departamentu załatwiała FBI. Tylko tego było mi teraz potrzeba, wizyty federalnych!

Nawet nie zdążyłam dotrzeć do swojego biurka, kiedy porucznik Keane otworzył drzwi gabinetu.

— Lauren, czy możesz tu przyjść na chwilę?

Zabrałam ze sobą kawę, aby dać do zrozumienia, że oczekuję krótkiej rozmowy. Robiłam się dobra w udawaniu. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

— Proszę usiąść, pani porucznik — odezwał się mężczyzna w granatowym garniturze, który siedział na jednym z foteli mojego szefa. Jego partner, ubrany w szary trzyrzędowy garnitur tego samego kroju, stał za jego plecami, wpatrując się we mnie nieruchomo i bez emocji.

Ich apodyktyczna postawa jednocześnie irytowała mnie i przerażała. A skoro okazywanie strachu nie wchodziło w tych okolicznościach w rachubę, zdecydowałam się na granie wkurzonej.

— O co chodzi, szefie? — spytałam Keane'a. — Umówiłeś mnie na randkę w ciemno? Gdzie jest kawaler numer trzy?

Pojawiły się dwie odznaki. Mój poziom adrenaliny lekko opadł, kiedy zobaczyłam, że nie są to malutkie złote blachy, noszone przez federalnych, tylko kopie odznaki, która znajdowała się w torebce Chanel na moim biurku.

— Biuro Spraw Wewnętrznych — powiedzieli Granatowy i Szary jednym głosem.

A więc to nie agenci, którzy przyszli mnie aresztować. Uczucie ulgi nie trwało długo, gdyż po chwili zrozumiałam, że na pewno zamierzają wypytywać o strzelaninę z udziałem Mike'a. Siadając, zdałam sobie sprawę z tego, że jest już za późno na fałszywą grzeczność. Nigdy się nie cofaj, radził mi ojciec, kiedy postanowiłam wstąpić do policji po szkole prawniczej. Wpoił mi jeszcze jedną cenną naukę.

Pieprzyć BSW.

— Ślicznie, cóż za synchronizacja — powiedziałam, opadając na fotel dla gości. — Powinni panowie spróbować zawalczyć o miejsce w olimpiadach specjalnych.

Zmierzyli mnie wzrokiem. Odwzajemniłam się tym samym.

Błada twarz Keane'a zabarwiła się na szkarłatny kolor, kiedy walczył z samym sobą, aby nie wybuchnąć śmiechem.

— Bardzo śmieszne, pani porucznik — odparł Granatowy, pstrykając długopisem. — Z pewnością mniej zabawna jest śmierć Victora Ordoneza. Właśnie w tej chwili w jego rodzinnej dzielnicy Washington Heights szykowana jest demonstracja. Pytania o okoliczności jego zgonu stały się tak głośne, że słyhać je na Police

Plaza numer jeden. Mamy zamiar odkryć i przekazać ludziom prawdę dotyczącą tego, co się wydarzyło.

Przez chwilę wpatrywałam się w niego, kiedy skończył swoją małą przemowę.

— Przepraszam — powiedziałam, przykładając dłoń do bandaża na swoim uchu i policzku. — Czy coś pan mówił? Nie słyszę zbyt dobrze. Tydzień temu dopadł mnie jakiś wirus o nazwie Victor Ordonez.

— Ociera się pani o niesubordynację, pani porucznik Stillwell — rzucił Szary. — Jesteśmy tutaj w celu przeprowadzenia rutynowego przesłuchania. Ale jeżeli chce pani, abyśmy skupili na niej śledztwo, to nie ma sprawy.

— A na kim skupiacie je teraz? Na moim partnerze? W takim razie dokładnie to sobie zanotujcie. Mike uratował mi życie. Schowałam się w jednym z wagonów. Kiedy Victor Ordonez próbował do niego wejść, z pewnością po to, aby mnie dobić, mój partner pospieszył mi z pomocą i go załatwił.

— Ile oddano strzałów? — spytał Szary. — Czy usłyszała pani „bum, bum, bum”, czy tylko „bum”?

Pociągnęłam łyk kawy i odstawiłam ją na biurko szefa. Część napoju się rozlała, ale gówno mnie to obchodziło.

— To była strzelanina na kolejowym placu postojowym — odparłam. — Zostałam ranna. Leżałam rozplaszczona na podłodze. Nie bawiłam się w inżyniera dźwięku pracującego przy nowym odcinku Prawa i porządku.

Szary w końcu zatrzaskał notatnik.

— Okay. Ale już całkiem prywatnie, proszę odpowiedzieć mi na jeszcze jedno pytanie. Stała pani na czele dochodzenia. Jechała pani aresztować dwóch bardzo niebezpiecznych podejrzanych, których łączono ze śmiercią oficera Thayera. Dlaczego nie skorzystała pani z taktycznej pomocy oddziałów specjalnych?

Siedziałam nieruchomo przez kilka sekund. Tym mnie zagiął. To była standardowa procedura postępowania, której nie dopełniłam.

Otworzyłam usta, aby odpowiedzieć... Bóg raczy wiedzieć co.

Potem opadła mi szczęka, kiedy do rozmowy wtrącił się mój szef.

— Upoważniłem ją do podjęcia działań.

Zerknęłam na Keane'a. Napotkałam spojrzenie, które mówiło: trzymaj gębę na kłódkę.

— Uznałem, że nie było czasu, aby dalej czekać, więc dałem sygnał do podjęcia próby zatrzymania — kontynuował Keane. Potem podniósł się ze swojego fotela, przeszedł przez cały gabinet i otworzył drzwi Granatowemu i Szaremu. — A teraz oficer Stillwell musi wracać do pracy.

— Dzięki za ratunek, szefie — powiedziałam, kiedy gnidy z Biura Spraw Wewnętrznych wyszły, a Keane zamknął za nimi drzwi.

— Tak, no cóż, ty i twój partner jesteście bohaterami. Tak uważa każdy szanujący się gliniarz w tym wydziale, łącznie ze mną — odparł, ponownie zajmując swój fotel. — Aha, jeszcze jedno — dodał. — Pieprzyć BSW.

Rozdział 61

Właśnie wychodziłam z gabinetu Keane’a, kiedy mój partner zadzwonił do mnie na komórkę.

— Czy szczury już opuściły budynek?

— Przynajmniej te dwunożne.

— Może zjesz ze mną wczesny lunch w Piper’s? — zaproponował Mike. — Ja stawiam.

Dojechanie do Piper’s Kilt przy Dwieście Trzydziestej Pierwszej Ulicy w Kingsbridge zajęło mi około dwudziestu minut. To popularne miejsce spotkań policjantów z Bronksu i prokuratorów generalnych bardziej przypominało bar niż jadłodajnię, ale mieli tu nieziemskie hamburgery. Dziesiąta trzydzieści to wczesna godzina, więc część restauracyjna świeciła pustkami — nie licząc mojego partnera, który zaszył się w najdalszym boksie w rogu pomieszczenia.

Usiadłam i stuknęłam swoją dietetyczną colą w jego heinekena.

— Jak twarz? — spytał.

— Powierzchnowa rana, tak jak mówiłeś, amigo — odparłam, wzruszając ramionami. — Obyło się bez ubytku słuchu. A jako dodatkową atrakcję mam ten śliczny bandaż.

Mike się uśmiechnął.

— Jak myślisz, co napisze BSW w swoim raporcie?

— Nie wiem. Byłam za bardzo zajęta drażnieniem się z nimi, aby właściwie ocenić sytuację. W najgorszym wypadku prawdopodobnie dostanę pouczenie w związku z nieprzestrzeganiem odpowiedniej procedury dotyczącej wezwania oddziałów specjalnych. Nie sądzę, aby komisarz zbyt ostro nas potraktował, zważywszy na to, jak szybko uprzątnęliśmy dla niego ten bałagan.

— To prawda. Zapomniałem o tym.

Kelnerka przyniosła nam cheeseburgery w bułkach nasączonych tłuszczem.

— Z bekonem? — spytałam, uśmiechając się do talerza. — Mike, nie trzeba było.

— Dla ciebie, partnerko, warto dodatkowo się postarać — odrzekł, podnosząc swoją butelkę.

— Chcę ci podziękować, Mike — powiedziałam po kilku niebiańskich kęsach cheeseburgera. Nie wiem, czy to z powodu ciąży, czy czegoś innego, ale nagle poczułam się straszliwie głodna. Nie smakowałam jedzenia tak intensywnie od chwili, gdy rzuciłam pale nie osiem miesięcy temu. — Nie pamiętam, czy już to zrobiłam — dodałam, wrzucając sobie do ust uciekający kawałek bekonu. — Dziękuję, że mnie wtedy uratowałeś.

— Daj spokój — odparł Mike, przechylając w moją stronę butelkę. — Ja pilnuję ciebie, a ty mnie. Jeśli o mnie chodzi, to cały departament policji mógłby się składać tylko z nas dwojga. Jak w tej reklamie Las Vegas. To, co się tutaj dzieje, nie wychodzi na zewnątrz. A skoro już o tym mowa...

Odstawił piwo i podniósł jakieś papiery z siedzenia obok. Nawet w słabym barowym świetle widziałam, że to komputerowe wydruki. Cheeseburger, którego żułam, w jednej chwili zmienił się w

smakujące ketchupem zapałki, gdy zauważyłam rzędy i kolumny cyfr.

— Wczoraj przyszedł faksem — wyjaśnił. — Firma telekomunikacyjna z jakiegoś powodu podesłała nam drogą kopię billingów Scotta. Jak ci się podobają? Przypominają te, które położyłaś na moim biurku, tylko że tutaj wszędzie jest twój numer telefonu. — Po drugiej stronie podrapanego stołu Mike rozkoszował się piwem i moim całkowitym zaskoczeniem. — Chyba czas, żebyśmy porozmawiali, partnerko. Najwyższa pora wypowiedzieć się ojcu Mike'owi.

Rozdział 62

— Lauren, daj spokój — szepnął Mike, gdy tak siedziałam odrętwiała i milcząca. — Chyba nie myślałaś, że mnie przechytrzysz, co? Owszem, jesteś dobra, nawet bardzo dobra w tym, co robimy, ale przecież tutaj chodzi o mnie.

Dotknęłam dietetyczną colą swojego rozpalonego czoła. Mój Boże, co ja teraz zrobię? Wpadłam po uszy. Mój partner przyłapał mnie na kłamstwie. Jak mogłam mu to zrobić? Mike miał serce większe niż niejeden kontynent. No i był moim partnerem, kołem ratunkowym, aniołem stróżem podczas ulicznych patroli.

Przeniosłam wzrok na powierzchnię stołu, a potem na pokryte ciemnymi panelami ściany baru, byle tylko nie patrzeć mu w oczy.

A jednak miał rację. Musiałam wyznać prawdę. Jeżeli istniał ktoś, komu mogłam — i powinnam — o wszystkim opowiedzieć, był to właśnie Mike. Kłamałam na wszelkie możliwe sposoby, a on z tego powodu zabił człowieka. Pełna spowiedź to najmniej, ile mogłam dla niego zrobić.

Chwileczkę. Nie! Nie mogłam. Gdyby Mike wpadł w tarapaty

przez Biuro Spraw Wewnętrznych, to by mnie wydał. Nie miałby wyjścia. Nie mógł stracić pracy. Był rozwiedziony, ale miał dwoje dzieci na studiach. Musiałby powiedzieć wszystko, co wie, a pozostała część prawdy także ujrzałaby światło dzienne. Wrócilibyśmy do punktu wyjścia. Paul trafiłby do więzienia, a Brooke straciłaby jedyne źródło utrzymania. Nic z tego. Zresztą teraz perspektywy były jeszcze gorsze. Zapewne wylądowałabym za kratkami razem z Pauliem!

Ostatnią rzeczą, której chciałam, było potraktowanie Mike'a w okrutny sposób, ale po dokładnym zastanowieniu się nie dostrzegłam żadnego innego wyjścia.

W końcu opuściłam wzrok z blaszanego sufitu spelunki i spojrzałam mu prosto w oczy.

— Zostaw to, partnerze — rzuciłam.

Mike zrobił taką minę, jakbym poraziła go paralizatorem. Myślałam, że drżąca zielona butelka w jego wielkiej dłoni zaraz wybuchnie. Przez kilka chwil bezgłośnie poruszał ustami jak ogłuszona ryba.

— Zo... zostawić? — wydukał wreszcie. — Sypiałaś z nim, prawda, Lauren? Zdradzałaś męża ze Scottem Thayerem, czy tak? Dlaczego po prostu mi nie powiedziałaś? Jestem twoim partnerem, twoim przyjacielem.

— Mike — poprosiłam, czując, że łzy napływają mi do oczu. — Błagam cię, zostaw to.

— Zabiłem człowieka, Lauren! — Szept Mike'a uderzył we mnie niczym krzyk. — Mam krew na rękach.

Wstałam i zabrałam torebkę.

Nie chciałam grozić swojemu partnerowi, ale zostałam zapełdzona do narożnika. Nie pozostawiał mi wyboru.

— Owszem, masz — powiedziałam, rzucając dwadzieścia dolarów na niedojedzone frytki. — Zabiłeś człowieka. A ja byłam jedynym świadkiem, pamiętasz? Właśnie dlatego powinieś to zostawić.

Rozdział 63

W drodze do domu zadzwoniłam do Keane'a i powiedziałam mu, że mam zawroty głowy, więc muszę wziąć dzień wolny. Kiedy się rozłączyłam, zdałam sobie sprawę z tego, że był to jeden z niewielu przypadków, kiedy rzeczywiście powiedziałam mu prawdę.

Otwierając drzwi wejściowe swojego pustego domu, czułam się tak, jakbym wkraczała do krypty. Postanowiłam trochę pobiegać, więc zmieniłam ciuchy. Wybrałam się do oddalonego o pięć minut jazdy parku Tibbetts Brook i jak zwykle zrobiłam dwa okrążenia wokół jeziorka, obok którego wznosił się domek w stylu art déco. Było takie piękne popołudnie. Słoneczne, a jednocześnie rześkie. Idealne do biegania. Kiedy się rozciągałam, udało mi się nawet wypatrzeć żurawia, stojącego wśród pałek porastających brzeg.

Jednak gdy usiadłam spocona za kierownicą swojego mini coopera, którego zostawiłam na parkingu, ponownie poczułam się beznadziejnie.

W domu sprawdziłam automatyczną sekretarkę — żadnych nowych wiadomości — po czym nalałam sobie kieliszek wina, aby ukoić zszargane nerwy.

Wtedy przypomniałam sobie o dziecku na pokładzie. Kiedy wlewałam wino ponownie do butelki, kieliszek wyslizgnął mi się z dłoni i roztrzaskał na tysiąc kawałków.

Bardzo zręcznie, pani porucznik, pomyślałam, chwytając się zimnej krawędzi zlewu. Ostatnio naprawdę mam pełną kontrolę. Wszystko pięknie mi się układa.

Spoglądając w dół na odłamki szkła, zastanawiałam się, jak mogłam zachować się tak okropnie wobec Mike'a. Przecież mu groziłam. Kim była ta wyrachowana suka w Piper's Kilt? Bo na pewno nie byłam to ja.

No i jak mogłam to ciągnąć? Zaczęłam od ukrywania prawdy, a doszłam do bezczelnego kłamstwa i grożenia przyjaciółom. Nawet nie chciałam myśleć, co jeszcze może się wydarzyć.

A na dodatek musiałam się z tym wszystkim zmagać sama. Prawdziwe szaleństwo. Nawet nie mogłam podzielić się z Paulem stresem, który odczuwałam, próbując go ratować.

Zrozumiałam, że to koniec. Każdy ma jakiś próg wytrzymałości, a ja właśnie swój przekroczyłam. Nie mogłam już kłamać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Lincoln miał rację: nie da się oszukiwać wszystkich przez cały czas. Zwłaszcza jeśli jesteś katoliczką.

Musiałam odzyskać utracone człowieczeństwo. Zbyt długo byłam tajną agentką w swoim własnym życiu. Szpieg powinien się ujawnić.

Pierwszym krokiem będzie zrzucenie brzemienia i wyznanie grzechów. Ale nie mojemu partnerowi.

Muszę porozmawiać z Paulem.

Przyznanie się do zdrady będzie torturą, ale żeby nasze małżeństwo mogło przetrwać, powinniśmy być wobec siebie szczerzy. Muszę powiedzieć Paulowi, że wiem, co robił w hotelu St. Regis, i że mu wybaczam. Oraz że potrzebuję jego pomocy, aby nasz niebezpieczny sekret nie wyszedł na jaw.

Rozdział 64

Kiedy Paul wrócił wieczorem do domu, akurat wyciągałam z piekarnika swojego słynnego kurczaka z limą i kminkiem. Skoro to mógł być nasz ostatni wspólny posiłek, postanowiłam przynajmniej przyrządzić ulubioną potrawę męża.

Na chwilę straciłam oddech, kiedy podbiegł i ponownie chwycił mnie w ramiona.

Teraz albo nigdy, Lauren. Czas wyznać prawdę.

— Paul — zaczęłam. — Musimy porozmawiać.

— Zaczekaj — przerwał mi, wyjmując z teczki błyszczący folder i rzucając go na blat. — Ja pierwszy.

Na okładce broszury widniało zdjęcie ślicznych pofałdowanych pól, na których rosły drzewa z liśćmi w jaskrawych jesiennych kolorach. Wewnątrz znajdowały się plany pokaźnej wielkości domów. Był to folder luksusowego osiedla gdzieś w Connecticut.

Co...? Czyżby znowu się upił? Nie czułam od niego szkockiej.

— Co to jest? — spytałam.

Paul rozłożył na kuchennym blacie pięć różnych planów, z namaszczeniem, z jakim wróżka układa karty tarota.

— Wybieraj, Lauren. Wybierz swój wymarzony dom. Który z nich najbardziej ci się podoba? Ja jestem zachwycony wszystkimi.

— Paul, posłuchaj. Nie mamy teraz czasu na bujanie w obłokach. Musimy...

Położył mi palec na ustach.

— Wcale nie żartuję — powiedział. Energicznie zatarł ręce. — Nic nie rozumiesz. To nie jest kawał ani fantazja, tylko rzeczywistość. Jesteś na to gotowa? Inna firma, fundusz hedgingowy, chce mnie zatrudnić za większe pieniądze. Dużo większe pieniądze.

— Co takiego? — zdziwiłam się, spoglądając na niego, a potem ponownie na broszury.

I wtedy to się stało. Mój wzrok zatrzymał się na nagłówku jednej z kartek w folderze: „Aston Court”. A pod nim widniała nazwa: „Hotel St. Regis”.

St. Regis? Czy to nie...? To właśnie tam wyśledziłam Paula i jego blondyneczkę! O co tu chodzi?

Wyciągnęłam kartkę. Znajdowały się na niej liczby zanotowane eleganckim kobiecym charakterem pisma.

— Co to jest? — spytałam. — To nie twoje pismo, prawda?

Oczekiwałam, że Paul nagle się spieszy, ale on tylko nonszalancko zerknął na kartkę.

— To wstępna oferta od Brennan Brace, tego funduszu hedgingowego. Vicky Swanson, ich wiceprezes do spraw rekrutacji, złożyła mi ją podczas lunchu w Aston Court w hotelu St. Regis jakieś trzy czy cztery tygodnie temu — odrzekł mój mąż z uśmiechem.

Przez chwilę mogłam tylko mrugać oczami. Lunch w St. Regis?

— Vicky Swanson? — spytałam, ze szczegółami przypominając sobie kobietę, którą widziałam, kiedy pojechałam zrobić Paulowi niespodziankę. — Jak ona wygląda?

— Blondynka. Chyba zbliża się do trzydziestki. Dość wysoka.
O Boże, pomyślałam.
Nie! To niemożliwe.
Kolejna odsłona tego niekończącego się koszmaru.
Lunch w St. Regis!
Paul mnie nie zdradził!
Głośno wciągnęłam powietrze, starając się nie zwymiotować.
To tylko ja zdradziłam jego!

Rozdział 65

Milczałam, zupełnie oszołomiona.

To nie Paul wszystko zrujnował.

To ja. Ja to zrobiłam.

Nikt inny. Właśnie ja.

Ta wiadomość całkowicie pokrzyżowała moje wieczorne plany. Zamierzałam przy kolacji wydobyć na światło dzienne nasze zdrady, abyśmy mogli z Paulem wspólnie sobie z nimi poradzić.

Ale najwyraźniej tylko ja z nas dwojga miałam romans!

Wciąż stałam w miejscu, zszokowana, z twarzą nieruchomą jak ekran zawieszzonego komputera. Paul roześmiał się, ściskając moją dłoń.

— Tak, wiem, nieźła z niej laska — powiedział. — Ale przecież wiesz, że cię kocham. Początkowo myślałem, że Vicky ściemnia. „Hej, czy chciałbyś dla nas pracować za dwukrotnie wyższą pensję?”, spytała. Co więc zrobił twój genialny mąż? Beztrudno odpowiedziałem, że zgodzę się, jeśli zapłacą mi trzy razy więcej niż w dotychczasowej pracy. Vicky zadzwoniła dziś rano z dobrymi wiadomościami. Wynegocjowała zadowalającą mnie kwotę, pozostało

tylko dopełnić formalności. Jedyne problemy polega na tym, że będziemy się musieli przeprowadzić. Do Greenridge w Connecticut! Tak jakby przeprowadzka z Yonkers do arystokratycznej krainy koni była jakimś problemem. Co więcej, oni sami nas przeniosą. Zajmą się sprzedażą naszego starego domu i dadzą nam nisko oprocentowany kredyt na nowy. To jest to. Tylko pomyśl! Jedna pracująca osoba, dziecko, nowy dom wystarczająco duży, aby wygospodarować w nim dziecięcy pokój. Amerykański Sen na sterydach. To jest przełom, na który czekaliśmy, Lauren.

Moja głowa wirowała jak mikser ustawiony na kruszenie lodu. Nie mogłam w to uwierzyć. Nie tylko byłam jedyną, która dopuściła się zdrady...

Ale do tego trafiliśmy szóstkę w totolotka?

Opadłam na taboret niczym bokser po bardzo nieudanej rundzie.

— To cudowne, Lauren... Sprawilem, że zaniemówiłaś — zaśmiał się Paul. — Ale chwileczkę — powiedział, wyjmując z lodówki butelkę sama adamsa. — Czy nie wspominałaś, że chcesz ze mną o czymś porozmawiać?

Mogłam być na granicy zawału i udaru jednocześnie, ale nie byłam głupia.

Zdecydowałam, że jakoś nauczę się żyć, ukrywając zdradę. Zwłaszcza że — co właśnie odkryłam — dopuściłam się jej tylko ja.

— A tak — wymamrotałam. — Wolisz ryż czy nadzieję?

Rozdział 66

Tego wieczoru Paul i ja kochaliśmy się po raz pierwszy, odkąd zaszłam w ciążę. Pod wpływem jego rewelacji rzuciłam się w wir porządków i właśnie składałam pranie, gdy zauważyłam czarne body, za którego pomocą próbowałam go uwieść pewnego popołudnia, zanim zaczęło się to szaleństwo.

Zanim zdałam sobie sprawę z tego, co robię, zdjęłam dzinsy i wślizgnęłam się w najlepszą bieliznę Victoria's Secret. Nie zastanawiałam się długo, kiedy zobaczyłam swoje nowe seksowne oblicze w lustrze w łazience. Moje piersi już stawały się większe — super!

Po osłupiałej minie, którą mnie przywitał, gdy weszłam do sypialni, widziałam, że Paul również tak uważa. Czytany przez niego „Wall Street Journal” wysunął mu się z dłoni arkusz po arkuszu, aż mój mąż został z pustymi rękoma.

— No, no. Wygląda na to, że zaliczysz dwa podboje jednego dnia, kowboju — powiedziałam, zrywając narzutę z łóżka i wyrzucając w powietrze dodatek finansowy. To nam wystarczyło za grę wstępną.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Czy mogę zrzucić winę na

hormony? Czemu nie? W łóżku byłam bardzo wymagająca i konkretna.

Początkowo Paul wyglądał na lekko zszokowanego. Jednak wykonywał wszystkie moje polecenia. Był posłuszny i oszołomiony.

Czułam, że przejmuję nade mną kontrolę coś pierwotnego, i nie broniłam się przed tym. Czyż nie o to chodzi w seksie? Zdzieramy z siebie ubrania, zahamowania, ograniczenia, których wymaga od nas społeczeństwo. Tysiące lat cywilizacji — to, co dobre, i to, co złe — zostają wyrzucone przez okno, a my wracamy do punktu wyjścia. Seks to prawda, która kryje się pod wszystkimi kłamstwami. Nasz krzyk: żyjemy!

Tuż przed wielką kulminacją, a rzeczywiście była ona wielka, otworzyłam oczy i popatrzyłam na przystojną twarz Paula ponad sobą. Spojrzałam w jego błyszczące stalowo-błękitne oczy i w jednej chwili już wiedziałam.

To pewne.

Odzyskaliśmy siebie nawzajem.

Rozdział 67

— Mój Boże, Lauren — wysapał Paul, kiedy było po wszystkim, pulsując obok mnie niczym światełko. — Co w ciebie wstąpiło? A twoje cycki?

— Wiem — odpowiedziałam, uderzając go żartobliwie pięścią w klatkę piersiową. — A teraz opowiedz mi jeszcze raz kawał o tym, jak potroiłeś swoją pensję.

— Najzabawniejsze, że to wcale nie kawał — odrzekł, spoglądając na sufit. — Coś podobnego. Jednego dnia beznadziejnie tkwisz w wyścigu szczurów, a potem nagle: bum! Twój statek zawija do portu. Albo nawet dwa statki.

Przewrócił się na bok i pocałował mnie w brzuch.

— Hej, poczekaj, jeszcze nie wymyśliliśmy imienia. Masz jakieś propozycje? — spytałam.

— Emmeline — odparł Paul. — Trochę arystokratyczne, wiem, ale jeśli będzie przypominała królową choć w połowie tak jak jej mama, to takie imię będzie do niej pasować. Poza tym przyda jej się każda pomoc, aby pokonać konkurencję w przedszkolu w Greenridge.

— Proszę, proszę. Wygląda na to, że dobrze to sobie przemyślałaś. A jeśli urodzi się chłopiec?

— Hmm, pomyślmy. Melvin całkiem nieźle brzmi, nie uważasz? Zawsze miałem też słabość do Corneliusa. Zdobniale mogli byśmy wołać na niego „Corny”.

Połąskotałam Paula pod pachami, aż usiadł na łóżku.

— Wszystko zaplanowałaś, wariacie?

— Hej, właśnie przyszło mi do głowy, co jest najfajniejsze w tym nagłym przyplywie kasy.

— Będziemy mogli częściej dzwonić z komórki? A może wreszcie zaczniemy woskować samochód w myjni? — Wyszczeryłam zęby w uśmiechu. Właśnie tacy kiedyś byliśmy: niepoważni.

— Bardzo zabawne, Lauren. Aleja mówię serio. Nareszcie będziesz mogła rzucić tę popieprzoną robotę.

Zmierzyłam go wzrokiem. Paul zawsze wspierał moją karierę. Czy rzeczywiście nie żartował?

— Wiem, jak ważna jest dla ciebie kariera policjantki, więc nigdy wcześniej o tym nie wspominałem. Ale daj spokój. Te godziny pracy. Zapach śmierci. Czy masz pojęcie, jak czasami wyglądasz po powrocie do domu? Boże, nienawidzę tego. Zawsze tak było. To zbyt wiele ci odbiera.

Zapatrzyłam się w przestrzeń, przypominając sobie niedawną konfrontację z Mikiem Ortizem. Może Paul miał rację. Kochałam swoją pracę, ale rodzina była ważniejsza. W ciągu ostatniego tygodnia z pewnością to udowodniłam.

— Coś w tym jest — odrzekłam w końcu. — Nareszcie spełnia się nasze marzenie. Ty, ja i dziecko. Teraz mamy to na wyciągnięcie ręki. Po prostu... o rany. Trudno w to uwierzyć, nie sądzisz?

— Jesteś dla mnie całym światem — powiedział Paul ze łzami w oczach. — Zawsze byłaś, Lauren. Ta propozycja pracy... to tylko propozycja. Zrobię wszystko, czego pragniesz. Pojadę. Zostanę. Rzucę robotę, jeśli zechcesz.

— Och, Paul — szepnęłam, wycierając mu oczy. — Nasz statek rzeczywiście zawinął do portu, prawda?

Rozdział 68

Kiedy następnego ranka weszłam do pokoju odpraw, biurko Mike'a stało puste. Gdy spytałam szefa, gdzie się podziewa mój partner, przypomniał mi o obowiązkowym dwutygodniowym urlopie dla policjantów, którzy uczestniczyli w strzelaninie.

Usiadłam i poczułam kolejny przypływ wyrzutów sumienia z powodu tego, co powiedziałam Mike'owi. Co wy na to? Doświadczył traumatycznych przeżyć, był teraz niezwykle podatny na psychologiczne i emocjonalne zranienia, a ja mu groziłam. Wspaniała ze mnie partnerka. Wspaniała przyjaciółka.

Bujałam się na krześle, rozglądając się po ziemistych ścianach pokoju odpraw. A więc rzeczywiście zamierzałam odejść. Wydawało się to niemal szaleństwem po tym wszystkim, czego dokonałam, aby się tu dostać. Przypomniałam sobie, jaka byłam wystraszona, kiedy wreszcie otrzymałam przydział. Wydział zabójstw w Bronksie to jeden z najbardziej aktywnych i najsłynniejszych wydziałów na świecie, a ja nie byłam pewna, co mogę wnieść.

A jednak mi się udało. Dostanie się tutaj wymagało mnóstwa ciężkiej pracy, pewności siebie oraz samych piątek z hiszpańskiego na uczelni — i ja tego dokonałam.

Jednak teraz wiedziałam, że wszystko, co osiągnęłam, to już przeszłość. Czulałam to, siedząc tutaj. A raczej niczego nie czulałam. W pracy policjanta siłą dodaje ci czysta radość z tego, że stoisz po stronie dobra. To zazwyczaj błędnie pokazują filmy. Większość gliniarzy wie, że są dobrymi ludźmi. Najlepszymi.

Ale wszystko, co się ostatnio wydarzyło, zagłuszyło to uczucie. Dobrzy ludzie nie zdradzają. Nie kłamią.

Paul miał rację, pomyślałam, włączając komputer.

Teraz byłam tutaj kimś obcym. Już tu nie pasowałam.

Nadszedł czas, aby się wydostać, zanim wydarzy się coś więcej.

Rozdział 69

Otworzyłam plik Scotta i przez prawie godzinę czytałam wszystkie raporty, które napisałam. Potem miałam zamiar przeczytać je ponownie.

Moja ciąża oraz szczęście Paula zapewniały mi wystarczający powód do odejścia, jednak i tak wiedziałam, że nie obejdzie się bez cynicznych komentarzy. Zwłaszcza ze strony Biura Spraw Wewnętrznych. Przed oficjalnym ogłoszeniem swojej decyzji musiałam więc się upewnić, że jestem kryta i że zatarłam wszystkie ślady, swoje i Paula.

Czterdzieści minut później porucznik Keane wyszedł z gabinetu, niosąc szcypce do metalu i kartonowe pudło. Z hukiem upuścił je na moje biurko.

— Właśnie dzwonili z biura zastępcy szefa policji. Żona Scotta, Brooke, poprosiła, aby ktoś opróżnił jego szafkę i dostarczył wszystkie rzeczy do jej domu. Wyznaczono ciebie.

Cudownie, wprost marzyłam o tym, aby ponownie spotkać się z Brooke Thayer. Jeszcze trochę ponapawać się zniszczeniami, które pomogłam spowodować w jej rodzinie.

— A co z ludźmi z jego oddziału specjalnego? — spytałam. — Czy jego partner, Roy, nie chciałby tego zrobić? — Porucznik pokręcił głową. — A ty, szefie? Może miałbyś ochotę wyjść na chwilę z biura. Złapać trochę słońca.

Keane zmarszczył swoją stoicką irlandzką brew.

— To bardzo miłe, że martwisz się o moje samopoczucie, ale żona Scotta wyraźnie prosiła, abyś ty to zrobiła.

Skinęłam głową. Oczywiście, że prosiła. Chyba nie myślałam, że tak łatwo się wywinę, prawda?

— Co powiesz na taki układ: załatwisz to i będziesz miała resztę dnia wolną — zaproponował szef. — Uważam, że i tak za wczesnie wróciłaś do pracy. Oczywiście, jeśli interesuje cię moja opinia. Kto wie kiedy wrócą kolesie z BSW. Na twoim miejscu poskarżyłbym się na zawroty głowy jeszcze co najmniej przez tydzień.

— Tak jest, szefie — zasalutowałam, wstając z krzesła.

Sama nie wiedziałam dlaczego, ale czułam, że będzie mi brakowało Keane'a.

Biuro wydziału antynarkotykowego na pierwszym piętrze na szczęście było puste. Bardzo dobrze, pomyślałam, wracając do szatni i przecinając szczypcami kłódkę na szafce Scotta. Zaczynałam rozumieć, dlaczego policjanci wywołują u ludzi nerwowość. Zwłaszcza u winnych ludzi.

W szafce nie było zbyt wielu rzeczy. Wyjęłam zapasowy mundur, dwa kartonowe pudełka z amunicją kaliber .38, kevlarowa kamizelkę. Za zakurzoną pałką do rozpędzania zamieszek znalazłam butelkę ekskluzywnej wody kolońskiej Le Male od Jeana Paula Gaultiera.

Obejrzałam się przez ramię, aby upewnić się, że wciąż jestem

sama, po czym skropiłam nią nadgarstek. Rozległ się huk, kiedy zakreśliło mi się w głowie i wyrznęłam czołem o drzwiczki. Tak jest. To ta sama woda, którą pachniał Scott tamtej nocy, kiedy był ze mną.

Właśnie zabierałam z podłogi szafki parę lakierków, kiedy zauważyłam schowaną pod nimi grubą kopertę. O Jezu!

Nie żartuję, upuściłam czarne buty, jak gdyby zamieniły się w rozżarzone węgle.

Nie chciałam zaglądać do koperty, ale wiedziałam, że muszę.

Otworzyłam skrzydełko ołówkiem. Tak jak przypuszczałam, w środku były pieniądze. Dużo pieniędzy. Cztery lub pięć grubych plików zużytych banknotów spiętych gumką. Głównie setki i pięćdziesiątki, ale także imponująca liczba dwudziestek i dziesiątek.

Dziesięć, może piętnaście tysięcy dolarów, pomyślałam, czując gwałtowny atak migreny nad lewym okiem.

Pomyślmy. W jaki sposób piętnaście kawałków trafiło do prywatnej szafki gliniarza z wydziału antynarkotykowego? Scott nie ufał bankom? Dobra wróżka odwiedziła posterunek?

A może, co bardziej prawdopodobne, Scott miał coś na sumieniu.

Zły glina, prawda?

— Scott — szepnęłam, wpatrując się w brudnozielone pogniecione krawędzie banknotów. — Kim ty byłeś, na Boga?

Co miałam teraz zrobić? Oddać pieniądze szefowi? Sprawa Scotta była już prawie zakończona. Czy naprawdę chciałam ponownie ją rozgrzebywać? Nagle zrozumiałam, że rozwiązanie jest bardzo proste.

Wepchnęłam kopertę jak najgłębiej do prawego buta, po czym schowałam lakierki do pudełka.

Jeśli Brooke zechce otworzyć tę puszkę Pandory, to jej sprawa, pomyślałam, zatrzasnąjąc szafkę. Piłka była po jej stronie.

Ujawnianie brudnych spraw zdecydowanie nie należało już do moich obowiązków.

Rozdział 70

Dostanie się do domu Brooke w Sunnyside zajęło mi prawie godzinę z powodu niewyobrażalnych korków.

Zaparkowałam nieoznakowany samochód policyjny na ulicy i podbiegłam do drzwi, niosąc rzeczy Scotta. Wizyta z pewnością nie zapowiadała się na miłą, ale byłam zdeterminowana, aby trwała jak najkrócej. Kiedy zadzwoniłam do drzwi, zauważyłam dziecięcy rysunek amerykańskiej flagi, wykonany kredą na podjeździe. Zadzwoniłam ponownie.

Po trzech minutach uznałam, że nikogo nie ma w domu. Miałam ochotę zostawić pudło z liścikiem przy tylnych drzwiach, ale nie mogłam tak okrutnie potraktować Brooke. Postanowiłam wrócić do samochodu i poczekać, kiedy nagle usłyszałam jakiś niewyraźny, stłumiony dźwięk.

Jego źródło znajdowało się wewnątrz domu, w pobliżu drzwi. W końcu go rozpoznałam. To był szloch. Ktoś płakał. Mój Boże, tylko nie to.

Tym razem zapukałam.

— Brooke? — zawołałam. — Tutaj Lauren Stillwell. Przywiozłam rzeczy Scotta. Wszystko w porządku?

Płacz stał się jeszcze głośniejszy. Przekreśliłam gałkę w drzwiach i weszłam.

Brooke leżała zwinięta w kłębek na schodach. Wyglądała, jakby była w szoku. Miała otwarte oczy, ale jej twarz była pozbawiona wyrazu. Łzy spływały jej po policzkach.

Przez chwilę nie wiedziałam, jak się zachować. Czy zrobiła sobie krzywdę? Rozejrzałam się w poszukiwaniu pustego opakowania po lekach. Przynajmniej nigdzie nie było krwi.

— Brooke, co się stało? To ja, oficer Stillwell. Porozmawiasz ze mną?

Początkowo tylko niepewnie poklepywałam ją po plecach, ale po minucie słuchania stłumionego szlochu odstawiłam pudło z rzeczami Scotta i mocno ją przytuliłam.

— No już. Spokojnie. Wszystko będzie w porządku — szepnęłam. Nie będzie, ale co miałam powiedzieć?

Zauważyłam, że w domu panuje bałagan, jaki mogą spowodować tylko dzieci. Zagracony zabawkami salon przywodził na myśl obrazki z zabawy w poszukiwanie różnic. Uklękałam na podłodze. Brooke przeżywała całkowite załamanie nerwowe.

Potrzebowała kolejnych kilku minut, aby dojść do siebie. W końcu wzięła głęboki oddech, który prawdopodobnie przyniósł większą ulgę mnie niż jej. Przyniosłam paczkę chusteczek higienicznych.

— Przepraszam — odezwała się, biorąc chusteczkę. — Drzełam na kanapie. Obudziłam się, kiedy pani podjechała pod dom, a potem wyjrzałam i zobaczyłam, że ma pani jego rzeczy, i... zupełnie jakby to wszystko wydarzyło się na nowo.

— Nawet sobie nie wyobrażam, jak musi ci być ciężko — odrzekłam po chwili.

Potargane blond włosy Brooke opadły jej na twarz, kiedy pochyliła głowę.

— Nie... Nie wiem, jak sobie poradzę — powiedziała, znów zaczynając płakać. — Moja mama zabrała dzieciaki, ale ja i tak nie mogę funkcjonować. Nie potrafię wyjść z domu, odebrać telefonu. Myślałam, że ataki paniki ustaną po pogrzebie, ale teraz jest chyba jeszcze gorzej.

Próbowałam znaleźć słowa, którymi mogłabym jej pomóc.

— Myślałaś o terapii grupowej? — zaproponowałam.

— Nie mogę sobie na to pozwolić. Moja teściowa i macocha już teraz bardzo mi pomagają przy dzieciach...

— Nie jestem psychologiem, Brooke, ale może przydałby ci się kontakt z ludźmi, którzy stracili współmałżonka. Nikt inny nie zrozumie tego, przez co przechodzisz, bo niby jak? I nie martw się tym, że korzystasz z pomocy, aby się ratować, kochanie. Jesteś matką. Musisz z tego wyjść, aby móc zadbać o swoje dzieci.

Nie wiem, czy Brooke kupiła moją motywacyjną przemowę, ale przynajmniej przestała płakać i odzyskała jasność spojrzenia.

— Czy właśnie to by pani zrobiła na moim miejscu? — spytała. Jej rozpaczliwy wzrok przygwoździł mnie do ściany. — Proszę, niech mi pani powie, co mam robić. Wydaje mi się, że tylko pani choć trochę mnie rozumie.

Z trudem przełknęłam ślinę. Brooke Thayer prosiła mnie o radę? Jak mogę dalej oszukiwać tę kobietę? Jak mogę dalej ukrywać, co tak naprawdę się wydarzyło? Co ze mnie za człowiek? Dno i kilka metrów mułu.

— Poszłabym na terapię, Brooke — odpowiedziałam.

Kogo nabierasz? — pomyślałam. Sama potrzebujesz terapii. Zerknęła na kartonowe pudło, które przyniosłam.

— Czy mogłaby pani zanieść te rzeczy na dół do gabinetu Scotty'ego? — poprosiła. — Jeszcze nie czuję się na siłach, aby tam wejść. Nie potrafię teraz się tym zająć. Zaparzę kawę. Napije się pani ze mną?

Chciałam odmówić. Bardzo zdecydowanie. Brooke i ja byłyśmy ostatnimi dwiema kobietami na świecie, które powinny się zaprzyjaźnić. Ale jak każda pełnokrwista Amerykanka, która musi wybrać między własnymi potrzebami a poczuciem winy i obowiązku, oczywiście się zgodziłam.

— Byłoby miło. Chętnie napiję się kawy. I proszę, mów mi Lauren.

Rozdział 71

Zamrugałam powiekami, schodząc po skrzypiących, śmierdzących stęchlizną schodach, które prowadziły do piwnicy Thayerów. Czy istotą romansów nie jest brak zobowiązań? Musiałam się stąd wydostać, zanim zostanę poproszona o posegregowanie szkolnych zdjęć Scotta, a potem jego bielizny.

Minęłam bojler i pralnię, po czym otworzyłam drzwi ze sklejki, na których wisiał plakat Michaela Strahana z New York Giants.

Zapaliłam światło i stanęłam jak wryta na progu.

Zobaczywszy ciemną, śmierdzącą olejem piwnicę, oczekiwałam typowego męskiego gabinetu. Narzędzi rozrzuconych na blacie biurka ze sklejki. Może drukarki mozaikowej stojącej w rogu na szczycie sterty magazynów „Sports Illustrated”.

Kiedy więc ujrzałam wnętrze, które przypominało gabinet Dona Corleone z Ojca Chrzestnego, nielecho się zdziwiłam.

Ściany wyłożono ciemnymi dębowymi panelami. Wiekowe mahoniowe biurko wyglądało na zbudowane z drewna starego statku. Na blacie stał PowerBook firmy Apple.

Była tam także czarna kanapa pokryta skórą, a na ścianie po mojej prawej stronie wisiał czterdziestodwucalowy plazmowy telewizor. Za biurkiem, na szczycie niskiej półki na książki, leżały trzy telefony komórkowe oraz ładujący się komputer kieszonkowy BlackBerry.

O rany, pomyślałam, stawiając pudło obok laptopa i czując rosnące przerażenie. Najpierw pieniądze w szafce w pracy, a teraz ta ekskluzywna kryjówka w piwnicy własnego domu.

Przespałam się z niezwykłym facetem, nie ma co.

Może w przerwach między upychaniem brudnej forsy pod obuwem a sypianiem z zamężnymi policjantkami Scott był Batmanem?

Opadłam na skórzany fotel i na kilka sekund zamknęłam oczy. Odkrycie tego stanowiska dowodzenia poważnie mnie zmartwiło. Czy Scott zanotował, dokąd wychodził w dniu swojej śmierci? Wyobraziłam sobie oprawiony w skórę kalendarz, w którym widniał wpis: „Lauren, godzina 23:00”, tuż pod datą popełnienia morderstwa. Nie takie rzeczy wypływały w czasie dochodzeń.

Pospiesznie przejrzałam zawartość laptopa, komputera BlackBerry i komórek, lecz na szczęście nigdzie nie znalazłam swojego numeru telefonu.

Kiedy skończyłam, zauważyłam szafę na dokumenty oraz dużą metalową szafkę, które stały w lewym narożniku pomieszczenia.

Sprawdziłam, czy na schodach nie słychać kroków Brooke, po czym podeszłam bliżej.

Oczywiście obie szafki były zamknięte na klucz.

Przetrzałam biurko Scotta i wśród zawartości stojaka na ołówki znalazłam malutkie kółko z kluczykiem. Klucz otworzył szafę na dokumenty, ale nie pasował do metalowej szafki.

Moje spocone palce niemal ześlizgnęły się z uchwytu, kiedy odsuwałam pierwszą z ciężkich szuflad.

Poczułam częściową ulgę, kiedy zobaczyłam, że dokumenty wyglądają na typowe elementy domowej księgowości. Na teczkach widniały napisy: „Podatki”, „Karty kredytowe”, „Samochód”, „Dentysta”.

— Lauren? — zawołała Brooke ze szczytu schodów. — Wszystko w porządku?

Mam nadzieję, pomyślałam.

— Jeszcze chwileczkę — odkrzyknęłam, przerzucając kolejne teuczki. — Prawie skończyłam.

Zamknęłam szafę i już miałam odejść, ale wtedy coś skłoniło mnie, aby wsadzić rękę pod górną szufladę biurka. Brzydki policyjny nawyk.

Znalazłam tam płytę DVD, którą ktoś skrupulatnie przy-mocował za pomocą taśmy klejącej.

Rozdział 72

Serce podskoczyło mi w piersi, kiedy oderwałam płytę od dwustronnej taśmy klejącej.

Na pudełku niebieskim markerem napisano: „Ubezpieczenie”.

Zapalając fluorescencyjne światło, stwierdziłam, że to nowe, tajemnicze oblicze Scotta coraz bardziej mnie intryguje. A może raczej przeraża.

Jaki rodzaj ubezpieczenia znajduje się na płycie DVD? Taki, jakiego potrzebuje ktoś, kto trzyma oszczędności pod butem, odpowiedziałam sobie.

Mam ją wziąć czy zostawić?

Wsunęłam płytę do torebki.

Chyba wezmę.

Kiedy wspierałam się na szczyt schodów, przez ozdobione kamiarnianymi zasłonkami okno w kuchni zobaczyłam, że przed domem zatrzymuje się biały minivan.

— Och, już wrócili — zauważyła rozczarowana Brooke. — Taylor źle to wszystko znosi. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak mama Scotta zareaguje, kiedy cię zobaczy. Jest jeszcze bardziej zdruzgotana niż ja, jeśli to możliwe. Chyba przełożymy tę kawę. Czy mogłabyś

wyjsć frontowymi drzwiami, aby cię nie widziała?

— Oczywiście, Brooke.

Jak widać, pozbierała się na tyle, aby grzecznie wykopać mnie za drzwi. Zawsze to jakiś postępek. Chociaż prawdę mówiąc, nie musiała mi mówić dwa razy, abym się wynosiła w cholerę.

— I nie zapomnij — zawołałam od drzwi — rozejrzyj się za terapią grupową. Obiecujesz?

O kurczę, pomyślałam, włączając silnik chevroleta. Terapia grupowa. Nie wiem, jaką jeszcze stereotypową bzdurę mogłam zaproponować komuś tak zrozpaczonemu. Może od razu polecę jej seans hipnozy regresywnej?

Sama nie mogłam uwierzyć w to, jakie słowa ostatnio wydobywały się z moich ust. A także w to, czego się dopuszczałam. Zerknęłam w dół na ukradzioną płytę, którą miałam w torebce.

Kiedy wcisnęłam gaz, opony radiowozu zawarczały na asfalcie.

Coraz lepiej wychodziło mi odgrywanie zimnej suki.

I straszliwie mi się to nie podobało.

Rozdział 73

Niecałą godzinę później zjechałam na południe Major Deegan Expressway przy parku Van Cortlandt w Bronksie.

Wykonałam szybki nawrót i wjechałam na drogę dojazdową do pola golfowego, które znajdowało się na terenie parku i było uznawane za najstarsze ze wszystkich znajdujących się w Ameryce. Nie miałam zamiaru ćwiczyć uderzeń, tylko szukałam prywatności, którą zapewniał parking koło pola, jedna z najstarszych amerykańskich policyjnych kryjówek dla radiowozów.

Napęd CD/DVD w moim laptopie zastukał jak opróżniony magazynek glocka, kiedy wrzuciłam do niego płytę z „Ubezpieczeniem” Scotta. Pomimo pośpiechu udało mi się jej nie połamać.

Może Scott źle podpisał płytę, pomyślałam po minucie intensywnego wpatrywania się w ekran.

To nie było ubezpieczenie.

Raczej inwigilacja.

Zapis obserwacji z 22 lipca z godziny 10:30; taka data widniała w prawym dolnym rogu ekranu.

Gwiazdą filmu był łagodnie wyglądający Latynos w średnim wieku, ubrany w hawajską koszulę, beztrąsko idący miejską ulicą.

Wydedukowałam, że akcja rozgrywa się w Nowym Jorku, kiedy Latynos wstąpił na samotny lunch do ogródka restauracji po drugiej stronie parku Union Square.

Doszłam także do wniosku, że dysponuje sporą ilością pieniędzy, ponieważ wkrótce akcja przeskoczyła do przodu, pokazując, jak wysiada z taksówki i wchodzi do słynnego sklepu Ralpa Laurena na rogu Siedemdziesiątej Drugiej i Madison.

Czy ten facet był handlarzem narkotyków? Biorąc pod uwagę pochodzenie filmu oraz fakt, że kamerę prawdopodobnie umieszczono w bocznym oknie furgonetki, nagranie z pewnością nie przedstawiało prezentera prognozy pogody pracującego dla Telemundo.

Następnie kamera pokazała, jak mężczyzna wychodzi z ekskluzywnego sklepu z ubraniami, obwieszony drogimi zakupami, po czym przywołuje kolejną taksówkę. Licznik w narożniku ekranu przeskoczył do przodu o pół godziny i zobaczyłam, jak facet wysiada z taksówki i wchodzi luksusowym głównym wejściem do hotelu Four Seasons przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Wszystko z wielką klasą.

Nagle kamera przeniosła się z poziomu ulicy na gzyms na trzydziestym lub czterdziestym piętrze wieżowca. Punkt widzenia przesunął się do przodu, a następnie w dół. Licznik w narożniku pokazywał godzinę 18:10 22 lipca.

Oko kamery przemknęło po dachu hotelu, po czym skupiło się na jednym z balkonów od strony Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy.

Po kolejnych kilku minutach cichej obserwacji kamera powędrowała w dół, w dół, w dół, aż na ulicę, gdzie w końcu zatrzymała się na bezdomnej kobiecie na rogu parku.

— ...zapłata za grzechy, mój Jezu. O mój Jehowo, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią — głos rozległ się równie wyraźnie, jak grzechot monet w kubku po kawie.

Ktoś musiał włączyć mikrofon kierunkowy.

Kiedy kamera wycofała się do góry i zatrzymała na balkonie apartamentu, z głośników popłynęły odgłosy miasta. Monotonny szum samochodów. Odległy dźwięk syreny. Nowy Jork, Nowy Jork.

Po dwudziestu minutach tego porywającego filmu dokumentalnego akcja ponownie przeskoczyła do przodu. Początkowo pomyślałam, że zniknął obraz, ale po chwili spostrzegłam, że licznik przesunął się o siedem godzin i wskazuje godzinę 1:28 23 lipca.

Z obrazem wszystko w porządku, po prostu dzień zmienił się w noc.

Nadal nie było co oglądać. Przez dwie minuty na ekranie panowała całkowita ciemność, jeśli nie liczyć słabego blasku lamp ulicznych, który odbijał się od metalowej barierki balkonu.

Nagle pojawił się jaskrawy błysk i cały balkon utonął w dziwnym zielonkawym świetle.

Zrozumiałam, że zespół, który prowadził obserwację, zaczął filmować w podczerwieni. Goście mieli dostęp do niezłych zabawek.

Czy oddział specjalny Scotta uważał, że ten pulchny Latynos zamierza przeprowadzić dużą narkotykową transakcję na swoim balkonie hotelowym? Może mieli nadzieję, że uchyli szklane drzwi i będą mogli coś podsłuchać?

Nigdy się tego nie dowiedziałam.

Ponieważ po kolejnych piętnastu minutach oglądania pustego balkonu w podczerwieni usłyszałam nieprzyjemny huk i oko kamery powędrowało mniej więcej o trzy metry w górę, pokazując dach hotelu.

Przez drzwi dla obsługi, które znajdowały się obok osłony windy, wyszli tęgi mężczyzna w smokingu oraz kobieta ubrana w sukienkę ze złotymi cekinami, która więcej odkrywała, niż zasłaniała. Kamera pokazała zbliżenie na parę, która zaczęła namiętnie się całować i obściskować pod skrynką klimatyzatora.

Przez chwilę widać było, jak kobieta bezgłośnie porusza ustami, po czym rozległ się pisk, gdy regulowano mikrofon kierunkowy, aby wyłapać jej słowa.

— Zaczekaj — powiedziała.

Potem ściągnęła połyskującą sukienkę przez głowę. Musiała być kompletnie zalana, gdyż łatwiej byłoby zdjąć ją przez biodra. Pod spodem miała tylko stringi.

Co do...? — pomyślałam zszokowana.

Rozdział 74

— Teraz znacznie lepiej — powiedziała dziewczyna na ekranie, obracając się, aby pochwalić się swoimi walorami, które rzeczywiście były imponujące.

W końcu zatrzymała się i mocno pocałowała mężczyznę w usta. Chwyliła go za rękę i przeciągnęła nią po swoim ciele.

— Abrakadabra! Sprawiałam, że sukienka zniknęła.

Facet się roześmiał.

— Zwariowałaś. No i kompletnie nie masz wstydu. Lubię to u kobiet.

— Teraz twoja kolej. Zobaczmy, co masz do zaoferowania.

— Czy ja wiem — odrzekł sceptycznie. Nie widziałam jego twarzy, ponieważ stał tyłem do kamery. — Tu wszędzie pełno okien. Ktoś mógłby zobaczyć.

— Niby jak? Nie widać nawet wyciągniętej dłoni — odparła ekshibicjonistka. — No dalej, John. Choć raz w życiu udowodnij, że masz jaja. Zabaw się!

— Zastanowię się. Ale najpierw muszę coś załatwić.

Odrzucił się i opuścił dużą głowę. Rozległo się głośne pociągnięcie nosem.

— Ejże, zostaw trochę dla mnie — powiedziała kobieta, podchodząc bliżej. — Brzmisz jak świnka.

Kolejne pociągnięcie nosem.

— Nieźle to gówno — odparł John. — Lepsze niż świństwo, które przyniosłaś ostatnio. Krwawiłem z nosa przez tydzień. Musiałem powiedzieć żonie, że mam wyschnięte zatoki.

— Jeszcze słowo o twojej żonie, a zejść do waszego pokoju i obudzę babsztyla. Teraz ja wciągam, a ty się robierasz.

— Życzenie pięknej pani jest dla mnie rozkazem — odrzekł, ściągając marynarkę.

Kiedy rozpiął pasek, z zażenowaniem przeniósł kursor na przycisk przewijania. Przewrócił się, próbując ściągnąć spodnie i bieliznę przez buty. Jego blade pośladki zapewne świeciłyby nawet bez podczerwieni, gdy bezskutecznie usiłował się podnieść.

Potem się odwrócił, a kamera pokazała zbliżenie jego twarzy.

Kliknęłam przycisk pauzy na odtwarzaczu tak mocno, że prawie uszkodziłam myszkę.

To był prokurator generalny z Bronksu, John Meade.

Siedziałam bez ruchu, broniąc się przed hiperwentylacją, kiedy dotarło do mnie znaczenie tego, co zobaczyłam. Wiedziałam już, że Scott jest złym gliną. Czy przywłaszczał sobie pieniądze, które znajdował podczas policyjnych nalotów? Okradał handlarzy narkotykami? Możliwe. W każdym razie na pewno nie robił tego, co powinien.

A podczas tej obserwacji trafił mu się niespodziewany bonus.

Patrzyłam na bardzo ważnego prawnika z gołym grubym brzuchem, czerwonymi oczami i naćpanym półuśmiechem.

Przypadkowo, a może wcale nie, Scott nagrał człowieka, który mógł mu wyrządzić największą krzywdę — prokuratora generalnego z dzielnicy, w której pracował i kradł. W najbardziej kompromitującej sytuacji, jaką można sobie wyobrazić. Romansującego i wciągającego kokainę.

Takiej polisy nie wykupi się w żadnej firmie ubezpieczeniowej.

Słuchałam dudnienia samochodów na autostradzie za moimi plecami.

Nie mogłam w to uwierzyć. Kłamstwa. Brudne pieniądze. Teraz szantaż. Scott jednak nie był Batmanem. Był Harveyem Keitelem w Złym poruczniku.

Kolejne świństwa wychodziły na jaw.

Zamknęłam laptopa i włączyłam silnik.

Byłam w nich zanurzona po szyję.

Rozdział 75

Następnego ranka obudziłam się z zaskakującym i dość dziwnym przeświadczeniem, że nadszedł czas na wzięcie tygodnia zaległego urlopu.

Tak właśnie zrobiłam, zaczynając od poniedziałku. Pomimo wszystkich problemów całkiem dobrze się bawiłam. Zamiast seksu, kłamstw i kaset wideo zajmowały mnie seks, jedzenie i jogging, najczęściej w odwrotnej kolejności.

Poranki i popołudnia spędzałam z żurawiem w parku Tibbetts Brook bądź na ponownej nauce gotowania jak Julia Child. Dbałam o to, aby każdego wieczoru na Paula czekał nowy, oszałamiający domowy posiłek: pieczeń duszona w czerwonym winie z borowikami, pieczona pierś z kaczki z czarnymi truflami bądź jego ulubiony grillowany befsztyk z suszonej polędwicy, podany z dwukrotnie opiekanymi ziemniakami.

Zazwyczaj nie kończyło się na pysznym jedzeniu. Nasze życie erotyczne wróciło na właściwe tory, a nawet stało się lepsze niż kiedykolwiek. Wręcz nie mogliśmy się od siebie oderwać.

Kiedy potem przytulaliśmy się w ciemności, opanowywało mnie coś w rodzaju amnezji i wszystko — mroczna przeszłość oraz niepokojąca przyszłość — nagle zniknęło.

Cios nadszedł w czwartek.

Miał postać niespodziewanego telefonu. Była dziesiąta, a ja rozsznurowywałam swoje reeboki, kiedy zauważyłam migające światełko na automatycznej sekretarce.

Już od dawna brak wiadomości oznaczał dobre wiadomości.

Kto dzwonił do mnie do domu podczas urlopu? Wcisnęłam guzik, aby się dowiedzieć.

— Pani porucznik Stillwell, mówi asystent prokuratora generalnego Jeffrey Fisher z Sądu Okręgowego w Bronksie. Wiem, że jest pani na urlopie, ale musimy wspólnie wyjaśnić kilka szczegółów dotyczących sprawy Scotta Thayera. Zapraszamy jutro o dziesiątej. Budynek sądu, pierwsze piętro.

Odtwarzałam tę wiadomość wielokrotnie.

Najbardziej mnie niepokoiło, że chociaż miałam wielu znajomych w wydziale zabójstw w biurze prokuratora generalnego, to akurat Fishera znałam najłabiej. Wyglądało na to, że wyciągnął najkrótszą słomkę i wbrew sobie musiał zająć się nieprzyjemną sprawą. A ta dość swobodna forma wiadomości? Zwrot „wyjaśnić kilka szczegółów” sugerował, że chodzi o jakiś drobiazg. Co nie miało sensu, biorąc pod uwagę podaną na końcu oficjalną informację o godzinie i miejscu spotkania. Próbując nakłonić świadków do zeznań, również stosowałam tę podręcznikową zasadę, która polegała na sprawianiu wrażenia, że to, co obowiązkowe, jest dobrowolne.

Świadków, pomyślałam, zamykając oczy.

Nie mówiąc o podejrzanych.

Na chwilę straciłam zimną krew, zaczynając się zastanawiać, co mogło się stać, co schrzaniłam, co może mi zarzucić biuro prokuratora generalnego. Ale szybko przestałam.

Wiedziałam, na czym polega ta gra, i zdawałam sobie sprawę z tego, że także w przypadku najmniej korzystnego scenariusza miałam przewagę. Ponieważ nawet gdyby prokurator generalny oskarżył mnie i Paula o zamordowanie Scotta, to najpierw musiałby to udowodnić. Co nie byłoby proste przy braku odcisków palców. Poza tym Paul nigdy nie wspomniał nikomu o tym, co zrobił. Nawet mnie.

Czasami wiadomo, że ktoś coś zrobił, a on i tak może się wywinąć. Dobrze o tym wiedziałam. Trzeba wygrać sprawę przed sądem, a żeby się tam dostać, potrzebne są dowody.

Siedząc przy telefonie, starałam się przekształcić swój strach w coś użytecznego. Jeżeli biuro prokuratora generalnego postanowi iść na całość, to będę przygotowana.

Jednak zanim wcisnęłam przycisk „kasuj”, zaczęła mi drżeć ręka.

Tak, jasne. Kogo ja oszukuję?

Jak, do diabła, się z tego wykaraskam?

Rozdział 76

Po bezsennej i niespokojnej nocy postanowiłam schować pistolet i odznakę pod swoim ulubionym czarnym kompletem od Armani. Spódniczka miała z boku rozcięcie, które w normalnych okolicznościach dyskwalifikowało ją jako strój do pracy, ale to przecież nie były normalne okoliczności.

Odwinęłam bandaż i przeczesałam palcami świeżo ostrzyżone i ufarbowane włosy, po czym włożyłam odkryte pantofle bez pięt od Steve'a Maddena.

Moje spotkanie w biurze prokuratora generalnego miało być walką, czyż nie?

Potrzebowałam każdej możliwej broni, aby wyjść cało z konfrontacji z prawem.

Wyszłam na tyle wcześnie, aby jeszcze wpaść do Starbucks w Bronxville po kawę. Zdażyłam ją wypić, zanim zaparkowałam na Lou Gehrig Plaza po drugiej stronie budynku sądu. Popatrzyłam na stadion New York Yankees na końcu Sto Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy, mając nadzieję, że udzieli mi się choć odrobina ich magii.

Niestety, moja sytuacja wyglądała na przegrany mecz.

Była dziewiąta trzydzieści, pół godziny przed umówionym spotkaniem, kiedy znalazłam Fishera przy jego biurku na pierwszym piętrze. Siedział tam razem z trzema innymi asystentami prokuratora generalnego.

— Witam, panowie. Jak leci? — rzuciłam, kolejno spoglądając im w oczy.

Zrobiłam, co mogłam, aby świetnie wyglądać. Obracając się głowy niemal wszystkich komorników, podsądnych i adwokatów, których mijalam w marmurowych korytarzach, przekonały mnie, że uzyskałam całkiem niezły efekt.

Odpięłam jeden z guzików żakietu, pokazując facetom swojego glocka w kaburze, która ściśle przylegała mi do brzucha.

Gdyby to była kreskówka, oczy wyskoczyłyby prawnikom z orbit, a wielkie czerwone serca opuściły ich klatki piersiowe. Seksowna laska i spluwa? Połączenie nie do pobicia. Mężczyźni są tacy przewidywalni.

— Macie prawo zachować milczenie, ale to trochę śmieszne, nie uważacie?

Rozległy się lakoniczne pożegnania i prawnicy jeden po drugim się zmyli, aż w zagraconym boksie zostaliśmy tylko ja i mój przyjaciel Fisher. Niemal spadł z krzesła na kółkach, kiedy posadziłam tyłek na krawędzi biurka.

Kluczem do wygrania każdej bitwy jest wytrącenie przeciwnika z równowagi. Trafienie w jego słaby punkt i nieodpuszczanie aż do końca. Jedyne, co zapamiętałam w związku z Fisherem, łysiejącym, trzydziestokilkuletnim facetem o minie winowajcy, to że rok wcześniej próbował zajrzeć mi w dekolt podczas jednej z imprez pożegnalnych w Piper's Kilt.

— Chciał się pan ze mną zobaczyć, panie Fisher?

Patrzyłam, jak jego twarz przybiera jaskrawoczerwony kolor, tylko trochę mniej intensywny od światła stopu.

— Tak... eee... no cóż... pani porucznik — wydukał asystent prokuratora generalnego. — To znaczy... to pewnie nic takiego. Bez wątpienia. Gdzie ja włożyłem tę teczkę? To zajmie tylko chwilę.

Patrząc, jak przetrząsa swoje biurko, miałam wrażenie, że już wygrałam tę rundę. Przesłuchanie to próba sił. Jeszcze przed chwilą, dzięki tajemniczej wiadomości, którą nagrał na mojej automatycznej sekretarce, Jeffrey Fisher uważał, że panuje nad sytuacją. Teraz już tak nie było.

Każdy asystent prokuratora generalnego ma wbudowany kompleks niższości wobec policjantów z wydziału zabójstw. Sprawę przypieczętował fakt, że prawdopodobnie podobałam się Fisherowi.

Będzie działał ostrożnie. Zaprzeczę każdej niespójności, na którą zwróci uwagę, a on przyzna mi rację. Czym się tak przejmowałam? Miałam go w garści. W końcu kim był Fisher? Jakimś durnym urzędasem, który bał się postawić stopę na niebezpiecznych ulicach Bronksu. Wyjdę stąd oczyszczona z winy i wolna. Czuję to.

Ale wtedy, zupełnie znikąd, niczym jakiś potworny upiór, pojawił się szef Fishera, Jeff Buslik. Wcale nie wyglądał na speszonego. Wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie niezwykle spokojnego i skupionego. Złowieszczo spokojnego. Mój strój nie zrobił na nim większego wrażenia. Cmoknął mnie w policzek, jak gdybym była jego siostrą.

— Co słyhać, Lauren? To ja cię wezwałem. Zapraszam do mojego gabinetu.

O nie, pomyślałam.

Kurwa mać, nie!

Rozdział 77

Poszłam za Jeffem. Jego gabinet znajdował się na rogu budynku, naprzeciwko stadionu. Przez okno oprawione w miedzianą ramę widać było prawą trybunę Yankees.

— Hej, możesz stąd szpiegować kibiców.

— A myślisz, że jak uzupełniam rejestr poszukiwanych? — zartował Jeff. Potem w skupieniu opuścił wzrok na biurko, jak gdyby szukając właściwych słów. — Posłuchaj, Lauren. Lubię cię. Naprawdę cię lubię. Jesteś świetną policjantką i...

— Jestem mężatką, Jeff— odpowiedziałam z uśmiechem.

— Wiem. No dobrze. Chyba najlepiej będzie, jeśli zapytam wprost. Czy miałas cokolwiek wspólnego ze śmiercią Scotta Thayera?

Stało się. Oto bomba, co do której miałam nadzieję, że nigdy nie wybuchnie. Przez chwilę byłam jak ogłuszona. Niemał czułam, jak mój cień wypala ślad na ścianie za plecami.

Walcząc o odzyskanie oddechu, zastanawiałam się, czy mogli mnie osądzić na miejscu, w gmachu sądu. Potem wystaliby mnie razem z innymi więźniami furgonetką na Rikers Island.

— Oczywiście — odpowiedziałam po dłuższej przerwie.

Uśmiechałam się, aby dać Jeffowi do zrozumienia, że biorę jego pytanie za żart. — Stałam na czele dochodzenia.

— Nie to miałem na myśli — odparł cicho.

Spojrzałam mu w oczy. Co mogłam teraz powiedzieć? Co mogłam zrobić? Zrób coś, rozkazał mi jakiś głos. Walcz. Albo zgiń.

— A co takiego, do diabła, masz na myśli, Jeff? Co to ma być? Sprawa Scotta jest zamknięta. Pamiętam, ponieważ kiedy zatraskiwało się za nią wieko, prawie ucięło mi głowę. Dzwonili do ciebie z Biura Spraw Wewnętrznych? To o to chodzi?

— Trzy dni temu z naszym biurem skontaktował się prawnik niejakiego Ignacio Moralesa. To bramkarz w klubie CudZiemie, gdzie udaliście się w celu aresztowania braci Ordonezów.

O cholera.

— Tak, pamiętam pana Moralesa. Czy wspomniał, że miał zamiar mnie zgwałcić w piwnicy klubu?

Jeff uniósł dłoń, jak gdyby odpędzając ten mało ważny szczegół.

— Utrzymuje on, że pistolet, który znaleziono przy zwłokach Victora Ordoneza, został wyjęty z twojej torebki podczas rutynowej kontroli w klubie.

Wytrzeszczyłam oczy, aby podkreślić swoje oburzenie. Nicole Kidman mogła mi pozazdrościć.

— A ty w to uwierzyłeś?

— Niezupełnie. Nie mam za grosz zaufania do tej dealerskiej gnidy.

Sięgnął do szuflady i wyjął jakąś kartkę.

— Ale potem zobaczyłem to.

To były billingi Scotta. Czy przesłał mu je mój partner? Pomimo ogarniającej mnie paniki nie mogłam w to uwierzyć. Zawsze skuteczny i skrupulatny Jeff musiał poprosić o własny egzemplarz.

W pewnym sensie tego oczekiwałam. Dlatego zareagowałam w jedyny sposób, który mi pozostał — zaatakowałam.

— I co z tego? A więc znałam Scotta. Rozmawialiśmy przez telefon. Nasze relacje to nasza osobista sprawa, więc nigdy o nich nie wspominałam. Czy to przestępstwo, że chroniłam prywatność?

Zamiast odpowiedzieć, Jeff wyjął kolejną kartkę i popchnął ją w moją stronę.

Była to fotokopia mandatu za niewłaściwe zaparkowanie motocykla. To miło ze strony Jeffa, że dał mi czas na dokładne zapoznanie się z podkreślonymi datą i adresem.

Adresem w Yonkers, o pół przecznicy od mojego domu.

W mojej głowie dzwony zabiły na trwogę.

Tego się nie spodziewałam.

— Ten mandat Scott dostał za niewłaściwe zaparkowanie swojego pojazdu na dwie godziny przed śmiercią — rzekł Jeff spokojnie. — Sprawdziłem adres na mapie. To pół przecznicy od twojego domu. Proszę, Lauren, wytłumacz mi to jakoś, bo w tej chwili mam wystarczające dowody, aby postawić cię przed sądem. Mam świadka, który widział, jak podłożyłaś broń. Mam dokument poświadczający to, że Scott był w pobliżu twojego domu krótko przed śmiercią. Wygrywałem znacznie trudniejsze sprawy. Ale jesteś moją przyjaciółką. Dlatego postanowiłem ci zaufać przed podjęciem jakichkolwiek oficjalnych działań. To twoja pierwsza i ostatnia szansa, aby powiedzieć, co się stało, i pozwolić sobie pomóc.

Rozdział 78

To była kusząca propozycja. Od dawna tak wiele ukrywałam. Okłamywałam swoich przyjaciół i współpracowników.

Chęć usprawiedliwienia się i uwolnienia od ciężącego na mnie brzemienia nie dawała mi spokoju. Pragnęłam wyjaśnić, że początkowo po prostu się bałam, a wszystko toczyło się zbyt szybko. Starałam się chronić swojego męża, Paula. Robiłam to wszystko dla niego.

Teraz już wiedziałam, co czuli ci wszyscy podejrzani, których na przestrzeni lat wsadziłam za kratki, tuż przed przyznaniem się do winy, oczyszczeniem i daniem za wygraną. Spowiedź to ostatni krok na drodze do przebaczenia, czy nie tak brzmiał slogan?

Ale wtedy sobie przypominałam.

Wcale nie potrzebowałam przebaczenia.

Miałam całkiem dobry plan B.

Zrobiłam coś, z czym Jeff Buslik prawdopodobnie niezbyt często się spotykał w swoim niezwykle ważnym narożnym gabinecie. Odchyliłam się do tyłu na fotelu przesłuchań, spłotłam ręce na kolanach okrytych obcisłą spódniczką i się uśmiechnęłam.

Po czym ruszyłam do ataku!

— Widzę, że masz dużo papierowych dowodów, Jeff. Ale ciekawe, czy masz jakieś materiały filmowe?

— Słucham? — zdziwił się zastępca prokuratora generalnego. Na jego twarzy pojawił się wyraz, jakiego jeszcze nigdy u niego nie widziałam. Całkowitego oszołomienia. — Lauren, proszę. Nie mamy teraz czasu na bzdury. Muszę wypełniać swoje obowiązki, więc jeśli nie chcesz wykonać nieoficjalnego kroku we właściwym kierunku, to chyba będziemy musieli...

— Materiały filmowe, Jeff— ciągnęłam. — Takie dowody są niepodważalne, prawda? Trzymam się tego tematu tylko dlatego, że w czasie śledztwa natrafiłam na... cóż... — Wyjęłam laptopa z torby, włączyłam go i wcisnęłam przycisk odtwarzania. — Może lepiej sam zobacz. Chyba powinieneś.

Rozdział 79

Pozwoliłam mu obejrzeć zapis obserwacji od początku do końca. Sama siedziałam przy oknie i wpatrywałam się w trybuny stadionu. Tata zabrał mnie na pierwszy mecz, kiedy miałam osiem lat. Co prawda, nie złapałam odbitej piłki, ale po raz pierwszy posmakowałam piwa, kiedy jakiś pijak za nami upuścił mi kubek na głowę.

Zastanawiałam się, co tata sądziłby o tym wszystkim i o mnie. Czy byłoby mu wstyd? A może odczuwałby dumę, że potrafię wszelkimi metodami walczyć o przetrwanie? Czekalam na jakiś znak od niego, ale usłyszałam tylko grzechot przejeżdżającego pociągu linii 4.

Kiedy Jeff Buslik skończył oglądać DVD, zamknął laptopa i również przez chwilę wyglądał przez okno.

Wspólnie wsłuchiwałam się w martwą ciszę.

Film pokazywał przełożonego Jeffa, Johna Meade'a, jednak równie dobrze jego gwiazdą mógłby być sam Buslik. W następnym roku w listopadzie Jeff zamierzał kandydować na stanowisko prokuratora generalnego, które zwalniał Meade, i mówiło się, że jest zdecydowanym faworytem. Podobno zresztą nie było to jedyne stanowisko, do którego się przymierzał. Niezwykle bystry, czarnoskóry,

z gwiazdorską prezencją, przez prasę został już okrzyknięty Barackiem Obamą Bronksu.

Jednak rzeczywistość polityczna wymagała, aby Jeff otrzymał błogosławieństwo swojego szefa. John Meade był prawdziwą instytucją w Bronksie, a Buslik odgrywał rolę jego prawej ręki. Przy najmniej do dnia wyborów pozostawali ze sobą nierozdzielnie związani.

Gdyby wcześniej John Meade poszedł na dno, pociągnąłby swojego podwładnego za sobą.

Wydawało się, że Jeff rozumie to równie dobrze jak ja. Nagle skrzywił się, jak gdyby bardzo dokuczał mu żołądek. W końcu przeniósł na mnie cierpkie spojrzenie.

— Dowody — powtórzyłam. — Ty je masz i ja je mam. Posłuchaj, nie czuję do ciebie żalu. Rozumiem, że dorwanie mnie było by dla ciebie czymś szczególnym. Relacje na cały kraj, być może nawet status gwiazdy. Myślę, że to wspaniałe, gdy ktoś pragnie się rozwijać. Ale jeśli spróbujesz mnie ruszyć, to przysięgam, że następnym razem zobaczysz ten materiał na Fox News.

Zastanawiał się jeszcze przez chwilę.

— Zabiłaś go, Lauren? — spytał w końcu. — Czy zabiłaś Scotta Thayera?

— Nie — odparłam. — Nie czytujesz gazet? Victor Ordonez to zrobił. Zresztą ja odchodzę z policji. Już dłużej nie wytrzymam tego gówna. Najlepiej odejść, gdy jest się na szczycie. Tak jak twój szef. Zgodzisz się ze mną?

Wstałam i wyjęłam płytę z laptopa.

— Skończyliśmy, prawda? — spytałam. — Naszą przyjacielską pogawędkę?

Siedział w milczeniu przez kolejną minutę. Potem odwrócił się,

a niszczarka za jego biurkiem dwukrotnie wesoło zawarczała, kiedy wylądowały w niej billingi Scotta oraz mandat za niewłaściwe parkowanie.

— Skończyliśmy, Lauren — odrzekł cicho w stronę przeciwległej ściany. W jego głosie usłyszałam smutek. Nie odwrócił się, dopóki nie wyszłam.

— Nie zabiłam go — powiedziałam w końcu, ale dopiero wtedy, gdy znalazłam się poza budynkiem, w drodze do samochodu.

Część trzecia

Waszyngtoński romans

Rozdział 80

— Jeszcze trochę wody gazowanej, signora! Więcej chianti, signore!

— Si — odpowiedzieliśmy z Paulem jednym głosem. Chwilo, trwaj, jesteś piękna.

Nieogolony młody kelner uśmiechnął się radośnie, napełniając nasze kieliszki, zupełnie jakby za naszą sprawą ziściło się największe marzenie jego życia. Za jego plecami blade kamienne ściany Monticiano, najnowszej i najdroższej włoskiej restauracji w Greenridge w stanie Connecticut, lśniły niczym tokański zachód słońca.

Niespodziewana wyprawa na północ, na kolację do jedynej czterogwiazdkowej włoskiej restauracji w hrabstwie Litchfield, sprawiła mi dużą przyjemność po wyczerpującym poranku w sądzie.

Po tym, co zrobiłam u Jeffa Buslika, należała mi się wycieczka do prawdziwej Toskanii, pomyślałam, biorąc do ust kolejny zniewalający kęs fettuccine z truflami.

— Signora, signore chciałby zaproponować toast — odezwał się Paul. — Za przeszłość.

— Za przyszłość.

Stuknęliśmy się kieliszkami.

I za to, abyśmy już zawsze byli razem i bezpieczni, pomyślałam, pociągając łyk chłodnej san pellegrino.

Paul napił się wina i odchylił do tyłu z uśmiechem. Zupełnie jakby w jakiś sposób wyczuwał, że teraz już wszystko było dobrze, odkąd skończyło się to całe szaleństwo, a nasze nowe życie — prawdziwe życie — miało się dopiero zacząć.

W migoczącym świetle świec przyglądałam się mojemu mężowi, zupełnie jakbym patrzyła na niego po raz pierwszy. Na jego rudawozłote włosy, przenikliwe oczy, silne dłonie, które o mnie walczyły.

— Kochanie? Kochanie, posłuchaj — powiedział Paul, pochylając się nad stolikiem. — Nie do wiary!

Z głośników dobiegał głos Franka Sinatry śpiewającego *The Way You Look Tonight*.

Naszą ślubną piosenkę.

Zrobiło się wręcz nieznośnie idealnie. Moje serce unosiło się jak bąbelki w kieliszku. To przesądzało sprawę. Paul i ja będziemy razem. Nareszcie szczęśliwi, nareszcie wolni. Z dzieckiem, którego zawsze pragnęliśmy.

— I co o tym sądzisz? — spytał mój mąż, kiedy piosenka dobiegła końca.

— O makaronie? Bellissima.

— Nie, o tej okolicy.

Greenridge mogłoby uchodzić za typowe urocze miasteczko w Nowej Anglii, gdyby nie drogie galerie sztuki, drogie sklepy z winem i drogie centra odnowy biologicznej na głównej ulicy. Połączenie Normana Rockwella i SoHo. Restauracja Monticiano mieściła się w przebudowanej dziewiętnastowiecznej remizie strażackiej. Czytałam w czasopiśmie „New York”, że wielu projektantów mody i artystów z centrum ma tutaj wiejskie domy. Wcale mnie to nie dziwiło,

biorąc pod uwagę drugi najniższy wskaźnik przestępczości na całym północnym wschodzie.

— To niesamowite, że w ogóle się przeprowadzamy — powiedziałam. — Ale tutaj?

— A jeszcze nawet nie widziałaś domu — zauważył Paul. — Zwiedzanie zacznie się po deserze.

Nowy dom. Czyli dach, który nie przecieka? Drzwi, które daje się zamknąć? Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

Moja głowa chyba wciąż się poruszała, kiedy kelner wrócił do naszego stolika dziesięć minut później.

— Może cappuccino, signora! Dzisiaj na deser polecamy cannoli z kremem cytrynowym.

— Si — odpowiedziałam, rozpierając się na krześle, upajając się uczuciem ulgi, złotym wieczornym blaskiem i szalonym uśmiechem szczęścia. — Si, si, si.

Rozdział 81

Pół godziny później Paul siedział za kierownicą swojej toyoty camry, jadąc zdecydowanie szybciej, niż powinien. Mój żołądek oraz pas na ramieniu jednocześnie się napięły, kiedy samochód gwałtownie zwolnił, po czym skręcił z absurdalnie sielankowej drogi, która prowadziła nas przez wzgórza i doliny.

Przez okno zobaczyłam znak, wbity przy podstawie kamiennego ogrodzenia, zapewne przez jakieś uczynne leśne istoty bądź samego Roberta Frosta. Widniał na nim napis „Evergreens”.

W słabnącym świetle dnia cienie lekko kołyszących się sosen, które okalały drogę, ozdabiały świeży asfalt złotym kodem kreskowym.

— Jak ci się podoba? — spytał Paul, zatrzymawszy samochód.

— Jak dotąd wygląda cudownie — odparłam, rozglądając się wkoło.

— Słyszysz? — dodał, opuszczając szybę.

Nadstawiłam ucha. Słyszałam tylko wiatr szeleszczący liśćmi.

— Co?

Paul się uśmiechnął.

— No właśnie. Tak to brzmi, kiedy w okolicy nie ma młotów pneumatycznych, autobusów i wrzeszczących bezdomnych. Gdzieś o tym czytałem. To się chyba nazywa cisza i spokój.

— A co to za szare rzeczy wzdłuż drogi, z czymś zielonym na górze? — spytałam, wyglądając przez okno i mrużąc oczy.

— To drzewa. Wspomniano o nich w folderze. Dostaniemy je razem z domem, jeśli zdecydujemy się na droższe szafki.

Paul włączył silnik i ruszył na szczyt wzgórze, gdzie ponownie się zatrzymał, abym mogła przyjrzeć się wszystkim domom w okolicy. Oczywiście były piękne. Około tuzina rezydencji w nowoangielskim stylu kolonialnym, które umiejętnie i gustownie rozmieszczono w pofałdowanej dolinie.

— No dobrze, jakie są wady mieszkania tutaj? — spytałam. — W czym tkwi haczyk? Tuż obok jest lotnisko i lądujące samoloty będą nam przelatywały nad głowami?

— Przykro mi — odrzekł Paul, kiedy zaczęliśmy zjeżdżać ze wzgórze. — W Greenridge wady są zabronione. Poza tym w naszym życiu było ich już chyba zbyt wiele.

Gdyby tylko znał całą prawdę.

Rozdział 82

Minęliśmy olbrzymi plac zabaw, korty tenisowe i wypieszczone boisko do baseballu. Przyjrzałam się precyzyjnie zaznaczonym, niewielkim białym liniom. Tak, to wyglądało jak prawdziwe osiedle, które widywałam w serialach. Przez cały czas kręciło mi się w głowie.

Słońce już niemal zaszło, kiedy zatrzymaliśmy się przed dużym domem w pobliżu parku, przez który płynął strumyk.

— Co to takiego? Biuro sprzedaży? — spytałam.

Paul pokręcił głową i pokazał mi klucz.

— To świetlica. Chodź, zobaczysz ją od środka.

Wewnątrz znajdowały się sale konferencyjne, kilka płaskoekranowych telewizorów, dobrze wyposażona siłownia. Ulotki na tablicy ogłoszeń zachęcały do skorzystania z usług opiekunek do dzieci oraz do udziału w osiedlowych przyjęciach. Wisiała tam także lista chętnych na tak zwaną wędrującą kolację, w której można było wziąć udział za półtora dolara od osoby.

— A na wiosnę zainstalują basen — dodał Paul, opadając na skórzaną kanapę w holu.

— Jak to możliwe... — zaczęłam. — Nawet przy twojej podwyżce, to wydaje się...

— Domy są drogie, ale jesteśmy dość daleko od miasta, więc kosztują mniej, niż myślisz. Moja nowa pensja spokojnie wystarczy. Chcesz zobaczyć nasz dom? A przynajmniej stanie się on nasz, jeśli spodoba ci się równie bardzo, jak mnie.

Uniosłam rękę.

— Daj mi chwilę na podniesienie szczęki z podłogi.

Nad wzgórzami na zachodzie lśniła ostatnia aureola dziennego światła, kiedy zjeżdżaliśmy z utwardzanego podjazdu na drogę gruntową, która wciąż była w budowie. Powoli mijaliśmy sterty pokruszonych kamieni oraz ciężki sprzęt.

— Muszę jechać powoli — wyjaśnił Paul. — Wszędzie walają się gwoździe i śruby z budowy. Nie chcę złapać gumi. No, jesteśmy na miejscu.

Dom w gołęmbim kolorze, przed którym zatrzymał samochód, był... no cóż, idealny. Przyjrzałam się frontalnej werandzie, wysokiemu ceglanemu kominowi, eleganckim oknom mansardowym na drugim piętrze. Chwileczkę — tu jest drugie piętro? Wszystko wyglądało na gotowe oprócz otoczenia domu, które z pewnością również będzie cudowne.

— Chodź — powiedział Paul. — Pokażę ci główną sypialnię.

— Możemy tutaj być? Nie musimy poczekać na zakończenie prac? Jesteś pewien?

— Oczywiście, że jestem pewien — roześmiał się. — Zostawię włączone światła, żebyśmy widzieli, dokąd idziemy.

Przeszliśmy po spiętrzonym piachu i Paul otworzył frontowe drzwi. Nagle przerzucił mnie sobie przez ramię w strażackim chwycie i udał, że się potyka, przenosząc mnie przez próg. Nasz śmiech i odgłosy kroków odbijały się echem od lśniących parkietów z twardego drewna.

— Już mi się podoba — szepnęłam. — Jestem zachwycona, Paul.

Pokazał mi wszystkie pokoje. Z trudem objęłam wzrokiem kuchnię wielkości lotniczego hangaru, błyskawicznie przenosząc spojrzenie między klonem a nierdzewną stalą. Nawet w ciemności widok porośniętych drzewami wzgórz za oknem zapierał dech w piersi.

— A tutaj będzie pokoik dziecięcy — rzekł Paul, przytulając mnie w jednym z pomieszczeń na górze.

Za oknem, na granatowym niebie ponad ciemnymi wierzchołkami drzew, gwiazdy migotały jak diamentowy pył. Z oczu spłynęły mi łzy. Nagle zrozumiałam, że to wszystko prawda. Nasze dziecko będzie dorastało w tym pokoju. Wyobraziłam sobie, jak trzymam słodko pachnące, gaworzące zawiniątko i pokazuję mu gwiazdozbiory, wschodzący księżyc.

Paul otarł mi łzy z twarzy i scałował te, które spłynęły na szyję.

— Aż tak źle? — szepnął.

Nagle przestałam płakać, równie szybko, jak zaczęłam.

Ponieważ w tej chwili reflektory w samochodzie Paula, które oświetlały dom, niespodziewanie zgasły.

Łzy ostygły mi na policzkach, gdy dom pograżył się w ciemności, czarnej jak szpary między schodami.

Rozdział 83

— Co, do...? — odezwał się Paul w ciemności. — Czy to akumulator? Jak myślisz, Lauren?

Wpatrywałam się w niego. Co się dzieje, do diabła? Cokolwiek to było, wcale mi się nie podobało.

— Hej, zaczekaj. Już wiem — powiedział. — To moja wina. Widziałem wczoraj, że w baku zostało niewiele paliwa, ale zapomniałem go napełnić. Tak długo jeździliśmy, że pewnie skończyła się nam benzyna.

— Na pewno? — spytałam. Zaczynałam lekko panikować. Chyba jeszcze nie przywykłam do życia na wsi.

— Lauren, spokojnie. To nie południowy Bronx, pani porucznik — zaśmiał się. — Jestem przekonany, że właśnie o to chodzi. Tyle tu sprzętu, że gdzieś musi się walać jakiś kanister z benzyną. Poczekaj tutaj. Wezmę latarkę i trochę się rozejrzę.

— Pójdę z tobą — zaproponowałam. Nieoświetlony dom w ciągu kilku sekund zamienił się z przytulnego w straszny.

— W tych butach?

— Hej — rzuciłam, odzyskując rozsądek. — A może zamiast ruszać na poszukiwanie benzyny, zadzwoń z komórki do swojego ubezpieczyciela?

Albo lepiej na policję, pomyślałam, spoglądając na pogrążone w ciemności schody.

Paul roześmiał się po dłuższej chwili.

— Oto cała Lauren — odrzekł, sięgając do kieszeni. — Zawsze musi popsuć zabawę swoją nieznośną logiką. — Wyciągnął pustą rękę. — Moja komórka ładuje się w samochodzie. Będziemy musieli skorzystać z twojej.

— Moja jest w torebce na siedzeniu.

— Zaczekaj tutaj, pójde po nią.

— Uważaj na siebie — zawołałam.

— Nie martw się, skarbie. Jesteśmy w Connecticut.

Rozdział 84

Kolejne minuty bardzo się dłużyły. Zimny wiatr gwałtownie wtargnął do domu przez otwór okienny. Spoglądałam na kołyszące się drzewa, które wyglądały jak element scenografii *The Blair Witch Project*. Duchy nie nawiedzały nowych placów budowy, prawda?

Ponownie zerknęłam na zegarek. Czy Paul nie powinien już wrócić? Jak długo może trwać przyniesienie komórki z samochodu?

Z ulgą podeszłam do schodów, kiedy wreszcie usłyszałam jego kroki. Stał na progu frontowych drzwi, trzymając w dłoni silną latarkę. Czyżby wziął ją z bagażnika?

— Masz? — zawołałam.

Snop światła skierował się na moją twarz, oślepiając mnie. Potem ciężkie kroki zadudniły na schodach.

— Przestań, Paul. To nie jest śmieszne.

— Pomyłka, suko — odezwał się obcy głos. Potem czyjaś dłoń brutalnie uderzyła mnie w klatkę piersiową, przewracając na plecy.

To rzeczywiście nie było śmieszne. I to nie był Paul. Przez pół

minuty byłam bezsilna. Nic nie widziałam, nie mogłam oddychać, myśleć, zmusić swojego serca, aby biło. Kiedy wreszcie udało mi się skupić, uniosłam rękę i mrużąc oczy, spróbowałam dojrzeć twarz mrocznej postaci, która stała nade mną niepokojąco nieruchoma, kryjąc się za oślepiającym światłem latarki.

— Kim jesteś? — spytałam.

— Nie wiesz? — odezwał się głos z obrzydzeniem. — Naprawdę tak trudno się tego domyślić? Niesamowita jesteś, suko.

Latarka oświetliła twarz napastnika. O Jezu.

Zduśliłam w krtani okrzyk, który zmienił się w jęk.

Moje usta zaczęły drżeć, kiedy przypominałam sobie to oblicze. Ciemne, bezduszne oczy ponad wysokimi ospowatymi policzkami.

Patrzyłam na Marka Ordoneza.

Brata niedawno zmarłego Victora!

W głowie pojawiła mi się kolejna myśl: gdzie jest mój pistolet?

Tuż obok latarki rozległ się cichy metaliczny szcęk.

— Zostawiłaś to w samochodzie, idiotko — powiedział handlarz narkotyków, czytając w moich myślach.

— Posłuchaj, to nie jest dobre wyjście — rzekłam pospiesznie. — Uwierz mi.

W odpowiedzi Ordonez skuł mi ręce za plecami.

— Wstawaj! — warknął.

Podniosłam się, czując się dziwnie bezsilna. Kiedy pchał mnie w dół schodów, trzymając za kołnierz, wydawało mi się, że nic nie ważę.

— Przyjrzyj się uważnie — rzucił, kiedy wyszliśmy z domu na pokryte sypkim piaskiem podwórko.

Oświetlił latarką jakiś kształt, który leżał obok naszego samochodu.

Ujrzałam go niewyraźnie, jak w śnieżącym telewizorze. To był Paul. Leżał na plecach, niemal całkowicie schowany pod samochodem. Pod głową miał kałużę krwi. Nie ruszał się.

— O Boże! — jęknęłam, upadając na kolana. — O nie! Nie! Paul!

W jednej chwili zaschło mi w gardle, kiedy Ordenez ostrym szarpnięciem podniósł mnie na nogi i zaciągnął na drugą stronę jednej ze stert piasku. Stała tam furgonetka, której szeroko odsunięte boczne drzwi prowadziły w ciemność.

Słyszałam jedynie chrzęst żwiru pod naszymi stopami.

Zgubiłam jeden but. Kiedy zaczęłam kuleć, Ordenez zatrzymał się, pochylił i zdarł ze mnie drugi but. Wyrzucił go w mrok.

— Nie będą ci potrzebne — wyjaśnił. — Możesz mi wierzyć.

W dole wzgórza za furgonetką ujrzałam światło w oknie jednego z odległych domów. Wyobraziłam sobie rodzinę zasiadającą przy stole w jadalni, dzieciaki rozkładające talerze i sztućce, tatę poluzowującego krawat. Ponad domami migotały niezliczone gwiazdy.

Nie migoczą dla ciebie, pomyślałam, gdy zostałam wrzucona w otwarte drzwi furgonetki.

Uderzyłam policzkiem o zimną metalową podłogę. Potem były już tylko ciemność i hałas zasuwanych drzwi. Metaliczny dźwięk odbijał się echem w moich uszach.

To był odgłos, z jakim świat na dobre zatrzaskiwał mi drzwi przed nosem.

Rozdział 85

Nie mogłam wyrzucić z głowy obrazu Paula leżącego w piachu obok samochodu.

Dopiero po dziesięciu minutach przestałam dygotać i wreszcie odzyskałam mowę.

— Dokąd mnie zabierasz? — spytałam, odwracając się w kierunku furgonetki.

Mark Ordonez manipulował srebrnym pokrętkiem na tablicy rozdzielczej. Nagle samochód wypełniła muzyka. Stary utwór z dużą liczbą instrumentów dętych. W tych okolicznościach zabrzmiał absurdalnie.

— Lubisz XM? — zawołał. — Ten stary przebój to Fly Me to the Moon. Frank's Place puszcza najlepsze gówno.

Obrócił głowę do tyłu. Wojskowa fryzura czyniła z niego subtelniejszą i bardziej zdyscyplinowaną wersję Victora. Jedynym elementem jego garderoby, który rzucał się w oczy, był zegarek, stalowy rolex. Dlaczego ten facet przerażał mnie jeszcze bardziej niż jego brat? W otworze na napoje obok łokcia trzymał podróżny kubek. Wyjął go i pociągnął łyk.

— Dokąd jedziemy? — spytałam ponownie.

— Donikąd. Mam awionetkę tuż za granicą Connecticut, w Rhode Island. Pomyślałem sobie, że zabiorę cię na nocną wycieczkę. Co ty na to?

Straciłam resztki nadziei. Chciałam się rozpłakać, ale to by oznaczało, że nadmiernie się nad sobą rozczulam. Nie miałam prawa martwić się o siebie po całym bólu i zniszczeniu, które musieli przeze mnie wycierpieć moi bliscy.

Opanowało mnie palące odrętwienie, gdy pomyślałam o Paulu. Dobry Boże, modliłam się, niech się okaże, że z nim wszystko w porządku. Naprawdę musiałam być w szoku, bo czy Bóg mógł w tym momencie spełniać jakiegokolwiek moje prośby?

Leżałam w milczeniu, słuchając grzechotania jadącej furgonetki.

— A, chrzanić to — odezwał się Ordenez, ścisząc radio. — Powiem ci, dokąd jedziemy, jeśli coś mi zdradzisz. — Jego zimne szare oczy odnalazły moje spojrzenie w lusterku wstecznym. — Powiedz mi, dlaczego ty i twój partner zabiliście mojego brata, a potem wrobiliście go w morderstwo? Przecież oboje wiemy, że on nie załatwił tego gliniarza. Więc dlaczego, do cholery?

Poczułam ukłucie nadziei. Ordenez uważał, że mam coś, czego potrzebuje. Informacje dotyczące jego brata. Musiałam to wykorzystać, aby zyskać na czasie, wytrącić go z równowagi, stworzyć sobie szansę na ocalenie.

— Dostaliśmy cynk od informatora — powiedziałam w końcu.

— Informatora? To bardzo wygodne. Ten kapuś ma jakieś imię?

— Z pewnością, ale ja go nie znam. Informację przekazał oddziałowi specjalnemu Scotta. To ktoś w waszej organizacji, tyle wiem na pewno. Daj mi szansę, to pomogę ci go znaleźć.

— No, no. Kłamiesz prawie tak dobrze jak Scotty. Zawsze lubił takie bystre dupy jak ty, już w szkole średniej.

Wyciągnęłam szyję i popatrzyłam w lusterko szeroko otwartymi oczami. Co on powiedział?

— Znałeś Scotta? — wyrzuciłam z siebie.

— To mój kumpel z podwórka — odparł dealer, przewracając oczami. — Dawno temu, kiedy z Vickiem handlowaliśmy maryską, organizowaliśmy razem ze Scottem fałszywe naloty. Potem dzieliliśmy się pieniędzmi szefa. Przekazywałem mu informacje o naszej konkurencji, o kurierach z forszą, a on ostrzegał mnie, kiedy szykowałą się policyjna akcja. — Ordonez się roześmiał, widząc moją zszokowaną minę. — Tej nocy, kiedy Scott zginął, miałem się z nim zobaczyć. Tylko że on przełożył nasze spotkanie. Powiedział mi, że jakaś laska z wydziału zabójstw zaprosiła go na bzykanko. Gdzieś w Yonkers. Wiesz może, o kim mówił?

Zamknęłam oczy i zacisnęłam zęby. Nie mogłam uwierzyć, jaką byłam idiotką.

— Tak, Scott był niezłym spryciarzem — ciągnął Ordonez. — Ale tamtej nocy szczęście się od niego odwróciło. Zastanawiałaś się, jakie miał wobec ciebie plany? Oczywiście poza wskoczeniem ci do łóżka. Bo on nigdy nie robił niczego bez jakiegoś chorego powodu, uwierz mi. Stary dobry Scotty to Freddy Krueger z odznaką, bardziej pokręcony niż precel.

Po tych cudownych zwierzeniach przez chwilę jechaliśmy w ciszy.

— Nadal chcesz wiedzieć, dokąd jedziemy? — przerwał milczenie Ordonez.

— Tak, chcę — skinęłam głową.

— Polecimy prosto na wschód z Providence. Wiesz, gdzie się znajdziemy po godzinie?

Pokręciłam głową.

— Nie wiem.

Mrugnął do mnie w lusterku.

— Nad Atlantykiem. Mniej więcej dwieście czterdzieści kilometrów od brzegu. A wtedy... słuchaj uważnie, bo to ciekawe... rozezną ci skórę na dłoniach i stopach. — Mój oddech zmienił się w urywany szloch. — Nie przejmuj się, paniusiu. To nie zagraża życiu. Ale potem zmniejszę prędkość, obniżę lot i wyrzucę cię przez drzwi awionetki prosto do błękitnego oceanu. Już rozumiesz? Wiesz, o czym mówię?

Nagle zaczęło mi brakować tlenu. Gdybym nie miała skutych rąk, zakryłabym uszy.

— Wtedy będziesz miała tylko dwie możliwości — kontynuował Ordonez, podczas gdy ja po raz pierwszy w życiu doświadczałam ataku astmy. — Utopić się albo spróbować przetrwać. Wydajesz się waleczna, więc zakładam, że będziesz liczyła na łut szczęścia: przepływającą łódź lub przelatujący samolot, który cię zabierze. Tylko że tak się nie stanie.

Pociągnął łyk z kubka i poprawił lusterko. Przeszył mnie zimnym spojrzeniem. Potem ponownie do mnie mrugnął w potworny sposób.

— Pływając w miejscu, będziesz broczyła krwią. Wtedy nadpłyną rekiny. Niejeden, nie dwa, ale całe setki. Wszystkie ryby młoty, żarłaczki błękitne, rekiny tygrysie, a może nawet kilka żarłaczy białych, rzucą się na ciebie jak włóczęga na kanapkę z kiełbasą. A potem, Lauren... wcale nie żartuję, chcę, żebyś była dobrze poinformowana... czeka cię najgorszy możliwy rodzaj śmierci. Samotnie, na środku oceanu, zostaniesz pożarta żywcem. Jeśli jeszcze to do ciebie

nie dotarło, to spieszę donieść, że kochałem swojego brata jak... no cóż, jak brata.

Nagle pogłośnił radio, zapewne po to, aby okazać mi całkowitą pogardę.

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. A jednak nie było mowy o pomyłce.

Frank Sinatra.

Nie zdając sobie sprawy z ironii sytuacji, Ordonez zerknął na roleksa i pociągnął kolejny łyk z kubka.

— Just the way you look... — zaśpiewał razem z błękitnookim Frankiem, zawadiacko strzelając palcami — ...tonight.

Rozdział 86

Przez kolejne dziesięć minut byłam sparaliżowana strachem. Leżałam twarzą do dołu na podłodze furgonetki, nieruchoma niczym trup przewożony karawanem. Mark Ordonez jechał płynnie, utrzymując stałą prędkość dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, aby nie zwracać na siebie uwagi.

Po łoscocie mijanych ciężarówek domyśliłam się, że jesteśmy na szosie międzystanowej numer 84 i zmierzamy na wschód w stronę Rhode Island. Kiedy dotrzemy na lotnisko? Za godzinę?

Powoli zaczęłam otrząsać się z odrętwienia. Właśnie uświadomiłam sobie, kogo skrzywdziłam najbardziej. Przewróciłam się na bok i podkurczyłam kolana, aż moje uda niemal dotknęły brzucha.

Kimkolwiek jesteś, powiedziałam dziecku w moim łonie, dygocząc ze smutku, bardzo cię przepraszam. Tak strasznie mi ciebie żal, maleństwo.

Poczułam ostry wstrząs, kiedy furgonetką nagle zarzuciło w prawo.

— Hej! — krzyknął Ordonez, wpatrując się w boczne

— Hej! — krzyknął Ordonez, wpatrując się w boczne lusterko i odbijając samochodem w drugą stronę. — Ten facet chyba jest pijany. Wybierz pas, koleś.

Drugie nieprzyjemne szarpnięcie przewróciło mnie na brzuch. Zaraz potem rozległ się głośny chrzęst i ściana od strony kierowcy wgięła się do środka. Jezu! Co się znowu dzieje?

Nagle furgonetkę wypełniły dudnienie i gwałtowne wibracje. Domyśliłam się, że zjechaliśmy na rowkowane poboczce, które ma powstrzymywać kierowców przed zaśnięciem. Odgłos przypominał dziwny budzik, który rozdzwonił się w mojej czaszce, a moje czoło zabębniło o podłogę samochodu.

— Sukinsyn! — wrzasnął Ordonez, wduszając gaz. Silnik ryknął i dudniące wibracje ustały, kiedy odbiliśmy w lewo, z powrotem na pas ruchu.

Przesunęłam się po podłodze w przeciwnym kierunku, uderzając o ścianę po stronie pasażera niczym zapomniane pudełko po pizzy.

— Hej! To żaden pijak! — krzyknął Ordonez do mnie. — Kierowca jest cały we krwi. Nie do wiary! I co ty na to? To twój mąż!

Jeszcze mocniej wcisnął gaz. Silnik zawył, a furgonetka zaczęła niebezpiecznie się trząść pod wpływem zbyt dużej prędkości.

— Białas myśli, że jest twardzielem, co? Chcesz się pobawić jak w wesołym miasteczku? — Dealer szyderczo się uśmiechnął do bocznego lusterka, po czym wcisnął gaz do dechy.

Poczułam ucisk w żołądku, kiedy zobaczyłam, że zapina pas na ramieniu. Mnie nic nie trzymało.

— Tak jest, głupi sukinsynu. Zbliź się, okularniku! Właśnie

tak. A jak ci się podoba... — Rozległ się nagły pisk metalu i gumy, kiedy Ordonez wduśił pedał hamulca. — ...coś takiego! — wrzasnął.

Przez chwilę słyszałam tylko szum, z jakim sunęłam po podłodze w stronę siedzeń dla pasażerów.

Potem tył furgonetki wpadł do środka z ogłuszającym hukiem.

Stanełam na głowie, kiedy furgonetka skoczyła do przodu, a następnie wylądowała na płask na brzuchu, gdy ciężko opadła. Zszokowana dostrzegłam przez szparę w powyginanych tylnych drzwiach dymiący przód toyoty camry Paula. Ponad zgiętą w harmonijkę maską, za strzaskaną przednią szybą widziałam mojego męża. Był zalany krwią, ale mrugał i odpychał rękami nadmuchaną poduszkę powietrzną.

Usłyszałam głośny metaliczny szczęk i odwróciłam się w kierunku Ordoneza. Pokazał mi mojego glocka, po czym otworzył drzwi.

— Nie martw się, Lauren. Polecimy zgodnie z planem. Za sekundkę wracam, kochanie.

Kiedy wysiadł z furgonetki, jedna myśl wstrząsnęła mną niczym uderzenie młotem.

On zabije Paula! Po tym wszystkim, co się wydarzyło, Paul umrze!

Rozdział 87

Zaczęłam krzyczeć. Wydałam z siebie nieartykułowany, gardłowy ryk, który poraził moje uszy, i z trudem wstałam, mając ręce wciąż skute za plecami.

Niewiele myśląc, brawurowo rzuciłam się głową naprzód ku otwartym bocznym drzwiom po stronie kierowcy. Rozminęłam się z nimi o kilometr, uderzając głową w kierownicę, po czym wylądowałam do góry nogami na podłodze w miejscu na stopy. Niewiarygodne.

Silnik, który pracował na jałowym biegu, zwiększył obroty, kiedy wpadłam na pedał gazu. Odepchnęłam się nogami, próbując znaleźć jakiś punkt oparcia, aby wydostać się na zewnątrz. Stopa utknęła mi pomiędzy kierownicą a dźwignią zmiany biegów.

Nie przestawałam kopać, starając się uwolnić.

Ops.

Kiedy wyciągałam stopę, przestawiłam dźwignię i nagle furgonetka ruszyła, nabierając prędkości!

Wnioskując po nagłym dźwięku klaksonów i długim ryku syreny ciągnika siodłowego, odgadłam, że wtaczam się na pas ruchu.

Udało mi się usiąść bokiem na podłodze, kiedy Ordonez pojawił się w otwartych drzwiach i wskoczył w biegu do samochodu.

— Dokąd się wybierasz, ty zwariowana suko? — wrzasnął.

Uderzył mnie w twarz i rzucił na siedzenie pasażera, po czym skierował furgonetkę z powrotem na pobocze.

Wyłączył silnik, zaciągnął hamulec ręczny i schował kluczyki do kieszeni. Dopiero wtedy wysiadł. Następnie pogroził mi palcem i złowrogo się uśmiechnął.

— No dobra, spróbujemy jeszcze raz. Masz tutaj zo... Nie do końca zdania ani nawet słowa.

Ciężarówka, która zagarnęła go razem z drzwiami, transportowała samochody. Była po brzegi wypełniona chevroletami tahoe i trzeszczała jak osiedle przyczep podczas tornada. Jechała pewnie ze sto dwadzieścia lub sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

W jednej chwili Mark Ordonez stał przede mną, a w następnej zniknął. Jak za sprawą czarodziejskiej sztuczki.

Najlepszej, jaką kiedykolwiek widziałam.

Rozdział 88

Siedziałam bez ruchu, mrugając i wyglądając przez przednią szybę furgonetki. Ciężarówka się nie zatrzymała. Nawet nie przyhamowała. Zupełnie jakby kierowca nie zauważył, co się stało. Jakies trzydzieści metrów przed nami coś przekoziółkowało i wpadło w gęste zarośla okalające szosę. Drzwi furgonetki lub dealer, nie byłam pewna.

Może Bóg jednak wysłuchał moich modlitw. Albo czyjejs modlitwy za mnie.

Paul leżał na ziemi za skasowanym samochodem. Zobaczyłam go, kiedy wreszcie udało mi się wysiąść. Serce znów podeszło mi do gardła.

— Paul, jestem tutaj — odezwałam się, podbiegając do niego i klękając tuż obok. Miałam nadzieję, że nic mu się nie stało. Trudno byłoby udzielić mu pierwszej pomocy z rękami skutymi za plecami.

— Lauren — odpowiedział. Zaczął szczękać zębami. — Zobaczyłem oddalające się światła, więc...

— Nic nie mów.

Wydawało się, że krwawi głównie z tyłu głowy, gdzie uderzył

go ten bandzior, zapewne kilkakrotnie. Wstrzymałam oddech, kiedy określenie „krwiak podtwardówkowy” napłynęło do mojego umysłu prosto z kartoteki oficera wydziału zabójstw. Zazwyczaj widywałam je w raportach koronera w rubryce „przyczyna śmierci”. To prawdziwy cud, że Paul jest przytomny i że oboje żyjemy.

— Nie ruszaj się — szepnęłam mu do ucha. — Nie zmieniaj pozycji.

Samochody mijaly nas w wielkim pędzie, kiedy siedziałam na potłuczonym szkle obok swojego męża. W końcu w oddali zabłyśły niebieskie i czerwone światła. Ciepła krew Paula spływała mi po nogach.

— Uratowałeś mnie — wyszeptałam, gdy dwa wozy policji stanowej wyskoczyły spośród przejeżdżających samochodów i zatrzymały się obok nas z piskiem opon.

Ponownie, pomyślałam, ale nie wypowiedziałam tego na głos. Ponownie mnie uratowałeś.

Rozdział 89

— Może być z mlekiem i cukrem? — spytała oficer Harrington z policji stanowej, podchodząc do mnie w poczekalni ambulatorium Centrum Medycznego UConn.

Kiedy ona i drugi funkcjonariusz, Walker, zobaczyli moją odznakę, zaczęli traktować mnie po królewsku. Zamiast czekać na karetkę, ułożyli Paula z tyłu radiowozu i zadawali mi pytania dopiero w drodze do najbliższego szpitala, dokąd mknęliśmy z prędkością około stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Harrington nawet pożyczyła mi swoje kapcie, które trzymała w sportowej torbie w bagażniku, abym osłoniła bosc i pokaleczone stopy.

— Jak się czują pani dziecko i mąż? — spytała.

— USG wykazało, że wszystko w porządku. Ale Paul ma wstrząs mózgu i trzeba było mu założyć kilka szwów. Chcą go zatrzymać do rana na obserwacji. Na szczęście lekarz uważa, że się z tego wyliże. Dzięki pani i pani partnerowi.

— Nie da się tego samego powiedzieć o Ordonezie — zauważyła, kręcąc głową. — Rozmawiałam przez radio z funkcjonariuszami,

którzy są na miejscu zdarzenia. Znaleźli go w przydrożnych zaroślach jakieś sześćdziesiąt metrów dalej. Podobno wygląda jak moneta, którą pozostawiono na torach. No cóż, takie są minusy szukania kłopotów. Czasami znajduje się ich więcej, niż się planowało. Ale najważniejsze, że wam nic nie jest. Pani, pani mężowi i dziecku. Wasza rodzina jest bezpieczna. Czegóż więcej chcieć?

Popatrzyłam na troskliwą twarz policjantki. Na jej ściągnięte do tyłu blond włosy, jasne policzki, czujne niebiesko-szare oczy, które promieniowały pewnością siebie.

Prawdopodobnie zaledwie rok lub dwa lata temu skończyła akademię. Czyja też kiedyś miałam równie szczerą intencję? Pewnie tak. Milion lat temu, na innej planecie. Zazdrościłam jej i ją podziwiałam.

— Jak wygląda praca w wydziale zabójstw w Nowym Jorku? — spytała. W jej błyszczących oczach dostrzegłam fascynację. — Jak tam naprawdę jest? Mam nadzieję, że inaczej niż pokazują w Prawie i porządku!

— Nie wierz w ani jedno jej słowo — zagrzmiał jakiś głos za naszymi plecami. — Ona łże jak pies.

Odwrociłam się w stronę uśmiechniętej twarzy, której już dawno nie widziałam. Zdecydowanie zbyt dawno. To był mój partner, Mike.

— Co ty tu robisz? — spytałam.

— Któryś z miejscowych gliniarzy zawiadomił Keane'a, a on zadzwonił do mnie — wyjaśnił, ściskając moją rękę. — Od razu przyjechałem. A więc jego brat próbował cię dorwać? Niewiarygodne. Mieliście niezłą przejażdżkę. Chyba jednak powinien był wybrać podniebną trasę zamiast autostrady. Podobno wyciągnęli go spod ciągnika siodłowego czy czegoś w tym rodzaju? Dobra robota, Lauren. To najlepsza wiadomość, jaką dziś usłyszałem.

Skinęłam głowę. A potem się rozplakałam. Traktowałam Mike'a jak wroga, a teraz był przy mnie, trzymając moją dłoń i wspierając jak zawsze.

— Przepraszam, Mike. Muszę...

— Postawić mi kolację? — dokończył, biorąc mnie pod rękę i stawiając na nogi. — Dobrze, skoro nalegasz...

Znaleźliśmy całodobową jadłodajnię niedaleko szpitala.

— Co nowego, Lauren? — spytał, kiedy usiedliśmy.

Jak widać, wrócił do gliniarskich żartów.

Sączyłam kawę w niezręcznej ciszy, która między nami zapadła. Napój był gorzki i boleśnie parzył. Zupełnie jak to, co musiałam wyznać.

Mike puścił do mnie oko.

— Daj spokój, Lauren. Zabiłem Ordoneza — wyszeptał. — Teraz ty też zabiłaś Ordoneza. Jeśli nie możesz porozmawiać ze mną, to z kim?

Powiedziałam mu wszystko. Wpatrując się w swoją filiżankę z kawą, zrelacjonowałam po kolei wydarzenia. Podałam fakty i daty. Opisałam każdy swój wstrętny wykręt i każdą tanią sztuczkę.

Mike pociągnął ostatni, głośny łyk dietetycznej coli i zapatrzył się na światła przejeżdżających samochodów.

— Wiesz co, Lauren? — odezwał się po chwili. Pokręciłam głowę. — Pewnie uznasz, że jestem popieprzony, ale nawet teraz, kiedy już mi o wszystkim powiedziałaś, cieszę się, że właśnie tak to się skończyło. Może oni nie zabili Scotta, ale nie oszukujmy się, Ordenezowie to była zaraza. A jeśli Mark mówił prawdę o ich współpracy z Thayerem, to może, cholera, należało mu się to, co go spotkało. Niezbadane są wyroki Pana.

Rozdział 90

Słuchałam brzęku naczyń w jadłodajni. Coś skwierczało na grillu. W telewizorze, który stał za ladą, jakiś dziennikarz trajkotał jak idiota, szarpany przez burzowy wiatr gdzieś na Florydzie.

— Właśnie dlatego odchodzę — nagle powiedział mój partner. — Mój młodszy brat ma bar w San Juan. Zaprosił mnie do siebie. Już złożyłem wymówienie. Wykorzystuję cały zaległy urlop, dziś był mój ostatni dzień. Rezygnuję.

— Ale...

— Ale co, Lauren? Poświęciłem tej robocie wystarczająco dużo czasu i wiesz co? Nie wyszło, więc mam to gdzieś. Jeśli popełnisz błąd w fabryce i komuś stanie się krzywda, to co cię czeka w najgorszym wypadku? Wywalą cię? W naszej robocie błąd zazwyczaj oznacza utratę pracy i więzienie. W imię czego? Pięćdziesięciu tysięcy rocznie? Nawet nie wolno nam strajkować. Wiesz, z iloma trupami miałem do czynienia? Z iloma zrozpaczonymi matkami? Nie

warto. Mam już dość. Jak leciała ta piosenka Toma Petty'ego? „Nawet mury czasem upadają”.

Znów zaczęłam płakać, tym razem dosłownie zalewając się łzami.

— Tak — powiedziałam z trudem. — A to właśnie ja trzymam w rękach młot.

Mike otarł mi kciukiem łzy z policzka.

— Gówno prawda. To, że wtedy pociągnąłem za spust, nie miało z tym nic wspólnego.

Wbiłam w niego wzrok.

— Nic?

— No, może trochę — odpowiedział, składając razem kciuk i palec wskazujący. Zdzieliłam go pięścią w ramię. — Ale wybaczam ci, Lauren. W końcu jesteśmy partnerami. Jednak kiedy na szali łąduje dobro własnej rodziny, sprawy szybko zaczynają się komplikować. Kim jestem, aby cię osądzać? Nie mam do tego prawa. Już nie. Dlatego odchodzę. Żałuję tylko jednego.

— Czego?

— Tego, że nie widziałem na własne oczy, jak z twarzy Jeffa Buslika znika ten gwiazdorski uśmiech, kiedy go zaszantażowałaś. Zawsze wiedziałem, że z ciebie twarda sztuka. Ale na Boga, kiedy musisz, rzucasz się prosto do gardła.

— Albo niżej — odrzekłam, ocierając zaczerwienione oczy. — To zależy, czego wymaga sytuacja.

Mike wziął do ręki butelkę ketchupu i nakreślił przede mną znak krzyża.

— Bóg przebaczył ci winy, moje dziecko. Idź i nie grzesz więcej — powiedział, wstając. — Mówię poważnie, Lauren. Jesteś dobrym człowiekiem. Nigdy o tym nie zapominaj.

— Postaram się.

Zanim wstał, pocałował mnie w czoło.

— A jeśli kiedyś trafisz do San Juan, to mnie odszukaj. Byli partnerzy, nawet tacy, którzy wdepnęli w najgorsze gówno, powinni czasem wspólnie przegadać noc przy kilku szklaneczkach margarity.

Rozdział 91

Był poniedziałkowy poranek i kiedy wyszłam spod prysznica, zobaczyłam, że Paul na mnie czeka, w jednej dłoni trzymając moją kawę, a w drugiej puszysty szlafrok.

— Co za obsługa — powiedziałam z uśmiechem. — Prawie nie do zniesienia. Prawie.

— Chociaż tyle mogłem zrobić, zważywszy na to, jak ważny jest dzisiejszy dzień — odpowiedział, całując mnie w ociekający wodą nos.

Rzeczywiście, to ważny dzień, pomyślałam, kiedy z królewskimi honorami pomógł mi włożyć szlafrok. Pociągnęłam łyk kawy, wytarłam rękawem zaparowane lustro i przyjrzałam się swojemu odbiciu.

Mój pierwszy dzień z powrotem w pracy.

I ostatni dzień jako policjantki.

Postanowiłam pójść w ślady swojego partnera. Dzisiaj złożę rezygnację i nareszcie będę wolna. Wiedziałam, że będzie to dla mnie duża zmiana. Niezwykle trudno będzie mi się przyzwyczaić do tego, że już nie jestem gliną.

Jednak biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku tygodni, czułam, że nie mogę zwlekać z podjęciem tej decyzji.

Dwadzieścia minut później moja twarz i odznaka lśniły czystością, a Paul dał mi kolejnego całusa w drzwiach garażu.

Również był ubrany do pracy i wyglądał świetnie, przystojny jak zawsze. Tak jak podejrzewali lekarze, wstrząs mózgu na szczęście okazał się niegroźny. Nie licząc około dwudziestu szwów z tyłu głowy, Paul był całkowicie sprawny.

On także załatwiał ostatnie sprawy w pracy. Wszystko już było zaplanowane. W piątek dostaliśmy papiery z firmy, która załatwiała nam przeprowadzkę. Za sześć tygodni miało się rozpocząć nasze nowe życie w Connecticut.

Jeżeli uda nam się przetrwać kolejne osiem godzin.

To nic pewnego, biorąc pod uwagę nasze ostatnie perypetie. Skrzyżowałam palce na szczęście, stukając się z Paulem podróżnymi kubkami.

— Rodzina, która wspólnie wypisuje się z wyścigu szczurów...
— zaczęłam.

— Nigdy nie da się rozdzielić — dokończył Paul przy wtórze brzęku nierdzewnej stali, który odbił się echem od ścian garażu.

Rozdział 92

Kiedy pojawiłam się w pokoju odpraw, porucznik Keane znajdował się w swoim gabinecie. Dopiero gdy zamknęłam za sobą drzwi, podniósł wzrok znad sudoku w nowym numerze „Post”.

Dokładnie przyjrzał się mojej twarzy przenikliwymi niebieskimi oczami. Nagle rzucił gazetę i długopis na biurko.

— Proszę, tylko nie ty. Nie mów mi, że odchodzisz. Nie możesz. To bez sensu, Lauren. Tracimy jednego gliniarza, a teraz kolejnych dwoje rezygnuje?

— To nie tak, poruczniku. Nic nie rozumiesz.

— Daj spokój. Czy wyglądam na idiotę? Jeśli chodzi o BSW, to mam swoje dojścia i...

— Jestem w ciąży, Pete.

Popatrzył na mnie tak, jakbym wystrzeliła serię w sufit. Potarł oczy opuszkami palców. W końcu niechętnie się uśmiechnął. Potem wstał, obszedł biurko i objął mnie po ojcowsku. Chyba po raz pierwszy w życiu. Zapewne także po raz ostatni.

— No, młoda damo, co prawda nie pamiętam, abym wyraził na to zgodę, ale gratulacje dla ciebie i Paula. Bardzo się cieszę.

— Doceniam to, szefie.

— Jeśli dobrze pamiętam, mieliście z tym trochę problemów. Zupełnie jak Ann i ja, zanim urodziły się bliźniaki. To dla was świetna wiadomość. Pewnie szalejecie z radości. Oczywiście jestem wkurzony, że zostawiasz mnie na lodzie, ale jakoś sobie poradzę. Na pewno cholernie będzie mi ciebie brakowało. Zakładam, że nie ma co liczyć na wspólne wyjście i upicie się. Jak inaczej możemy to uczcić? Może śniadaniem?

Szef zamówił je w lokalnym sklepiku i przesiadeliśmy razem pół poranka, opowiadając stare historie, zajadając quesadilla z jajecznicą i pijąc kawę.

— Gdybym wiedziała, że to taka frajda, zrezygnowałabym już wiele lat temu — zażartowałam, ocierając pikantny sos z policzka.

Kiedy kończyliśmy kawę, zadzwonił telefon na biurku Keane’a.

— Tak? — odezwał się porucznik do słuchawki. — Dziwne. No dobrze, przyślij ją tutaj.

— Kogo? — spytałam, a do mojego głosu wkradła się nerwość.

— Świadka w sprawie Scotta. Jak ona się nazywa? Ta stara belferka.

Poczułam jednoczesny ucisk w sercu i żołądku. Amelia Phelps! Co znowu?

— Czego chce? — spytałam.

Keane wskazał ostrym podbródkiem schody prowadzące do pokoju odpraw, na których stała Amelia Phelps.

— Możesz zacząć swój dwutygodniowy okres wypowiedzenia od znalezienia odpowiedzi na to pytanie. Idź z nią porozmawiać.

Wstałam i wyszłam z gabinetu, aby sprawdzić, o co chodzi.

— Słucham, pani Phelps — powiedziałam, prowadząc ją do swojego biurka. — Czym mogę pani dzisiaj służyć?

— Czekałam na telefoniczne wezwanie w celu okazania mi podejrzanych — odrzekła, zdejmując białe rękawiczki i siadając. — Ale nikt się ze mną nie skontaktował, więc pomyślałam, że zajrzę do państwa i spytam, czy mogę jakoś pomóc.

Odetchnęłam z ulgą. Mike musiał zapomnieć ją powiadomić, że jednak nie będziemy jej potrzebować.

— Przepraszam, pani Phelps, powinnam była do pani zadzwonić. Zatrzymaliśmy podejrzanego, więc nie potrzebujemy już pani pomocy. Ale to bardzo dobrze, że pani przyszła. Może dokądś panią podwieźć? Na przykład do domu? To żaden problem.

Zazwyczaj nie miałam w zwyczaju robić za szofera dla świadków, ale pani Phelps była starszą kobietą. A poza tym stanowiła ostatnie potencjalne źródło kłopotów. Im szybciej jej się stąd pozbędę, tym lepiej.

— Och, dobrze. To bardzo miło z pani strony, pani porucznik. Jeszcze nigdy nie jechałam radiowozem. Dziękuję.

— Proszę mi uwierzyć — powiedziałam, kierując ją w stronę wyjścia. — To naprawdę żaden problem.

Rozdział 93

Pozostałą część dnia spędziłam, rozmawiając przez telefon z działem kadr. A raczej czekając przy słuchawce, próbując uzgodnić biurokratyczne szczegóły dotyczące mojej rezygnacji.

Co jakiś czas koledzy z mojego wydziału wpadali, aby wyrazić swoje zdziwienie i życzyć mi szczęścia. Nalegali nawet, abym wybrała się z nimi do Sportowca, lokalnej spelunki, na pożegnalnego drinka.

Chociaż w barze mojemu pęcherzowi groziło pęknięcie — oczywiście po napełnieniu colą — byłam szczerze wzruszona troską i szacunkiem, które okazywali mi współpracownicy.

Wręczyli mi nawet jedną z tych tandetnych dużych ozdobnych kartek, na której podpisał się chyba cały posterunek.

Na okładce widniał napis: „Do zobaczenia ci mówimy”.

Wewnątrz zaś: „Ale nie zazdrościmy”.

Kto by przypuszczał, że Hallmark produkuje kartki także dla policjantów żartownisiów.

— Chłopaki — powiedziałam, pociągając nosem. — Też będzie mi was brakowało. I również wam nie zazdroszczę.

Dochodziła siódma, kiedy wreszcie wyrwałam się do domu.

Dziwne, pomyślałam, kiedy zatrzymałam się na podjeździe. Nie było samochodu Paula. Zazwyczaj dawał mi znać, jeśli musiał zostać dłużej w pracy.

Właśnie otwierałam książkę telefoniczną w komórce, aby do niego zadzwonić, kiedy moją uwagę przykuło coś dziwnego w oknie pokoju nad garażem.

Dostrzegłam ciemną szparę między listwami żaluzji. Szukając numeru Paula, próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio je otwierałam.

Ponownie spojrzałam w górę, powoli i z rozmysłem, po czym zatrzasnęłam klapkę telefonu.

Szpara zniknęła.

Zaraz, zaraz. Chwileczkę.

Gorączkowo rozważałam różne możliwości. Czy to mogli być kolejni przyjaciele Ordoneza? Może był jeszcze jeden brat, o którym nie wiedziałam?

A może po prostu jestem zmęczona i poddaję się paranoi. Albo w Sportowcu wypiłam o jedną colę za dużo.

Wyciągnęłam glocka z kabury i wsadziłam go za pasek spódnicy z tyłu.

Zdecydowanie zachowywałam się odrobinę nerwowo. Ale lepiej pozwolić sobie na paranoję niż potem żałować.

Rozdział 94

Wchodząc po schodach, wyjęłam klucze, starając się zachowywać jak najbardziej naturalnie. Kiedy tylko zniknęłam z pola widzenia okna na poddaszu, wyciągnęłam broń i pobiegłam na tył domu.

Zerknęłam na okna. Wydawały się nietknięte. Żadnych śladów włamania. Jak dotąd spokojnie.

Zasłonki na tylnych drzwiach były lekko rozchylone. Zajrzałam przez tę szparę, przez chwilę obserwując przedpokój, który łączył przednią i tylną część domu. Żadnego ruchu. Pusto.

Po kilku minutach zaczęło mi być głupio. Nie było tu nikogo poza mną.

Nagle coś przemknęło na końcu mrocznego przedpokoju. Duży, szybko poruszający się cień. Byłam tego pewna.

Cholera! — pomyślałam, a mój puls zaczął tłuc jak szalony. Chryste! Czułam walenie serca nawet w plombach na zębach.

Wtedy pomyślałam o Paulu. Może jednak był w domu, ale nie sam. Z kimś, kto biegał w ciemnościach. Tylko co to za człowiek? No i jakie miał zamiary?

Wziąwszy głęboki oddech, postanowiłam wejść do środka.

Zsunęłam buty i najciszej, jak potrafiłam, otworzyłam tylne drzwi kluczem, po czym powoli przekręcałam gałkę.

— Ssz... — rozległ się czyjś głos. Nie mój.

Podniosłam glocka w kierunku źródła dźwięku, gotowa pociągnąć za spust, kiedy nagle rozbłyły światła.

— Niespodzianka! — zawołało kilkadziesiąt osób jednym głosem.

A niech mnie! Chryste, to moi przyjaciele i rodzina. Przynajmniej ich żeńska część. Jakimś cudem udało mi się nie wystrzelić. Dzięki Bogu za pistolety z bezpiecznikami.

Gapiłam się na balony z helem, prezenty opakowane w zielono-złoty papier oraz stojący w rogu trójkołowy dziecięcy wózek do joggingu, idealny dla japiszonów.

To nie były ani napad na nasz dom, ani złe wieści, ani tragedia.

Tylko przyjęcie z okazji powiększania się naszej rodziny!

A oceniając po liczbie rąk, które wystrzeliły w górę, otwartych ustach i pobladłych twarzach, także moich gości spotkała prawdziwa niespodzianka.

Oderwałam wzrok od oczu mojej starej ciotki Lucy. Ponownie zaczęła oddychać.

— Patrz, mamusiu — przerwała ciszę czteroletnia córeczka mojej siostry Michele. — Ciocia Lauren ma pistolet.

— Wszystko w porządku, drogie panie — odezwał się Paul, pośpiesznie występując naprzód i pomagając mi schować broń do kabury. Przytulił mnie, abym łatwiej wróciła do równowagi.

— Dlaczego już teraz zorganizowałaś imprezę? Jestem dopiero w jedenastym tygodniu — szepnęłam, kiedy całował mnie w policzek.

— Chciałem się upewnić, że zdążymy przed przeprowadzką —
odpowiedział, odwracając się z powrotem w stronę gości. — A teraz
szeroko się uśmiechnij i miłej zabawy. Wszystko w porządku —
powtórzył do zgromadzonych. — To tylko kolejny dzień w życiu
bohaterskiej policjantki. Dzięki Bogu mamy świeży zapas pieluszek.
Ktoś potrzebuje drinka?

Rozdział 95

Przyjęcie okazało się wielkim sukcesem — goście świetnie się bawili, a ja jeszcze lepiej. Miałam wspaniałych przyjaciół, nawet moi krewni w większości byli mili. Życie nareszcie zaczęło odzyskiwać sens. Aż tu nagle...

— Witaj, nieznajoma! — zawołała Bonnie Clesnik, upuszczając menu i niemal przewracając stolik, gdy wstała, aby mnie uściskać na środku restauracji Smoczy Kwiat przy Mott Street w niedzielę po przyjęciu.

Rozejrzałam się po zbyt jasnym wnętrzu. Wszędzie stały akwaria z mętną wodą. Kiedy moja stara przyjaciółka Bonnie z zespołu zabezpieczającego miejsca zbrodni zaprosiła mnie na spotkanie w mieście, spodziewałam się, że odwiedzimy jakiś pub, zjemy frytki, może wypijemy kilka Krwawych Mary bez wódki.

Zamrugalam, widząc rysunek żółwia i żaby na karcie dań. Nieźle. Niedzielne późne śniadanie w Chinatown. Bonnie chyba nigdy nie miała porannych mdłości.

— Strasznie mi głupio, że przegapiłam twoje przyjęcie pożegnalne i imprezę w domu — powiedziała, kiedy siadałyśmy. — Ktoś na trzeciej zmianie wziął wolny dzień i wyobraź sobie, że właśnie ja musiałam go zastąpić.

— Nie przepraszaaj, Bonnie — odparłam z uśmiechem. — Przecież mnie znasz. Tak jest dobrze. Idealnie. — Jeżeli tylko uda mi się utrzymać jedzenie w żołądku.

— Strasznie dużo się u ciebie pozmieniało — odezwała się Bonnie w połowie dim sum. — Zawsze myślałam, że trzeba cię będzie odciągać wołami od pracy. Oczywiście bardzo się cieszę waszym szczęściem, ale... sama nie wiem. Widziałam, jak prowadzisz dochodzenia, Lauren. Ten błysk w oczach. Potrafisz być taka odważna. Nie jestem jedyną policjantką, dla której byłaś inspiracją. Chyba po prostu trudno jest mi patrzeć, jak rzucasz to wszystko i odchodzisz. Jakoś nie widzę cię w roli mamusi.

Rany, Bonnie. Dzięki za dodanie mi otuchy. Myślałam, że spotkamy się, aby uczcić zmiany w moim życiu. Powspominać stare dobre czasy.

Nagle odłożyła pałeczki.

— Zanim zapomnę. Mam dla ciebie prezent.

Wyjęła z torebki i podała mi dużą szarą kopertę. Otworzyłam skrzydełko.

— Zawsze o czymś takim marzyłam — powiedziałam, zerkając na kartki, a następnie pytająco spoglądając na przyjaciółkę. — Wydruk komputerowy.

Co się dzieje?

— Dostałam to w piątek z laboratorium FBI. — Bonnie osuszyła usta serwetką i spojrzała mi w oczy z troską. — To wyniki badania próbki DNA znalezionej na kocyku, w który owinięto Scotta Thayera.

Na chwilę pociemniało mi w oczach, kiedy przetoczyła się przeze mnie nagła fala gorąca.

Nasz przeklęty kocyk! Nawet pamiętam piknik, podczas którego Paul zostawił próbkę swojego DNA!

To było w naszą pierwszą rocznicę ślubu. Zabrał mnie i dwie butelki szampana do przepięknego parku Rockwood Hall w North Tarrytown. Czy jeszcze kiedyś było nam razem tak dobrze? Wątpię. Późne lato. Szampan i świerszcze oraz my dwoje. To wtedy po raz pierwszy spróbowaliśmy postarać się o dziecko. Zerknęłam na wydruk, a potem znów na przyjaciółkę.

— O czym ty mówisz? Twierdziłaś, że znalazłaś tylko krew Scotta.

— Kiedy ją zeszkrobałam, zauważyłam inną, starszą plamę. Okazało się, że to wyschnięte nasienie. Wystarczająco dużo, aby pobrać próbkę DNA.

Uważnie się przypatrzyłam trzymanym kartkom. Czego potrzeba, aby sprawa Scotta pozostała zamknięta? Wody święconej? Drewnianego kołka wbitego w serce? Srebrnej kuli?

I co ja miałam teraz powiedzieć, do cholery? Bonnie najwyraźniej czekała na jakąś reakcję.

— Dlaczego nie wspomniałaś mi o tym wcześniej? — spytałam, w końcu zbierając się na odwagę.

— Próbowałam. Ale to był poranek po strzelaninie z Ordonezem i nie mogłam się z tobą skontaktować. Kiedy następnego dnia zadzwoniłam do twojego porucznika, kazał mi to olać. Znaleźli broń Scotta przy Victorze Ordonezie i sprawa była zamknięta.

— Więc w czym problem?

Bonnie westchnęła.

— Cóż mogę ci odpowiedzieć, mała? To nie jest DNA Ordoneza. Tak, jestem pewna.

Z prędkością światła rozważyłam wszystkie konsekwencje. Mieli DNA Paula! To będzie druzgocący cios dla niego, dla nas obojga. Także dla dziecka.

— A czyje? — spytałam ostrożnie.

— Nie wiemy.

Dzięki Bogu chociaż za odrobinę łaski. Niestety, Bonnie jeszcze nie skończyła.

— Ale pasuje do próbki z innego miejsca zbrodni. Co ty na to?

Co takiego? Może od razu zastrzele się na środku Smoczego Kwiatu?

Niejasne, przyprawiające o mdłości przerazenie trafiło mnie w środek klatki piersiowej niczym cios pięścią.

— Wyjaśnij dokładniej — poprosiłam.

— Do bazy danych federalnego systemu CODIS trafiają próbki DNA zebrane na miejscach zbrodni w całym kraju, co umożliwia identyfikowanie sprawców. Okazało się, że DNA z nasienia, które pobrałam z kocyka, odnaleziono także na miejscu napadu z bronią w rękę w Waszyngtonie. Tamto przestępstwo popełniono prawie pięć lat temu. Śledztwo zakończyło się fiaskiem.

Przerazenie, które zadomowiło się w moim żołądku, nagle zmieniło plan ataku i chwyciło mnie za gardło. Nie mogłam myśleć, a nawet prosto siedzieć.

Nie. To niemożliwe. To, co Bonnie mówiła, oznaczało, że...

Paul był zamieszany także w inne przestępstwo? Napad z bronią w rękę?

Rozdział 96

Pojawił się kelner i Bonnie zapłaciła. Potem sięgnęła ponad stoliczkiem i poklepała mnie po trzęsących się dłoniach.

— Nie miałam zamiaru tak cię przytłoczyć, Lauren. Byłam równie zszokowana jak ty.

Czyżby? — pomyślałam, spuszczać oczy na blat.

— Napad z bronią w rękę w Waszyngtonie? — wyszeptałam poprzez wate, która nagle pojawiła się w moich ustach. — Jesteś tego pewna?

— Z krótkiej notatki, którą przesłano razem z wynikiem badania, wynika, że DNA pochodziło z próbki krwi znalezionej na miejscu napadu w hotelu w Waszyngtonie. Jednak tamta sprawa nie została rozwiązana i wciąż jest otwarta. Ta zgodność oznacza, że znaleźliśmy wydzieliny z ciała tego samego nieznanego sprawcy w dwóch różnych miejscach zbrodni. Nasienie na kocyku, którym okryto ciało Thayera, oraz krew w pokoju hotelowym w Waszyngtonie.

Co to oznacza? Oczywiście nadal nie wiedzą, że to DNA Paula. Tak jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, pomyślałam, opierając swoją biedną głowę na dłoniach. Tak jakby cokolwiek miało jeszcze znaczenie.

Bonnie dalej mówiła, ale ledwie ją słyszałam. Mogłam tylko mrugać i przytakiwać. Właśnie wydarzyło się coś niemożliwego. Po raz pierwszy od dawna udało mi się zapomnieć o sprawie Scotta. Miałam nowy problem.

Niecałe pięć lat temu w pokoju hotelowym Paul napadł na kogoś z bronią w rękę? Mój mózg przez chwilę analizował tę myśl, po czym zastrajkował.

Ponieważ to było niemożliwe.

A jednak DNA nie kłamie.

Kiedy podniosłam wzrok, Bonnie wpatrywała się we mnie, czekając na jakiś komentarz.

— W takim razie co to oznacza? — spytałam, jakbym nie znała odpowiedzi. — Victor Ordonez nie zabił Scotta Thayera?

Bonnie wyrzała przez okno na zatłoczoną Mott Street. W oczach miała ból.

— Nie wiem. Skąd mam wiedzieć, Lauren? Może po prostu pożyczyl kocyk od znajomego. Ale teraz z pewnością pojawiają się pewne wątpliwości, prawda? Wątpliwości, z których chętnie skorzystałby adwokat. Nie mówiąc o hienach z gazet.

Popatrzyłam na neon z chińskimi symbolami w oknie restauracji. Czarny węgorz w akwarium obok naszego boksu uderzył głową w szkło, jak gdyby próbował zwrócić moją uwagę i coś mi powiedzieć. „Hej, Lauren. Dlaczego po prostu nie wybiegniesz z krzykiem na ulicę? Nie zatrzymuj się, dopóki nie dotrzesz do wariatkowa”.

Bonnie rozprostowała kartki na blacie stolika, schowała je do koperty, po czym wepchnęła ją do mojej torebki.

— Ale uznałam, że to miasto, ten wydział, żona Scotta, a zwłaszcza ty, Lauren, nie potrzebujecie takich wątpliwości. —

Wskazała moją torebkę. — Dlatego ci to oddaję, kochanie. Ta sprawa od początku była popieprzona, dla każdego, kto się w nią zaangażował. To mój pożegnalny prezent dla ciebie. Na tych kartkach znajdziesz nazwisko oficera śledczego w Waszyngtonie i dane kontaktowe, na wypadek gdybyś kiedyś chciała sama to zbadać. Albo możesz to wszystko rzucić z mostu Brooklińskiego. Twój wybór. — Pocałowała mnie w czoło, wstając od stolika. — W pracy policjantki nauczyłam się jednego. Robimy tyle, ile możemy, i to nie nasza wina, że czasami to nie wystarcza. Lauren, jesteś moją przyjaciółką, kocham cię i pozostawiam tobie tę decyzję. Do zobaczenia.

Rozdział 97

Kilka godzin później było już ciemno, a ja znajdowałam się w parku Battery na południowym krańcu Manhattanu.

„Manhattan — mawiał mój ojciec, kiedy trzy razy w tygodniu rozpoczynaliśmy w tym miejscu spacer — to największa karuzela świata”.

W skład jego planu ćwiczeń na emeryturze wchodziło przyjechanie tutaj metrem, a następnie spacer Broadwayem, podczas którego sprawdzał, ile z dwudziestu betonowych kilometrów Manhattanu zdoła pokonać, zanim się zmęczy i będzie musiał wskoczyć do kolejki, która zawiezie go do domu. Przez cały czas nauki w szkole prawniczej towarzyszyłam mu w tych wędrówkach, jeśli tylko mogłam. Słuchałam, jak opowiada o przestępstwach i aresztowaniach, do których dochodziło na niezliczonych skrzyżowaniach. To podczas jednego z tych spacerów z tatą postanowiłam, że wolę zostać policjantką niż prawniczką. Chciałam być jak mój ojciec.

I właśnie tutaj, na początku jednego z samotnych spacerów, zmarł na atak serca. Jak gdyby koniecznie chciał odejść na ulicach miasta, któremu służył i które kochał.

Oparłam raport FBI o zardzewiałą balustradę przed sobą, słuchając ciemnych fal, które rozbijały się o betonowy filar.

Kiedy wreszcie ukończyłam najtrudniejszą układankę, tato, nie spodziewanie otrzymałam dodatkowy element.

Ostatnio tak wygląda całe moje życie.

— Co mam robić, tatau? — szepnęłam, a po policzkach pociekły mi łzy. — Nie wiem, jak postąpić.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że zostały mi tylko dwie możliwości.

Mogłam wyrzucić prezent od Bonnie, tak jak zrobiłam z pozostałymi dowodami, i ruszyć na spotkanie swojego nowego życia w Connecticut, gdzie czekało mnie radosne macierzyństwo.

Albo mogłam przestać się oszukiwać i zastanowić, co, do cholery, dzieje się z moim życiem i z moim tajemniczym mężem.

Przełożyłam kopertę za balustradę.

To łatwa decyzja, prawda?

Wystarczy zwolnić uścisk i będzie po wszystkim.

Wsiądę do pociągu i pojedę na północ, gdzie czekają bezpieczeństwo, mój mąż i nowe życie.

Podmuch wiatru uderzył od strony wody, łopocząc kopertą w mojej dłoni.

Puść, pomyślałam. Puść, puść.

Jednak ostatecznie wbiłam paznokcie w papier i przyciągnęłam kopertę do piersi.

Nie mogłam jej wyrzucić. Musiałam poznać całą prawdę, niezależnie od tego, jak była bolesna i brzydka. Nawet po wszystkim, co zrobiłam, po całym tym szaleństwie, krzywdzeniu przyjaciół i tuszowaniu faktów, chyba jednak wciąż odrobinę czułam się policjantką. Może nawet bardziej niż odrobinę.

Szczelnie zaciśnęłam powieki. Gdzieś w ciemnym parku za swoimi plecami wyczułam staruszka, który prostuje nogi, przygotowując się do spaceru. Kiedy obróciłam się na pięcie, aby poszukać taksówki, kątem oka dostrzegłam postać mężczyzny, który pokiwał w moim kierunku z uśmiechem na twarzy.

Rozdział 98

Było parę minut po ósmej następnego ranka, kiedy baristka, która obsługiwała mnie w Starbucks naprzeciwko biurowca Paula przy Pearl Street, ze zdumieniem uniosła brew, słysząc moje zamówienie.

Rany, można by pomyśleć, że jeszcze nigdy nie spotkała rozczochranej, emocjonalnie poturbowanej kobiety, która prosiła o całą półkę ciastek.

Po wczorajszej epifanii w parku Battery zadzwoniłam do Paula i powiedziałam, że Bonnie poprosiła mnie, abym ze względu na dawne czasy została u niej na noc. Potem aż do północy wędrowałam Broadwayem niczym bezdomna, którą się właśnie stałam.

Dotarłam aż do śródmieścia, na północ od teatru Eda Sullivana, gdy moje nogi w końcu odmówiły posłuszeństwa.

Znalazłam jeszcze w sobie tyle siły, aby rzucić podejrzone przecieradło upstrzone pomarańczowymi kropkami w róg klitki za trzysta dolarów za noc, po czym zasnęłam. Dość drogo, ale Paula było na to stać.

Obudziłam się o siódmej rano, opuściłam hotel, nie biorąc prysznicza, złapałam taksówkę na Siódmej Alei i udałam się do centrum, do dzielnicy finansowej.

Po raz pierwszy od miesiąca miałam plan. Dokładnie wiedziałam, co powinnam zrobić.

Przesłuchać Paula.

Nie dbałam o koszty. Będę jednocześnie złym i dobrym policjantem. Kusiło mnie, aby wziąć ze sobą hotelową książkę telefoniczną, na wypadek gdybym musiała biciem zmusić go do wyznania prawdy. Jedno było pewne. Paul powie mi, co się, do diabła, dzieje, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, którą zrobi.

A biorąc pod uwagę wszystko, co czułam w Starbucks naprzeciwko jego biura, była to realna możliwość.

— Czy podać coś jeszcze? — spytała baristka, popychając w moją stronę śniadanie o pięciocyfrowej zawartości kalorii.

— Niczego więcej nie macie.

Usiadłam przy oknie na wielkim aksamitnym fioletowym fotelu z uszakami i przeczytałam od deski do deski raport FBI.

Tak długo wpatrywałam się w autoradiogramy — pionowe kody kreskowe DNA — pochodzące z obu miejsc zbrodni, aż rozmazały mi się przed oczami.

Nie ulegało wątpliwości, że zapis był jednoznaczny. Nie musiałam wiedzieć, czym są „zmienna liczba tandemowych powtórzeń” lub „locus genu”, aby stwierdzić, że próbki są identyczne.

Odłożyłam raport i jednym okiem obserwując drzwi obrotowe, które prowadziły do czarnego szklanego biurowca Paula po drugiej stronie wąskiej ulicy, pobiłam rekord świata w kompulsywnym jeździe. No cóż, alkohol i nikotyna poszły w odstawkę, więc co miała zrobić bardzo wkurzona ciężarna policjantka?

Kiedy piętnaście minut później zlizywałam czekoladową polewę z palców, nagle pośród tłumu garniturów i krawatów dostrzegłam

rudawozłotą głowę mężczyzny o wroście Paula, który wchodził do biurowca. Przystojnego mężczyzny, bez wątpienia. To była niezmienna cecha mojego męża. Być może jedyna.

Przełknęłam resztkę czekoladowego ciastka o smaku espresso, powoli otrzepałam się z okruszków i chwyciłam poplamiony kawą z mlekiem raport FBI.

Wyjdź z rękami do góry, Paul, pomyślałam, przechodząc na drugą stronę wciąż zacienionego kanionu Pearl Street. Twoja wkurzona ciężarna żona ma pistolet w torebce.

Ale kiedy stałam w kolejce do stanowiska ochrony za plecami faceta z FedEx, zauważyłam coś dziwnego.

Paul stał w otwartych drzwiach jednej z wind.

Zabawa zaczynała się na nowo.

W odróżnieniu od reszty prących naprzód, ubranych w prążkowane garnitury żołnierzy finansowej armii, on wychodził, niczym samotny łoś płynący w górę strumienia.

Nieważne, pomyślałam, szybko ruszając w jego stronę poprzez tłum. To mi zaoszczędzi przejażdżki windą.

Jednak kiedy się zbliżyłam, dostrzegłam, że na ramieniu ma torbę podróżną, a w ręku trzyma torebkę z zakupami.

Niebieską torebkę z Tiffany'ego.

Stałam jak wryta i w milczeniu patrzyłam, jak zmierza do drzwi.

Rozdział 99

Torba podróżna? Zakupy u Tiffany'ego? Dokąd Paul się wybiera? Co się dzieje, do diabła? Czy naprawdę chcę się dowiedzieć?

Tak! Muszę poznać prawdę, postanowiłam, patrząc, jak zatrzymuje taksówkę.

Kiedy odjeżdżał, zagwizdałam i złapałam kolejną taksówkę.

— Wiem, że zabrmi to sztampowo, ale proszę jechać za tym samochodem — poleciłam kierowcy ubranemu w pomarańczowy turban.

Tak też zrobiliśmy. Najpierw dotarliśmy do centrum Manhattanu, a następnie tunelem wyjechaliśmy na drogę międzystanową numer 495.

Kiedy nasze taksówki znalazły się na drodze ekspresowej łączącej Brooklyn z Queens, zadzwoniłam do Paula na komórkę.

— Cześć, Paul. Co słychać? — spytałam, kiedy odebrał po kilku dzwonekach.

— Lauren, jak się udała impreza?

Przez tylną szybę taksówki, która jechała przed nami, widziałam go z telefonem przy uchu.

— Świetnie. Słuchaj, Paul, strasznie się nudzę. Pomyślałam, że wpadnę po ciebie i wybierzemy się razem na lunch. Co ty na to? Masz ochotę?

No, Paul, oto chwila prawdy.

— Nie mogę, kochanie. Dobrze wiesz, że poniedziałki są okropne. Dostaliśmy sześć raportów finansowych i musimy je dokładnie przestudiować. Właśnie patrzę na szefa. Popija kawą beta-blokery. Będę miał szczęście, jeśli uda mi się stąd wyjść przed dwudziestą. Przykro mi. Wynagrodzę ci to, obiecuję. Jak się czujesz?

Na zielonym drogowskazie, pod którym przemknęliśmy, widniał napis: „Lotnisko LaGuardia”. Musiałam zakryć dłonią telefon, aby Paul nie usłyszał mojego szlochu.

— Dobrze — odpowiedziałam po chwili. — Nie martw się o mnie. Do zobaczenia wieczorem.

Albo jeszcze wcześniej, kochanie!

Na lotnisku musiałam okazać odznakę i legitymację policyjną, aby bez biletu przejść przez punkt kontrolny. Trzymałam się z tyłu w rzece ludzi, podążając za mężem poprzez halę odlotów, wzdłuż stoisk z prasą, sklepików z upominkami i otwartych barów.

Nagle Paul zatrzymał się mniej więcej trzydzieści metrów przede mną i usiadł obok bramki numer 32.

Przystanęłam w bezpiecznej odległości, przy automatach telefonicznych. Kiedy przeczytałam, jaki jest cel jego podróży, poczułam się tak, jakby w moim żołądku pękł wrzód.

Waszyngton.

Rozdział 100

Wykupienie w ostatniej chwili miejscówki w samolocie kosztowało mnie sto siedemdziesiąt pięć dolarów. Co ja mówię? Przecież to jego pieniądze. Świetnie.

Obserwując Paula z restauracji po drugiej stronie hali odlotów, wzdrygnęłam się, kiedy zgłosił się do odprawy w klasie biznesowej.

Stało się tak dlatego, że steward w okienku zrobił coś bardzo dziwnego, kiedy Paul podał mu odcinek biletu.

Obaj żartobliwie stuknęli się pięściami, jak gdyby byli starymi znajomymi! O co w tym wszystkim chodzi?

Zabrałam ze stanowiska odpraw porzuconą gazetę, aby zasłonić twarz podczas przechodzenia przez kabinę pasażerską, ale całkiem niepotrzebnie. Wystarczył rzut oka, aby przekonać się, że Paula pochłonęła rozmowa z mężczyzną po jego prawej stronie — najwyraźniej kolejnym częstym towarzyszem podróży.

Jedyną zaletą mojego miejsca w przedostatnim rzędzie w klasie turystycznej było to, że nie mogliśmy z Paulem przypadkowo wpaść

na siebie podczas lotu. No i jeszcze podręczna torebka na wymioty. Zrobiłam z niej użytek zaraz po starcie.

Ciąża, choroba lokomocyjna i obserwowanie, jak twój świat staje w apokaliptycznych płomieniach — to bardzo złe połączenie.

— Przepraszam — powiedziałam do mojej zaniepokojonej sąsiadki, która rozmawiała przez telefon. — Dziecko w drodze. Czas na poranne mdłości.

Najtrudniejsze nastąpiło po wylądowaniu w Waszyngtonie. Paul wysiadł przede mną razem z resztą biznesowych nudziarzy, więc musiałam pędzić na złamanie karku do wyjścia dla przylatujących pasażerów, aby zobaczyć, w którą stronę poszedł.

Kiedy dotarłam na postój taksówek, nie było już po nim śladu.

Cholera, cholera, cholera! Cała ta podróż to jedna wielka strata czasu.

Właśnie zawracałam, aby udać się do windy, kiedy zobaczyłam, że wychodzi z męskiej toalety. Przebrał się w dżinsy i ładny niebieski sweter — pozbył się także okularów.

Nie wiem, co mnie powstrzymało przed wykrzyczeniem wtedy jego imienia. Miał już nieludzko przechłapanie.

Zamiast tego szybko zeszałam po schodach i na nowo ruszyłam śladem swojego kłamliwego męża.

Musiałam sama sprawdzić, jak głęboko wbił mi nóż w plecy.

Minął postój taksówek i wyszedł przez rozsuwane szklane drzwi na ulicę. Właśnie się zamykały, kiedy zrobił coś, co sprawiło, że stanęłam jak wryta.

Otworzył drzwi po stronie pasażera w błyszczącym czarnym range roverze, który czekał przy krawężniku.

Wtedy puściłam się biegiem.

Kiedy znalazłam się kilka metrów za wyjściem z lotniska, lśniący luksusowy SUV ruszył z piskiem opon, zajeżdżając drogę minibusowi i wpadając na lewy pas.

Pobiegłam poplamionym spalinami chodnikiem, wyteżając wzrok, aby zobaczyć numer rejestracyjny.

To była waszyngtońska rejestracja zaczynająca się od dwóch dziewiątek.

Dałam sobie spokój z odcyfrowywaniem dalszej części tablicy i spróbowałam przyjrzeć się kierowcy. Chciałam sprawdzić, kto odebrał mojego męża, a przede wszystkim, czy była to kobieta, czy mężczyzna.

Jednak samochód miał przyciemniane szyby. W chwili gdy to odkryłam, potknęłam się o torbę do golfa i entuzjastycznie przywitałam się z uświęconą ziemią naszej stolicy.

Rozdział 101

Nie byłam pewna, gdzie rozpocząć poszukiwanie Paula, więc postanowiłam odwiedzić Rogera Zampellę, oficera śledczego, którego wymieniono w raporcie FBI.

Oczywiście nigdy wcześniej nie spotkałam go osobiście. Okazało się, że jest potężnym, dobrze ubranym Afroamerykaninem o uśmiechu jaśniejszym niż wypolerowane żabki od jego kropkowanych szelek.

Zadzwoiłam do niego z lotniska; od razu zaprosił mnie do swojego pokoju odpraw w drugim posterunku przy Idaho Avenue. Gdy przybyłam na miejsce, właśnie zabierał się do wczesnego lunchu przy swoim biurku.

— Czy nie będzie pani przeszkadzało, że przekaszę coś podczas naszej rozmowy? — spytał, zarzucając sobie na ramię jedwabny różowo-zielony krawat. Wetknął serwetkę za biały kołnierzyk jasnoniebieskiej koszuli w dwóch odcieniach, po czym teatralnym gestem wysypał na biurko zawartość brązowej papierowej torby.

Na blacie wylądowały niewielkie jabłko oraz zbożowy baton firmy Quaker wielkości zużytej kostki mydła.

Roger odchrząknął.

— Żona niedawno zobaczyła wyniki mojego testu na poziom cholesterolu — wyjaśnił, rozdzierając zębami opakowanie batona. — Dostałem pałę z minusem. Wspomniała pani przez telefon, że chce porozmawiać o jakiejś kradzieży. Powinienem być panią uprzedzić, że teraz pracuję w wydziale zabójstw.

— Chodzi o sprawę sprzed prawie pięciu lat. Ciekawi mnie, czy coś pan z niej pamięta. Jej numer to trzy-siedem-trzy-cztery-pięć. Napad z bronią w rękę w hotelu Sheraton Crystal City w Arlington w stanie Wirginia, po przeciwnej stronie rzeki od stolicy. Sprawca...

— Zostawił ślady krwi — rzekł oficer Zampella bez chwili wahania. — Napad na pośrednika w handlu biletami. Pamiętam tę sprawę.

— Ma pan dobrą pamięć.

— Niestety, nigdy nie zapomina się śledztw, które zakończyły się niepowodzeniem.

— Wspomniał pan o pośredniku?

Zampella powąchał baton, po czym nieśmiało odgryzł małą kawałek.

— W Sheratonie, tym koło krajowego lotniska imienia Ronalda Reagana, odbywał się zorganizowany przez NCAA doroczny zjazd trenerów futbolowych — powiedział, żując. — Każdego roku wszyscy szkolni trenerzy i asystenci otrzymują za darmo bilety na półfinały i finał rozgrywek. Grupa pośredników w handlu biletami, czyli moim skromnym zdaniem zwykłych koników, rozstawia się w hotelu i wykupuje wszystkie wejściówki, płacąc gotówką. Oczywiście to nielegalne, ale chodzi o osoby prowadzące nabór do wyższych uczelni. Są znane z naginania zasad.

— O jakich sumach mówimy?

— Olbrzymich. Bilety na niektóre mecze sprzedają się po tysiąc dolarów za sztukę.

— I tam doszło do kradzieży?

Zampella odgryził kolejny mały kęs, po czym postanowił dłużej się nie bawić i wsadził cały baton do ust. Dwukrotnie przeżuł, przełknął, a następnie odchrząknął.

— Jeden z tych pośredników najwyraźniej przyjechał dwa dni przed zjazdem. Ktoś musiał się dowiedzieć, kim jest, i ukraść mu walizkę pełną gotówki.

— Macie rysopis? Cokolwiek? Pokręcił głową.

— Facet miał na sobie kominiarkę.

Kominiarkę? O rany, Paul był naprawdę oryginalny. No i kompletnie szalony.

— Skąd pochodziła krew? Czy ktoś to ustalił?

— Kiedy pośrednik oddawał walizkę, nagle zmienił zdanie i uderzył nią złodzieja w podbródek. Facet chyba był hemofilikiem. Upaprał całą wykładzinę.

— I co wtedy zrobił?

— Wyjął pistolet i postraszył konika, że go rozwalą, a ten przestał stawiać opór.

— Ile ukraść?

— Pół miliona, może więcej. Co prawda, pośrednik twierdził, że miał przy sobie tylko siedem tysięcy, ale pewnie dlatego, że nie chciał mieć kłopotów z urzędem podatkowym, a może z mafią. To był duży gracz.

— Podejrzani?

— Nie udało się zidentyfikować próbki krwi. Przesłuchaliśmy część gości, którzy mieszkali na tym samym piętrze co pośrednik. Tego wieczoru w konferencji uczestniczyło jakieś dwa tysiące osób. Nie mieliśmy zamiaru rozpętywać piekła z powodu jednego spryciarza, dupka, który prawdopodobnie wysługiwał się mafii i tylko czekał,

aby wcisnąć nam jakiś kit. Wie pani, jak to jest, postąpiliśmy zgodnie z przepisami, a potem zajęliśmy się kolejną sprawą i o wszystkim zapomnieliśmy. Aż do teraz. A w zasadzie, po co to pani? Gromadzi pani materiały do nowych odcinków *Unsolved Mysteries*?

— Szczerze mówiąc, to sprawa osobista — odpowiedziałam oficerowi. — W zeszłym miesiącu mój znajomy jubiler został ogłuszony kolbą pistoletu i obrabowany w hotelu w centrum Manhattanu. Kiedy rozpoczęłam dochodzenie, przypomniałam sobie, że czytałam opis waszej sprawy. Nie ma pan przypadkiem kopii hotelowego rejestru?

— Dołączyłem ją do akt — odrzekł Zampella, zerkając na zegarek. — Ale minęło... ile? Pięć lat? Bóg jeden wie gdzie je zakopali.

— Wiem, że pewnie ma mnie pan już dosyć, ale czy mógłby pan wykonać kilka telefonów i namierzyć dla mnie te dokumenty? Oczywiście po tym, jak zabiorę pana na lunch. W Waszyngtonie jest restauracja Morton's, prawda?

Zampella zerknął na mizerne jabłko. Potem sięgnął po prążkowaną marynarkę, która wisiała na oparciu jego fotela.

— Mamy jedną nawet tutaj, w Arlington — powiedział, wstając.

Rozdział 102

Po dwóch godzinach i dwóch porcjach filet mignon z frytkami wróciliśmy do gabinetu Zampelli, a ja wreszcie mogłam przejrzeć rejestr hotelowy, na którym tak bardzo mi zależało.

Zampella uważał, że ma problemy z sercem? Kiedy zerknęłam na górę drugiej strony, poczułam, że to mnie przydałyby się defibrylator i zastrzyk z adrenaliny.

Było tam napisane czarno na białym — Paul Stillwell.

Coś w moim wnętrzu niebezpiecznie się zachwiało. Pomimo wszystkich obciążających faktów wciąż liczyłam na ulaskawienie w ostatniej chwili. Jednak stało się inaczej. Znajdowałam wciąż nowe dowody na to, że mój mąż... no właśnie, co? Jest szalony? Prowadzi podwójne życie?

Nie mogłam w to uwierzyć. Paul ukradł pół miliona dolarów pośrednikowi w handlu biletami?

A wydawało mi się, że odkrycie tajemnic Scotta Thayera stanowiło druzgocący cios. Co się, do cholery, dzieje z mężczyznami? Czy wszyscy są obłąkani?

Nie, odpowiedziałam sobie. Nie wszyscy. Tylko ci, którzy mieli pecha mnie poznać. Albo odwrotnie.

Przypomniałam sobie range rovera, torbę z Tiffany'ego i to, że w Waszyngtonie Paul nie miał okularów.

Odrzuciłam się w stronę Zampelli, który przysypiał za biurkiem. Do steku wypił martini.

— Czy mógłby mi pan wyświadczyć jeszcze jedną przysługę? Tylko jedną i już mnie nie ma.

— Słucham.

— Potrzebuję listy właścicieli range roverów z dwa tysiące siódmego roku o waszyngtońskich numerach rejestracyjnych zaczynających się od dwóch dziewiątek.

— Kolejne materiały do Unsolved Mysteries, co? Dobrze, załatwione. Ale pomimo zasady braterskiej policyjnej pomocy to musi być już ostatnia prośba. Mój porucznik może w każdej chwili wrócić z wydziałowej konferencji. Na tej ulicy jest księgarnia. Niech pani sobie trochę poczyta; zobaczmy się mniej więcej za godzinę.

Minęło zaledwie pół godziny. Siedziałam przed stojakiem z czasopismami, przeglądając „Vanity Fair”, kiedy Zampella postukał mnie palcem w ramię.

— Chyba pani coś upuściła — powiedział, wręczając mi kopertę i puszczając do mnie oko, po czym oddalił się w stronę wyjścia.

Oddarłam bok koperty. Lista składała się z dwudziestu pozycji. Przejechałam palcem po spisie właścicieli, szukając nazwiska Stillwell.

Nic z tego. Spróbowałam raz jeszcze, wolniej. Znów bez powodzenia.

Potałam swoje zmęczone oczy nafaszerowane kofeiną. A co mi tam. Warto spróbować.

Przeszłam do kafejki wewnątrz księgarni, usiadłam i wyciągnęłam listę hotelowych gości. Zaczęłam kolejno zestawiać z nią

każde z nazwisk właścicieli range roverów. Po mniej więcej piętnastu minutach siedzenia jak na szpilkach znalazłam powtarzające się nazwisko.

Veronica Boyd. Riggs Place numer 221.

Veronica? — pomyślałam, kipiąc ze złości. Wiedziałam! Kobietta! Paul, ty cholerny draniu!

Zerwałam się z fotela i popędziłam do drzwi. Musiałam wynająć samochód. A także przeprowadzić małą obserwację.

Najwyższy czas dowiedzieć się, co — a przede wszystkim: z kim — robi Paul.

Rozdział 103

Dom okazał się uroczym ceglany szeregowcem na skromnej, lecz zdecydowanie eleganckiej ulicy na północ od Dupont Circle. Tęczowe flagi przed kawiarniami i restauracjami, które mieściły się w starych okazałych budynkach, bardzo przypominały dzielnicę Greenwich Village, a przynajmniej te jej części, które zdominowali yuppie.

Z wnętrza wynajętego forda taurusa, którego zaparkowałam na rogu, bacznie obserwowałam lśniące czarne drzwi przy Riggs Place numer 221.

Szybko rozejrzałam się po okolicy, ale nie zauważyłam czarnego range rovera wśród innych marek luksusowych pojazdów zaparkowanych po obu stronach wąskiej, okolonej drzewami ulicy.

I co wy na to? — pomyślałam, wpatrując się w zasłonięte żaluzjami okna na piętrze. W tym sekretnym życiu Paulowi całkiem nieźle się powodziło.

Ale czy to jego dom? Miałam szczerą nadzieję, że nie. Jeśli kiedykolwiek pragnęłam się mylić, to właśnie teraz.

Niech istnieje jakieś wyjaśnienie, Paul. Coś, co będę mogła znieść.

Kiedy godzinę później zamierzałam udać się do toalety, drzwi frontowe wreszcie się otworzyły. Po ceglanych stopniach jednorodzinnego domu zszedł Paul, niosąc niebieską torbę z Tiffany'ego.

Gdy wcisnął przycisk na breloczku na klucze, światła zielonego jaguara, który stał zaparkowany na rogu ulicy, rozbłysły przy wtórze podwójnego sygnału dźwiękowego.

To naprawdę nie fair, pomyślałam, powstrzymując chęć staranowania luksusowego kabrioletu wynajętym samochodem. Dlaczego nie możemy mieć takiego auta w naszym wymiarze?

Jechałam za Paulem w popołudniowym ruchu. Skręciliśmy w Czternastą Ulicę i minęliśmy kilka bocznych uliczek oznaczonych literami: S, R. Odbiliśmy w lewo w Q, następnie od razu skręciliśmy w Trzynastą Ulicę, a po przejechaniu ronda wjechaliśmy w O Street. Obserwowałam, jak mój mąż zatrzymuje się na parkingu przed ceglany budynek pokrytym bluszczem.

„Szkola Chamblis”, informowała mosiężna tabliczka na ścianie. To nie wróżyło niczego dobrego. Za cholerę nie zapowiadało się na szczęśliwe zakończenie, jakiego oczekiwałam.

Zaparkowałam przy hydrancie, jak w transie patrząc na Paula, który wysiadł z jaguara, trzymając w ręku torbę z Tiffany'ego.

Czyżby Veronica Boyd była nauczycielką? Już mniej więcej ją sobie wyobrażałam. Elegancka drobna blondynka. Oczywiście młoda. No i bardzo atrakcyjna.

Czy właśnie o to chodziło? — zastanawiałam się, siedząc jak na rozżarzonych węglach. Pozbył się starej i znalazł sobie młodszą?

Trzy minuty później wrócił do samochodu.

Co to ma znaczyć?

Rzeczywiście była młoda.

Trzy- lub czteroletnia dziewczynka ubrana w kraciasty sweterek zarzuciła Paulowi ręce na szyję. Przytulił ją z zamkniętymi oczami, a następnie otworzył torbę. Dziewczynka wyjęła z niej białego misia ze srebrnym naszyjnikiem i dała zabawce buziaka.

Paul chwycił ją pod pachami i ostrożnie wsadził do samochodu.

Wciąż siedziałam jak sparaliżowana, kiedy manewrował mrużącym jaguarem między kombi, SUV-ami i hummerami innych rodziców odbierających dzieci. Gdy zatrzymał się na rogu, miałam okazję dokładnie przyjrzeć się dziewczynce przez tylną szybę.

Moje płuca odmówiły współpracy. Nie mogłam wciągnąć ani wypuścić powietrza.

Rozpoznałam ten prosty nos, niebieskie oczy, rudawozłote włosy. Mała była równie piękna, jak Paul przystojny. Odziedziczyła po nim urodę.

Za nic w świecie nie mogłam w to uwierzyć. Ból był straszny, niewyobrażalny dla kogoś, kto tego nie doświadczył, jak zabieg na otwartym sercu bez znieczulenia.

Sprawy wyglądały tysiąc razy gorzej, niż podejrzewałam. Mój mąż wywinął mi najbardziej okrutny numer.

Dziecko.

Ma dziecko.

Nie ze mną.

Rozdział 104

Kiedy wróciłam na Riggs Place numer 221, Paul akurat wychodził z domu ze swoją córeczką i rowerkiem wyposażonym w treningowe kółka. Ironicznie pokiwałam głową, gdy posadził uśmiechnięte dziecko na siodełku i ruszył chodnikiem na południe.

Pewnie na plac zabaw. Zawsze wiedziałam, że Paul będzie świetnym ojcem.

Kiedy zniknęli mi z oczu, wysiadłam z taurusa i podeszłam do drzwi. Mam tu jeszcze jedno do załatwienia, pomyślałam, mechanicznie wspinając się na schodki i wciskając guzik dzwonka. Jeszcze jeden drobiazg.

Musiałam pozbyć się resztek swojego serca.

— Tak? — spytała kobieta, która otworzyła drzwi.

Rzeczywiście była blondynką, ale niezbyt elegancką. No i wcale nie drobną, przynajmniej w okolicach klatki piersiowej. Zgadywałam, że jest mniej więcej w moim wieku, co wcale nie poprawiło mi nastroju. Dokładnie przyjrzałam się niezręcznie nałożonemu makijażowi i czarnej spódnicy wrzynającej się w brzuch. Chyba niedawno przybrała na wadze.

Atrakcyjna kobieta, która desperacko walczy z nadciągającą czterdziestką. Witaj w klubie.

Popatrzyłam w jej ciemnobrązowe oczy pod ostrymi blond pasemkami, które tworzyły odpychający kontrast z ciemniejszymi włosami. Kiedy powąchałam jej perfumy, poczułam, że coś zimnego przesuwa mi się w żołądku niczym żyletka.

— Veronica? — odezwałam się w końcu.

— Tak — odpowiedziała. Zauważyłam, że mówi z wyraźnym akcentem, być może teksańskim, na pewno południowym.

Wyjęłam odznakę.

— Porucznik Stillwell. Czy mogę zamienić z panią kilka słów?

— O co chodzi? — odparła z napięciem, nie ruszając się z progu. Nie potrafiłam ocenić, czy mnie rozpoznaje, czy może po prostu nie lubi policjantów.

Wyciągnęłam z torebki wydruk, który dostałam od Zampelli.

— Czy jest pani właścicielką czarnego range rovera z dwa tysiące siódmego roku? — spytałam blondynkę. Również żonę Paula?

— Tak. Co się stało?

— Prowadzę dochodzenie w sprawie ucieczki z miejsca wypadku. Czy mogę wejść? To zajmie tylko chwilę.

— Dlaczego porucznik z Nowego Jorku prowadzi dochodzenie w sprawie ucieczki z miejsca wypadku w Waszyngtonie? — spytała, cały czas blokując przejście.

Miałam przygotowaną odpowiedź.

— Przepraszam, powinnam była wyjaśnić. Moja matka przyjechała tutaj trzy dni temu ze swoją grupą parafialną. To ona była ofiarą. Jeśli to stanowi problem, to mogę po prostu skonfiskować pani samochód.

— Proszę wejść — odrzekła, odsuwając się na bok. — To musi być jakieś nieporozumienie.

W holu wisało duże lustro w kolorze złamanej bieli i stał śliczny stolik upstrzony plamami po espresso. Mieszkanie miało współczesny, dość gustowny wystrój. Pokoje były widne i przytulne.

Zaprowadziła mnie do kuchni, gdzie zamontowano sprzęty w stylu retro. Różowy mikser stał obok torby z mąką na blacie do krojenia, który zajmował miejsce na środku pomieszczenia. Czyżby gotowała kolację dla Paula? Słodka dziewczyna.

— Dziś są czwarte urodziny mojej córki Caroline i muszę upiec tort, w przeciwnym razie nastąpi koniec świata — powiedziała Veronica, patrząc mi prosto w oczy.

Miałam ochotę odpowiedzieć, że świat już się skończył. Odwróciłam wzrok.

— Kawy? — spytała.

— Z chęcią. Dziękuję.

Otworzyła i zamknęła szafkę nad zlewem. Stałam oszołomiona, ze wszystkich sił próbując utrzymać się na nogach. Co ja tu robię, do licha? Co próbuję przez to osiągnąć?

W korytarzu zauważyłam półeczki ze zdjęciami.

— Czy mogę skorzystać z łazienki?

— W korytarzu po prawej.

Miałam wrażenie, że ściany się na mnie przewracają, gdy zobaczyłam Paula na pierwszym ze zdjęć. Znajdował się na słonecznej plaży razem z Veronica i dzieckiem, które miało wtedy około roku. Rozpryskujące się fale, piasek przypominający cukier puder. Kolejna fotografia przedstawiała ich dwoje, mamusię i tatusia, z czerwonymi oczami, uchwyconych w czasie śmiechu, zetkniętych policzkami na tle migoczących świateł miasta.

Trzecie zdjęcie było niczym cios ząbkowanym ostrzem między oczy. Półnaga Veronica ubrana w rozchyloną nocną koszulę i Paul z podbródkiem wspartym na jej ramieniu, obejmujący dłońmi jej pełny, ciężarny brzuch.

Kiedy dotarłam do czwartego, ostatniego zdjęcia, w mojej czaszce wybuchła bomba o sile tysiąca megaton. Paul, ty draniu.

Nagle poczułam na karku oddech Veroniki.

— Wcale nie przyszła tu pani, aby pytać o wypadek samochodowy — oznajmiła.

Jeszcze przez chwilę wpatrywałam się w ich ślubną fotografię, nie roniąc ani jednej łzy. Wykonano ją na tej samej plaży co pierwsze zdjęcie. Był tam pastor. Białe kwiaty w blond włosach Veroniki. Paul w białej jedwabnej koszuli rozpiętej pod szyją. Uśmiechnięty. Wręcz promieniujący.

Roztropnie uskoczyła mi z drogi, kiedy potykając się, popędziłam do drzwi.

Rozdział 105

Wszystko na próżno! Nie tylko to, co wydarzyło się w ciągu ostatniego miesiąca — całe moje małżeństwo.

Ta myśl z szumem krążyła w mojej głowie jak ładunek elektryczny o wysokim napięciu, kiedy szłam w kierunku, w którym Paul udał się z Caroline.

Całe to zacieranie śladów. Rujnowanie przyjaźni. Rozbijanie w drobny mak mojej policyjnej kariery. Przecież nawet zaszantażowałam prokuratora generalnego.

Zakryłam usta dłońmi.

Nic mi nie zostało, prawda?

Dotarłam do skrzyżowania. Po przeciwnej stronie ruchliwej ulicy znajdował się park.

Popatrzyłam na trio ulicznych muzyków oraz grupę starszków, którzy grali w szachy pod drzewami. Ludzie spacerowali drózkami lub odpoczywali wokół dużej białej fontanny. Wszystko było skąpane w blasku słońca, jak na tym słynnym obrazie Renoira w książkach o malarstwie.

Kiedy minęłam fontannę, dostrzegłam Paula bujającego córkę

na huśtawce. Gdy dotarłam do siatki, właśnie pomógł jej zejść i skierował ją do piaskownicy. Wyglądało na to, że bardzo się kochają.

Obeszłam plac zabaw i byłam już tylko kilka kroków za ławką, na której usiadł mój mąż, kiedy czterolatka do niego podbiegła.

— Tatusiu, tatusiu!

— Tak, kochanie?

— Mogę się napić?

Sięgnął do koszyka przy rowerze i wyłowił z niego kartonik soku. Poczulałam ucisk w żołądku, kiedy wbił słomkę w folię. Potem ukląkł i znów przytulił córkę.

Nawet tutaj czułam promieniującą od niego radość, gdy odprowadzał małą z powrotem do huśtawek.

— Czy to miejsce jest wolne? — spytałam, kiedy wrócił do ławki.

Rozdział 106

Najpierw Paul znieruchomiał.

Potem przez jego twarz przetoczyły się spazmy szoku, strachu, zatroskania i smutku. Przez sekundę wydawało mi się, że puści się biegiem w kierunku wyjścia z parku.

Jednak zamiast tego nagle opadł na ławkę i opuścił głowę między kolana.

— Od czego mam zacząć? — spytał w końcu cicho, pocierając palcami skronie.

— Pomyślmy — odparłam, stukając palcem w dolną wargę. — Jest tyle spraw. Może od twojej pierwszej zdrady? Może od tego, jak obrabowałeś pośrednika w handlu biletami w Sheratonie? Albo nie, nie, nie. Od dnia, kiedy w tajemnicy się ożeniłeś. Czekał, mam. Mój ulubiony moment. Opowiedz mi o tym, jak zafundowałaś sobie dziecko beze mnie! — Palące łzy pociekły mi po policzkach. — Miałam problemy z zająciem w ciąży, a ty koniecznie chciałeś sobie sprawić potomstwo? O to chodziło? „Przykro mi, Lauren, ty bezpłodna żałosna istoto. Muszę się rozmnożyć z jakąś inną kobietą za twoimi plecami”?

— To nie tak — odrzekł Paul, spoglądając na mnie, a potem na swoją córkę. — Ona pojawiła się przypadkiem.

— Myślisz, że to cokolwiek zmienia? — Czułam, że twarz mam wykrzywioną gniewem.

Otarł oczy i popatrzył na mnie.

— Daj mi chwilę — powiedział, wstając. — Potem ci opowiem. Chcę ci wszystko wyznać.

— Bardzo jesteś wspaniałomyślny.

Odstawił rowerek do miejsca, gdzie siedziały nianie. Porozmawiał z jedną z nich, po czym wrócił.

— Imelda pracuje dla sąsiadów. Zaprowadzi Caroline do domu. Może przejdziemy się i porozmawiamy. Wiedziałem, że pewnego dnia to się stanie.

Pokręciłam głową.

— A ja nie.

Rozdział 107

— To było prawie pięć lat temu — powiedział, gdy szliśmy dróżką, która biegła po obrzeżach parku. — Trafił mi się ten gówniany zjazd analityków w Waszyngtonie, pamiętasz? Byłem wkurzony. Nie układało się wtedy między nami... Nieważne. A więc siedzę w holu Sheratona, bardzo ładnym pomieszczeniu z barem i pianistą, próbując alkoholem zagłuszyć wspomnienia z kolejnego idiotycznego zebrania, kiedy nagle wpada jakiś hałaśliwy, pijany kretyń i domaga się, aby włączyć mecz Patriotów.

— Paul, interesuje mnie twoja sekretna rodzina, a nie jakaś głupia barowa opowiadka — wyrzuciłam z siebie.

— Po kolei. Przy każdym wznowieniu gry facet wypija kolejny kieliszek pomarańczowej brandy. W środku czwartej kwarty wychyla ósmy albo dziewiąty kieliszek, po czym wymiotuje na cały bar. Dosłownie strzela jak z armaty! Kiedy barman go wyrzuca, oglądam się i widzę, że Veronica, która stała po jego drugiej stronie, wpatruje się we mnie, a oboje mamy oczy jak spodki. Wtedy mówię: „Cieszymy się, że nie został, aby uczcić zwycięstwo”. Właśnie tak się poznaaliśmy.

— Ojej, to takie słodkie i zabawne — powiedziałam z szyderczym uśmiechem. — Naprawdę byłeś tego wieczoru w formie, co?

Spojrzał na mnie.

— Mogę się z tobą kłócić albo opowiadać, ale nie jedno i drugie.

— Albo zarobić kulkę w jądra. Zapomniałeś o tej możliwości.

— Czy mam kontynuować, Lauren?

— Ależ proszę. Nie mogę się doczekać dalszego ciągu tej porywającej historii.

— A więc ona proponuje mi drinka. Przysięgam, że to było całkowicie niewinne. Niczego nie próbowałem. Nie oczekuję, że mi uwierzysz, ale taka jest prawda. Po kolejnych kilku drinkach siedzi-
my sobie, rozmawiamy, opowiadamy o swoim życiu, a wtedy do baru wchodzi jakiś masywny facet. Veronica wpatruje się w niego, po czym mówi, że go zna i że była cheerleaderką Tampa Bay Buccaneers.

— Futbol? — spytałam, przekrzywiając głowę. — Dziwne. Bierąc pod uwagę piłki do kosza, które ma pod bluzką, stawiałabym raczej na NBA.

— Okazuje się, że kiedyś spotykała się z jednym z asystentów trenera drużyny z Tampa Bay — ciągnął Paul. — Mówi, że przypomina sobie, jak ten krępy facet z baru kupował bilety na Super Bowl od jej dawnego chłopaka. Twierdzi, że to jakaś gruba ryba siedząca w nielegalnym handlu biletami. Pokazuje mi walizkę, którą gość ma przy sobie, i mówi, że zapewne jest pełna studolarowych banknotów. Potem jeszcze przez chwilę pijemy i rozmawiamy o tym, co zrobilibyśmy z taką forszą. W końcu Veronica wstaje. — Paul zatrzymał się i wbił we mnie wzrok. — Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć?

— Teraz chcesz chronić moje uczucia? Oczywiście że chcę usłyszeć puentę.

Paul skinął głową, jak gdyby go to zabolalo.

— „Ciekawe, czy się odważysz, szepcze mi do ucha. Jestem w pokoju dwieście sześć”. Po czym odchodzi. A ja siedzę i piję. Trzy szklaneczki szkockiej później widzę, że ten masywny koleś wstaje i zabiera walizkę. Pozwalam mu wyjść. Ale po chwili zrywam się na nogi i ruszam jego śladem. Powtarzam sobie, że to tylko dla żartu. Przecież nikogo nie obrabuję. Ale idę za nim aż do jego pokoju. Sam nie wiem, co wtedy we mnie wstąpiło. Byłem pijany, niezadowolony z życia, samotny i jednocześnie pobudzony. Kilka minut później pukam do jego drzwi, a kiedy on otwiera, walę go pięścią w twarz.

Oboje usunęliśmy się z drogi, kiedy przemknął między nami kurier na rowerze.

— Zaczekaj chwilę — przerwałam Paulowi. — W raporcie napisano, że miałeś pistolet.

Pokręcił głową.

— Nie, tylko się biliśmy. Musiał to zmyślić, aby pokazać się w lepszym świetle. Był silny. Rozkrwawił mi nos jednym ciosem, ale byłem zbyt wystraszony, aby przegrać. Tłukłem w niego, dopóki nie padł. Wtedy chwyciłem walizkę i uciekłem.

— Do pokoju dwieście sześć?

— Do pokoju dwieście sześć — przytaknął Paul ponuro.

Rozdział 108

Z trudem wlokłam się dróżką niczym jedyna ocalała ofiara zamachu bombowego. Przypomniałam sobie, jak wtedy wyglądało nasze małżeństwo. Niezbyt dobrze. Dowiedzieliśmy się, że nie możemy zostać rodzicami. Przez rok nasz seks przypominał naukowy eksperyment. Upokorzony Paul musiał przesiadywać z plastikowym kubeczkiem w łazience u kolejnych specjalistów. Wszystko na darmo.

Zwróciliśmy się przeciwko sobie. Nie przyznawaliśmy się do tego otwarcie, ale teraz wyraźnie to widziałam. To był trudny okres.

Miałam to gdzieś.

Nagle zatrzymałam się i spoliczkowałam Paula. Mocno! Najmocniej jak potrafiłam!

— Mam mówić dalej? — spytał, pocierając szczękę.

— Zgadłeś.

— Budzę się rano i początkowo nie mam pojęcia, gdzie jestem ani co się wydarzyło poprzedniego wieczoru. Na stole leżą dwie równe kupki studolarowych banknotów. Veronica siedzi w szlafroku

i nalewa kawę. Piętnaście minut później wychodzę z pokoju ze sportową torbą, w której niosę czterysta tysięcy dolarów.

Pokręciłam głową. To chyba jakiś zły sen.

Nie, zrozumiałam. Mam halucynacje. W którymś momencie tego dziwnego dnia ktoś nafaszerował mnie narkotykami. Potarłam oczy. Paul pojechał w podróż służbową i dokonał napadu?

Zadałam kolejne logiczne pytanie.

— Co zrobiłeś z pieniędzmi?

— Kajmany. Kumpel z banku się tam wybierał. Wszystko dla mnie załatwił. Jeśli możemy mówić o jakimś plusie tej sytuacji, to są nim właśnie pieniądze. Ponad cztery lata bardzo agresywnego inwestowania i mamy trochę ponad milion dwieście tysięcy.

Próbowałam ogarnąć myślami tę sumę. Miałam z tym spore problemy.

— Trzy miesiące po kradzieży odbieram telefon, który mrozi mi krew w żyłach — kontynuował Paul. — Dzwoni Veronica. Mówi, że jest w ciąży. Początkowo wpadam we wściekłość. Żądam testu na potwierdzenie ojcostwa, chcę rozmawiać ze swoim prawnikiem, ale ona każe mi się uspokoić. Nie zamierza rozpętywać piekła. Po prostu chce być wobec mnie w porządku. Powinienem wiedzieć, że na świat przyjdzie moja córka. Tylko ode mnie zależy, co dalej zrobić. Długo nad tym rozmyślałem i nie podejmowałem żadnych działań, ale w końcu pojechałem spotkać się z Caroline. Sprawy tak się potoczyły że... no cóż, raz w tygodniu przylatuję tutaj i gram rolę tatusia.

— Od czterech lat? W pracy o tym wiedzą?

Paul pokręcił głową.

— Pracuję wtedy zdalnie.

— A co z Veronica? Mam uwierzyć, że już jej nie pieprzysz?

— Taka jest prawda.

Zanim się zorientowałam, chwyciłam go za gardło i zaczęłam wrzeszczeć:

— Gówno prawda! Ożeniłeś się z nią! Widziałam zdjęcia w korytarzu!

Uwolnił się z mojego uścisku.

— Nie, nie, nie! — zawołał, zasłaniając się wyciągniętymi rękami i wycofując. — To wszystko dla dobra Caroline. Chcieliśmy, aby myślała, że ma normalnego tatę jak inne dzieci. Zrobiliśmy kilka zdjęć u fotografa. To wszystko. Mała myśli, że jestem pilotem.

Miałam wrażenie, że moje powieki wypełnia kwas, który wżera się głęboko w oczodoły.

— A kim jesteś według Veroniki?

Paul wzruszył ramionami.

— Ona wie, kim jestem.

— No to chyba wyjątek, nie uważasz? Wie o mnie?

— Od samego początku.

— Ty skurwielu! — Byłam oszalała z wściekłości. Miałam ochotę go pogryźć. — A czy ty wiesz, kim jesteś? Bo ja nie. Ta nowa praca to też oszustwo?

— Nie, to akurat prawda — odparł, nagle siadając na pustej ławce. — Nie udawajmy, Lauren — odezwał się po chwili. — Kiedy dowiedzieliśmy się, że nie możemy mieć dzieci, nasze małżeństwo zaczęło się sypać. Oboje czuliśmy się zranieni, okaleczeni. Potem awansowałam do wydziału zabójstw w Bronksie i tylko to zaczęło się liczyć. Wciąż nowe sprawy. Praca na dwie lub trzy zmiany. Nie zrozumiem mnie źle, nie obwiniam cię. Po prostu rzadko cię wtedy widywałem. Naprawdę nie wierzyłem, że jeszcze mamy szansę to uratować. Ale teraz wszystko wygląda zupełnie inaczej, Lauren. Spodziewasz się dziecka. Zupełnie jakby ktoś wcisnął przycisk pauzy,

a po czterech latach sobie o nas przypomniał i ponownie włączył taśmę. Caroline ma miejsce w moim sercu, ale dla ciebie jestem gotów zrezygnować nawet z niej. Znów mamy przed sobą przyszłość. Wszystko dla tego poświęcę. — Chwycił mnie za rękę. — Zawsze chciałem być tylko z tobą, dobrze o tym wiesz. Odkąd po raz pierwszy cię ujrzałem. Możemy sobie z tym poradzić, Lauren. Z całym tym... gównem. Na chwilę głupio zboczyliśmy z drogi, ale teraz już koniec z kłamstwami.

— To wszystko brzmi bardzo słodko, Paul — odrzekłam, zabierając dłoń. — Cudownie i miło, ale jest jeszcze coś. Jeden mały szczegół.

Popatrzył na mnie pytająco. Teraz nadeszła moja kolej, aby go zranić. Sprawdźmy, jak ci się spodoba zbombardowanie serca napalmem.

— O czymś zapomniałeś. O czymś bardzo ważnym, Paul. O policjancie, którego zabiłeś na moich oczach. Byłam przy tym, jak zamordowałeś Scotta, ty kretynie.

Rozdział 109

Zdawało się, że twarz Paula rozpadnie się na moich oczach.

— Gdzie byłaś? — spytał.

— W domu Scotta w Riverdale. Pewnie czytałeś nasze e-maile, ale wyobraź sobie, że się spóźniłeś. Zdążyliśmy się ze sobą przespać. Tuż przed tym jak rozłupałeś mu czaszkę, byliśmy razem w łóżku. Czy taka zamiana ról jest w porządku? Podoba ci się?

Najwyraźniej nie bardzo. Paul miał usta otwarte szerzej niż postać na obrazie Muncha.

— Więc ty... Ale jak... — wydukał.

— Właśnie tak, Paul. Niespodzianka. Chwyciłam go za nadgarstek i ścisnęłam z całej siły.

— Jak myślisz, do cholery, kto przez cały czas bronił cię przed więzieniem? Dobra wróżka? Zatarłam wszystkie ślady, zniszczyłam swoją karierę, wszystko to, czym byłam, żebyś tylko nie trafił do pudła. Naprawdę było mi ciebie żal. Wyobrażasz sobie?

Sięgnął dłonią do mojej twarzy. Odtrąciłam ją.

Inni spacerowicze zaczęli omijać nas szerokim łukiem.

— A skoro już o tym mowa — warknęłam — jak śmiałeś zabić Scotta, skoro sam nie byłeś mi wierny? Kim ty jesteś, do diabła? Złodziejem. Mordercą. Bigamistą. Coś pominęłam?

Ponownie go spoliczkowałam. Sprawilo mi to ogromną przyjemność.

— Scott miał żonę i trójkę dzieci!

Wyrwał się z mojego uścisku i odszedł na bok. Stanął po przeciwnej stronie dróżki, pewnie dlatego, żebym znów go nie uderzyła. Po chwili zrobił coś niezwykłego. Zaczął się śmiać.

— Może mi powiesz, co cię tak bawi? — syknęłam, idąc w jego stronę z twarzą czerwoną od gniewu. — Przydałoby mi się teraz coś na poprawę humoru.

Odwrócił się w moją stronę.

— Pewnie. Oto puenta: nie zabiłem Scotta dlatego, że się z tobą przespał. Nie miałem o tym pojęcia, Lauren. — Skrzyżował ręce na piersi i znów się do mnie uśmiechnął. Nie rozumiałam ani jednego słowa z tego, co mówił. — Zabiłem go, ponieważ mnie szantażował.

Rozdział 110

Teraz przyszła moja kolej na schowanie głowy między kolanami.

— Szantażował cię? — spytałam.

Skinął głową.

— Rok temu Veronica pojechała do Nowego Jorku. Ma tam przyjaciółkę, która jest modelką lub kimś takim. O jedenastej rano trafia w sam środek nalotu antynarkotykowego i dzwoni do mnie do pracy, rozpaczliwie prosząc, abym przyjechał i pomógł jej się wydostać. Idę do wskazanego mieszkania w SoHo, spodziewając się miliona policjantów, ale zastaję tylko jednego. Scotta Thayera. Okazało się, że dotarłem na miejsce za późno, ponieważ Veronica przestraszyła się i powiedziała mu, że mamy pieniądze. Thayer prowadzi mnie do kuchni i mówi, że jest rozsądnym człowiekiem, więc puści wszystkich wolno w zamian za dziesięć tysięcy w gotówce.

Poczułam ostry ból w szyi. Moja skóra stała się lepka.

— Więc mu je dałem. Mija miesiąc. Pewnego dnia wracam do swojego biurka po lunchu i zastaję tam Thayera z twoim zdjęciem w

ręku. Mówi, że oboje pracujecie w tym samym posterunku, a jako że jest porządnym gościem, więc za kolejne dwadzieścia tysięcy nie tylko mnie nie aresztuje, ale także nie powie ci o Veronice. — Popatrzył na mnie, a ja odwzajemniłam spojrzenie, ze zdziwienia szeroko otwierając usta. — Więc znów dałem mu pieniądze. Jednak kiedy przyszedł po raz trzeci, zrozumiałem, że to się nigdy nie skończy. Tym razem żądał pięćdziesięciu tysięcy. Postanowiłem załatwić ten problem po swojemu.

Słuchałam dźwięków fletu, które dobiegały z innego miejsca parku. Brzmiały jak pieśń żałobna na moim pogrzebie.

Myślałam, że Paul o mnie walczył. Że zabił Scotta z mojego powodu. A tymczasem wszystko kręciło się wokół pieniędzy.

— Oczywiście Thayerowi nie wystarczyło, że mnie szantażuje — ciągnął Paul. — Chciał zdobyć wszystko. Zabrał się do ciebie, aby jeszcze bardziej mnie przyszpilić. Tylko o to mu chodziło, Lauren.

— Więc go zabiłeś? — spytałam z goryczą. — Teraz jesteś gangsterem? Okradasz ludzi i strzelasz do policjantów. Może powinieneś nagrać album rapowy.

Wbił wzrok w ziemię, mrużąc oczy, po czym wzruszył ramionami.

— Wszystko jakoś samo się tak potoczyło. Jedna rzecz wynikła z drugiej.

Obudziło się we mnie współczucie. Przecież mnie również to spotkało, czyż nie? Jednak od razu odepchnęłam od siebie litość. Jeszcze tego brakowało, żebym zaczęła go żałować.

— Posłuchaj, Lauren. Może po prostu uznajmy to za matkę wszystkich kryzysów wieku średniego? Teraz już zrobię wszystko, o

co mnie poprosisz. Oddam pieniądze. Albo możemy uciec. Bezpośrednio stąd pojedziemy na lotnisko. Milion dwieście tysięcy wolne od podatku to mnóstwo forsy. Może najzwyczajniej w świecie je wydajmy? Wychowajmy dziecko na jachcie. Wiem, że jesteś teraz na mnie wściekła, ale pamiętaj, że ty też mnie zdradziłaś. Po prostu... jedźmy stąd. Zgódź się, Lauren. Możemy to razem zrobić.

Rozdział 111

Siedziałam na ławce, wpatrując się w swojego niezwykłego męża przestępcę. Ależ był z niego kłamca. W końcu spuściłam wzrok na chodnik, garbiąc ramiona. Nagle wydało mi się, że cały świat zwolnił: muzyka w powietrzu, odgłosy ulicznego ruchu.

Nie mogło być żadnych wątpliwości. Oddałam Paulowi wszystko, co miałam. Moją miłość, pracę, reputację. A teraz nie zostało mi zupełnie nic.

Wciąż siedziałam pogrążona w bólu, kiedy ponownie pojawiła się córka Paula. Niania, z którą wcześniej rozmawiał, stała w odległości kilku kroków z innym dzieckiem i rowerkiem Caroline.

— Tatusiu! Zdjęcia! Chcę pokazać Imeldzie zdjęcia.

— Nie teraz, kochanie — zawołał Paul do dziewczynki. — Później.

— Ale to moi braciszkwowie — zaprotestowała i zanim zdążył ją powstrzymać, wyciągnęła z jego kurtki czarno-białą fotografię. Spróbował ją odebrać i zdjęcie upadło na ziemię. — Jesteś niedobry, tatusiu — powiedziała czterolatka, wydymając usta. — Chcę pokazać Imeldzie zdjęcie swoich nowych braciszków bliźniaków.

Wytrzeszczyłam oczy. Co takiego? Paul spojrział w dół na małą kwadratową fotografię, a jego jabłko Adama podskoczyło.

— Pokażesz jej później, Caroline — syknął.

Imelda spojrzała na niego, po czym szybko chwyciła małą za rękę i ją odciągnęła.

Schyliłam się i podniosłam cenne zdjęcie z chodnika. Kiwnęłam głową, raz, drugi.

Był to sonogram. Przedstawiał dwa płody. Bliźniaki. Przywołałam w myślach obraz Veroniki. Oczywiście, że wyglądała, jakby ostatnio przybrała na wadze. Była w ciąży!

Popatrzyłam na twarz Paula, niemal z fascynacją. Kłamał zupełnie bez wysiłku. Raz za razem.

Zrozumiałam, że nigdy nie przestanie. Gdzieś głęboko kryło się w nim coś bardzo złego. Był zdolny powiedzieć lub zrobić dosłownie wszystko. Jak ktokolwiek mógł tak oszukiwać? Jak ktokolwiek mógł robić te wszystkie odrażające rzeczy? Nawet sposób, w jaki przed chwilą warknął na swoją córeczkę. Chroniłam potwora.

— Dobrze wiem, co teraz zrobimy — powiedziałam, upuszczając czarno-białą fotografię na bruk. — Coś, co powinnam była zrobić, kiedy to wszystko się zaczęło. — Wyjęłam kajdanki i zatrzasnęłam mu je na nadgarstkach. — Paul, jesteś aresztowany.

Rozdział 112

Nianie, szachiści i amatorzy joggingu patrzyli z szeroko otwartymi ustami, jak wywlekam skutego kajdankami Paula z parku. Nic dziwnego, że tak się gapili. Na Boga, był ode mnie dwa razy większy.

— Jesteś pewna, że to dobre wyjście, Lauren? — zajączał, kiedy prowadziłam go przez dwie przecznice, które dzieliły nas od mojego taurusa. — A milion dolarów? Przecież wciąż mnie kochasz, w przeciwnym razie byś mnie nie kryła. Tobie też to nie wyjdzie na zdrowie. Zostaniesz oskarżona o współudział w morderstwie. Dziecko przyjdzie na świat za kratkami. Chyba tego nie przemyślałaś.

— Przykro mi, Paul, ale mam już serdecznie dosyć myślenia. To właśnie myślenie wpakowało mnie w to bagno. Teraz po prostu robię to, co trzeba. A przynajmniej się staram.

Gwałtownie się zatrzymałam, gdy mijaliśmy jaguara, którego Paul zaparkował przy krawężniku.

— Gdzie są kluczyki? Zakończmy to z klasą. Daj mi posmakować tego miliona dolarów. Może zmienię zdanie i zawiozę cię na lotnisko. — Dźgnęłam go w kark. — Ale raczej się tego nie spodziewaj.

Wyjęłam breloczek z kieszeni jego kurtki, po czym wepchnęłam Paula na siedzenie pasażera. Przeszłam na drugą stronę samochodu. Właśnie wsuwałam kluczyk do stacyjki, kiedy mój mąż nagle otworzył schowek.

Po chwili poczułam pod prawą pachą dotyk czegoś twardego.

— Pora skończyć z tymi bzdurami, Lauren — powiedział, wciskając mi między żebra mały rewolwer.

Ty idiotko! Oczywiście, że miał broń. To nie handlarz biletów kłamał, tylko Paul.

— Hej, chyba mówiłeś, że nie masz spluwy.

— Jeszcze nie zrozumiałaś, co tu jest grane, Lauren? Mówię ci tylko to, co musisz usłyszeć. A teraz zdejmij mi kajdanki. Ale już!

— A co potem? Zastrzelisz mnie? — spytałam, robiąc to, co kazał. Nie miałam innego wyjścia. — Właściwie czemu nie? Wszystko inne już mi zrobiłeś.

— Ej że, to ty rozpoczęłaś tę grę. Skułaś mnie.

— Więc dla ciebie to wszystko jest rodzajem gry, tak? Obudź się, Paul. Zabiłeś człowieka. Jesteś mor-der-cą.

Gniew wykrzywił mu twarz. Poczzerwieniał, a jego oczy rozbłyśły furją.

— Mam się obudzić? Pozwól, że coś ci powiem. Wiesz, jak to jest poślubić kobietę, która ma większe jaja od ciebie? Podczas gdy ty codziennie kopałaś dupy, ja musiałem je całować, abyś mogła kupować sobie różne ładne rzeczy. Ale tobie to najwyraźniej nie wystarczało!! — Wściekle uderzył kolbą pistoletu w deskę rozdzielczą, po czym przystawił mi lufę do skroni. — Chcesz wiedzieć, co czułem, kiedy Veronica złożyła mi tę propozycję w Sheratonie? Po raz pierwszy w życiu poczułem się jak mężczyzna! Dostałem szansę

oderwania się od nudnej jak flaki z olejem firmy inwestycyjnej, dyplomu prawa i planu emerytalnego, na które traciłem całe swoje życie.

Wziął głęboki oddech, po czym wypuścił powietrze. Broń pozostała przy mojej skroni.

— Zrobiłem to, Lauren — szepnął ze złością. — Wziąłem, co chciałem, a potem poszedłem odebrać nagrodę. Pamiętam każdą sekundę. Było wspaniale. Veronica zlizwała mi krew z dłoni. Zerznąłem ją jak ogier.

— Skoro tak twierdzisz, ty psychopato.

— Masz rację, zabiłem tego fiuta, Scotta. Wydawało mu się, że może ze mną pogrywać. Szkoda, że nie widziałaś jego miny, kiedy się odwrócił. Nie miał szans i doskonale o tym wiedział. Dałem twojemu chłoptasiowi to, na co sobie zasłużył. Gównu mnie obchodzą jego żona i dzieciaki.

W oddali rozległ się dźwięk syren. Po scenie, którą urządziliśmy w parku, ktoś musiał zadzwonić na policję. Dzięki Bogu za komórki!

— Słyszysz te syreny? — spytałam. — Prawda i konsekwencje zaraz się o ciebie upomną, Paul.

— Nikt się o mnie nie upomni, słonko — odparł, otwierając drzwi i wypychając mnie z samochodu. — Czas na próbną separację.

Opony zadymiły na asfalcie, gdy jaguar z piskiem ruszył wzdłuż Riggs Place.

Stałam zdezorientowana między śladami palonej gumy. Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co się przed chwilą stało, do cholery? Ostatnie kilka godzin sprawiało wrażenie nieprawdopodobnych, wręcz nierealnych. Co ja mówię, jakie kilka godzin? Raczej minut.

Odrzuciłam do tyłu włosy, widząc dwa wyjące radiowozy waszyngtońskiej policji, które pomknęły w ślad za Pauliem.

To już wszystko? Właśnie tak to się skończy?

Po drugiej stronie ulicy, kilkadziesiąt metrów na północ, dostrzegłam swój wynajęty samochód.

Nie ma mowy, jeśli tylko będę miała na ten temat coś do powiedzenia, pomyślałam, wyjmując kluczyki i pędząc do auta.

Rozdział 113

Kilka minut później wciskałam gaz do dechy, siedząc na ogonie policjantom, którzy ścigali Paula. Miałam ochotę zasignalizować im długimi światłami: „Z drogi! Nowojorska policja! On jest mój. Ustawcie się w kolejce! To ucieka mój niewierny, kłamliwy mąż morderca”.

Pędziliśmy przez kolejną szykowną dzielnicę. Czy to Georgetown? Pokryte bluszczem ceglane domy i neoklasycystyczne budynki przemykały za szybą. Dokąd Paul jechał? Czyżby nadal wierzył, że uda mu się z tego wywinąć?

Domyśliłam się odpowiedzi, kiedy zauważyłam wieżę mostu, który prowadził w kierunku lotniska. Wyłoniła się w odległości niecałego kilometra zza pokrytych płytką łupkową dachów po mojej lewej stronie.

Ostro skręciłam w lewo na najbliższym skrzyżowaniu, przejechałam na czerwonym świetle i z piskiem opon odbiłam w prawo w M Street, pędząc w stronę mostu, aby odciąć Paulowi drogę.

Zatrąbiłam i zatrzymałam się ślizgiem na samym środku wjazdu na Francis Scott Key Bridge.

Następnie wyskoczyłam z samochodu i stanęłam w otwartych drzwiach.

— Zabieraj się stąd, wariatko! — wrzasnął wściekły kierowca autobusu, wduszając klakson. — Co ty wyprawiasz, na litość boską?

Chciałam odpowiedzieć, że sama dobrze nie wiem, ale nie miałam siły ani czasu.

Popatrzyłam na północ i w odległości jednej przecznicy dostrzegłam samochód Paula oraz ścigających go policjantów. Kiedy dotarł do korka, który spowodowałam, zjechał gwałtownie na chodnik. Bez chwili wahania. Jaguar przewrócił wózek z hot dogami i pudło z gazetami, po czym wypadł na skrzyżowanie.

Skoczyłam na lewą stronę forda, blokując jedyną przestrzeń, w której mógł się zmieścić. Kierowca autobusu zaczął krzyczeć, gdy jaguar pomknął w moim kierunku. Tylko ja stałam pomiędzy Pauliem a mostem.

Byłam jak sparaliżowana.

Zatrzyma się.

Przecież mnie nie rozjedzie.

Nie mógłby mnie zabić.

Ale samochód się zbliżał. Bardzo szybko.

W ostatniej chwili uskoczyłam w prawo i upadłam na ziemię.

Jaguar przemknął obok mnie niczym zielony pocisk. Odwracając się na plecach, zobaczyłam, jak Paul slalomem omija mój samochód i wraca na ulicę. Sukinsynowi się uda. Rozjechałby mnie jak nic.

Ale wtedy jego prawe tylne koło uderzyło w krawężnik. Rozległ się głośny strzał i samochód wzbił się w powietrze.

Widok był niezwykły.

Usłyszałam ogłuszający chrzęst, zupełnie jakby olbrzymia plastikowa butelka została wepchnięta do maszyny do recyklingu. To jaguar uderzył w betonowy przyczółek mostu.

Kawałki szkła zawisły w powietrzu niczym drobinki kurzu, kiedy samochód złożył się jak akordeon. Potem rozbite auto przeokoziółkowało, przebijając się przez ścianę drzew, które porastały brzeg rzeki, i z hukiem wylądowało w błotnistym zielonym nurcie Potomaku.

Rozdział 114

Jaguar zniknął — a Paul razem z nim.

Biegając w dół nasypu, potknęłam się o częściowo zakopany w ziemi sklepowy wózek. Co teraz? Wykonałam niezdarne potrójne lutz, po czym boleśnie uderzyłam brzuchem o powierzchnię wody. Szybko zanurkowałam w mętnej rzece, rozglądając się w poszukiwaniu samochodu i Paula.

Nie wiem, dlaczego zachowywałam się tak odważnie lub głupio —jakkolwiek to nazwać. Może po prostu tak należało postąpić.

Już miałam wrócić na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza, kiedy zauważyłam kawałek poskręcane metalu. Popłynęłam w jego kierunku.

Nie!

To był jaguar. Paul wciąż siedział za kierownicą, przypięty pasem za otwartą poduszką powietrzną.

Miał zamknięte oczy, a jego twarz pokrywały krwawiące skaleczenia. Jak długo był w wodzie? Kiedy pojawiają się pierwsze uszkodzenia w mózgu? Szarpnięciem otworzyłam drzwi samochodu.

Pochyliłam się nad nim, rozpaczliwie walcząc z poduszką powietrzną, aby zdjąć pas. Cholerstwo nie chciało się odpiąć.

Nagle poczułam, że jego dłonie wbijają mi się w szyję.

Co on wyprawia?

Moje gardło płonęło. Nie mogłam w to uwierzyć. To raczej ja mam uszkodzony mózg! Próbuję go uratować, a on chce mnie zabić na dnie Potomaku. Naprawdę oszalał.

Podczas walki woda wdzierала mi się do nosa. Za chwilę zabraknie mi sił i powietrza. Co wtedy? To proste — utonę.

Starałam się bronić, ale to nie skutkowało. Paul był zbyt duży i silny. Musiałam znaleźć inny sposób. I to szybko!

Mocno odepchnęłam się od przedniej szyby, a następnie gwałtownie cofnęłam łokieć, uderzając Paula w szyję. Natychmiast powtórzyłam cios!

Ucisk na mojej szyi zelżał, kiedy z ust Paula wydostał się bąbel powietrza wielkości Rhode Island. Wyrwałam mu się z rąk. Jednak czułam, że zaczynam tracić przytomność.

Gdy próbowałam się odwrócić, chwycił mnie za stopę. Nadal tkwił uwięziony w samochodzie, patrząc na mnie wytrzeszczonymi oczami. Chciał mnie zabrać ze sobą, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, którą zrobi, a właśnie na to się zapowiadało.

Machnęłam nogą do przodu, po czym ją cofnęłam, trafiając go prosto w nos. Na pewno go złamałam. Woda wokół jego twarzy zaczerwieniła się od krwi. Wtedy mnie puścił, a ja odbiłam się od samochodu i popłynęłam w stronę światła.

Obejrzałam się i zobaczyłam pod sobą twarz Paula. Krwawił i zdawało się, że krzyczy. Potem zniknął.

Wypłynęłam na powierzchnię i zachłannie chwytałam cenne

powietrze, niesiona silnym nurtem rzeki. Na moście, pod którym przepływałam, widziałam błyskające światła radiowozów oraz dziesiątki wpatrzonych we mnie twarzy. Drzewa na brzegu kołysały się pod wpływem podmuchu, który wytwarzało śmigło policyjnego helikoptera.

Jeden ze strażaków krzyknął coś do mnie i rzucił mi koło ratunkowe. Chwyciłam je i trzymałam z całych sił.

Rozdział 115

Kiedy już było po wszystkim, waszyngtońscy policjanci bardzo dobrze się mną zaopiekowali. Wcześniej sprawdzili listę pasażerów z naszego lotu i uznali, że Paul i ja przyjechaliśmy razem na wakacje, a on stracił nad sobą panowanie.

Nie wyprowadzałam ich z błędu. Jedyne zidentyfikowałam zwłoki, po czym już się nie odzywałam.

Godzinę później zjawił się mój kumpel, oficer Zampella. Udało mu się wcisnąć tę wersję wydarzeń lokalnym mediom. Potem czym prędzej mnie stamtąd zabrał.

Musiałam gdzieś ochłonać. Ale nie w Waszyngtonie.

Nie chciałam korzystać z samolotu, więc wsiadłam do wynajętego samochodu i dojechałam aż do Baltimore, gdzie w końcu poddałam się zmęczeniu.

Przypomniałam sobie, że kiedyś zatrzymałam się w ładnym Sheratonie w pobliżu przystani i znalazłam ten hotel przy Charles Street.

Sheraton Inner Harbor. Jeszcze nigdy żaden hotel tak mi się nie podobał.

Dostałam pokój z widokiem na wodę, zamiast na park Oriole w Camden Yards. Ale szczerze mówiąc, nie sprawiało mi to teraz dużej różnicy.

Pokój urządzone w kolorach błękitnym i kremowym, co bardzo mi się spodobało, gdyż byłam skrajnie wyczerpana.

Łóżko okazało się cudowne, wręcz idealne, więc resztę wieczoru spędziłam, leżąc jak w śpiączce i wpatrując się w sufit. Odrętwienie zaczynało mijać. Czułam smutek, złość, lęk, wstyd i bezsilność, wszystko naraz. W końcu zasnęłam.

Kiedy znów otworzyłam oczy, nadal było ciemno. Popatrzyłam na ściany dziwnego pokoju, początkowo nie wiedząc, gdzie jestem. Wszystko sobie przypomniałam, kiedy wyjrzałam za okno i zobaczyłam rozświetloną przystań. Wielki statek The Chesapeake. Baltimore — hotel Sheraton Inner Harbor.

Wtedy pojawiły się inne obrazy.

Paul. Veronica. Mała blondynka Caroline.

Jaguar na dnie Potomaku.

Leżałam w ciemności i analizowałam wszystko od samego początku. To, co zrobiłam. Jak się z tym czułam. Co myślałam o sobie. Zacisnęłam powieki. Co jakiś czas w moim umyśle rozbłyskiwały z mocą nowe wrażenia i wspomnienia. Zapach wody kolońskiej Scotta. Smak deszczu w jego pocałunku. Uderzenia kropel w piszczelę, kiedy patrzyłam na jego zmasakrowane ciało. Paul w jaguarze na samym końcu.

Kolejne wspomnienie odebrało mi oddech.

Ujrzałam strumienie srebrzystobiałego światła wpadające przez okna kościoła, w którym braliśmy ślub. Moja lewa dłoń drgnęła, kiedy poczułam dotyk obrączki.

Przeżyłam nagły atak rozpacz. Wydawało się, że te uczucia zawsze były gdzieś we mnie. Jak mroczny kwiat, który tylko czekał, aby zakwitnąć, od dnia, gdy wyszłam za mąż.

Przez kolejne dwie godziny jedynie płakałam.

W końcu znalazłam telefon i zamówiłam kanapkę i piwo z hotelowej restauracji Orioles Grille. Włączyłam telewizor. W wiadomościach o dwudziestej trzeciej pokazano efektowne ujęcie waszyngtońskiego mostu, na którym doszło do wypadku, oraz samochód Paula wyciągany z rzeki.

Już miałam ponownie się rozpłakać, ale powstrzymałam się dzięki kilku głębokim oddechom. Na razie wystarczy. Pokręciłam głową, kiedy reporter wspomniał o tragedii.

— Gdybyś tylko znał prawdę. Nie masz pojęcia, o czym mówisz, człowieku. Nie masz zielonego pojęcia.

Epilog

Rozdział 116

Ostatnie kilka minut mojego godzinnego biegu zawsze stanowiło najtrudniejsze wyzwanie. Skupiałam się na srebrnych falach, które rozbijały się na piasku, i na lekkim zapadaniu się mokrego gruntu pod kłębami moich stóp.

Kiedy skończyłam przebieżkę, ciężko usiadłam na plaży, czując palenie w płucach, zadziwiona tym, co udało mi się osiągnąć. Osiem kilometrów — i to po piasku.

Po raz nie wiadomo który słońce pojawiło się nad horyzontem i doświadczyłam tej cudownej chwili, gdy woda i brzeg morza zamieniają się w złoto.

Popatrzyłam na zakrzywiony pas plaży, którym przed chwilą biegłam. Przypominał ułożony na boku półksiężyc. Wyglądał cholernie ładnie.

Zerknęłam na zegarek. Spóźnisz się, Lauren.

Znalazłam swój motorower na prawie pustym parkingu. Włożyłam japonki, a następnie kask. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Skinęłam głową dwu znajomo wyglądającym rybakom, ominęłam

gwizdających na mnie opalonych surferów w kanarkowym kabrioletcie i ruszyłam krętą nadmorską drogą w stronę miasta.

To zabawne, jak czasem wszystko się układa, pomyślałam, pędząc wąską wstążką asfaltu.

Paczka została dostarczona przez FedEx dokładnie trzy miesiące po śmierci Paula. Wewnątrz był list. Napisano go na drogim papierze firmowym kancelarii prawniczej, która reprezentowała bank na Kajmanach.

Paul zostawił mi skradzione pieniądze wraz z odsetkami, razem milion dwieście pięćdziesiąt siedem tysięcy dolarów i dwadzieścia dwa centy.

To bez znaczenia. I tak nie byłam gotowa mu przebaczyć.

Kusiło mnie, aby oddać całą sumę lub przekazać ją na jakiś cel charytatywny. Ale zbliżało się rozwiązanie, a kopnięcie dziecka idealnie uzmysławia ci, że nie wszystko kręci się wokół ciebie. Co prawda, przesłałam dwieście pięćdziesiąt tysięcy rodzinie Thayerów, ale tak po prostu wypadało zrobić. Przynajmniej tyle mogłam uczynić.

Zatrzymałam się na krótkim podjeździe przed przeszklonym domem, który stał na szczycie urwiska ponad plażą. Przeciekający dach i zardzewiałe zawiasy upodabniały go raczej do przeszklonej przyczepy mieszkalnej, ale wszystkie wady wynagradzały widok oraz prywatność.

Wbiegłam do środka, nie zdejmując kasku. Musiałam sprawdzić, co słychać u mężczyzny mojego życia.

Mój synek zaczął się głośno śmiać, kiedy uklęknęłam przed przytulnym kojcem. I co wy na to? Wciąż nie mogłam się oprzeć młodszym mężczyznom.

Ma na imię Thomas. Oczywiście po moim tacie.

W drzwiach kuchni stanęła Hiszpanka i cmoknęła.

— Co panienka Lauren tu robi? — spytała. — Nie może się panienka spóźnić do pracy pierwszego dnia.

— Pomyślałam sobie, że jeszcze raz pocałuję i uściskam Tommy'ego.

Wskazała drzwi wejściowe.

— Basta. Zapraszam dopiero na lunch. Wtedy panienska spotka się z Thomasem. A teraz vamonos.

Rozdział 117

Moje biuro było położone zaledwie dziesięć minut od domu, tuż ponad popularnym barem na jednej z zatłoczonych turystycznych ulic.

Weszłam po schodach i rozpięłam pasek pod brodą, wpatrując się w nowy szyld z napisem: „Paradise Investigations — agencja detektywistyczna RAJ” — zamocowany ponad zniszczonymi drzwiami. Nieźle. Dobrze wygląda i robi odpowiednie wrażenie.

Z powrotem zesłam do baru, wędrując leśną ścieżką, którą okalały palmy i rzeźby tiki.

Barman rozłożył kolejną stronę niedzielnego wydania „New York Daily News” i podniósł na mnie wzrok.

Przewrócił oczami, po czym szeroko się uśmiechnął — tak jak potrafił tylko Mike Ortiz.

— Cześć, pani detektyw — powiedział. — Nie powinnaś teraz śledzić jakiegoś podejrzanego hombre lub coś w tym rodzaju? Nie pamiętasz, co ci mówiłem o mojej ciotce Rosie? Jeśli będziesz co chwilę wracać do domu, to jeszcze pomyśli, że boisz się zostawiać z nią małego Thomasa.

Równie dobrze moglibyśmy siedzieć w naszym starym radiowozie, tylko że teraz Mike miał na sobie hawajską koszulę, która sprawiała wrażenie, jakby wymagała baterii. Całkiem nieźle przystosował się do życia po odejściu z policji. Prosił, abym go odszukała, więc tak zrobiłam. Zresztą nie przychodził mi na myśl nikt inny, do kogo mogłabym się udać. Ponadto Mike był chyba jedynym uczciwym człowiekiem, jakiego znałam. No i całkiem przystojnym, co powoli zaczynałam dostrzegać.

— Widziałem twoją nową tabliczkę na górze — rzekł mój były partner. — Bardzo ładna. Tylko chyba zapomniałaś, że to hiszpańskojęzyczny kraj. Ilu znajdziesz klientów, jeśli będziesz miała szyld po angielsku?

— Mam nadzieję, że niewielu, głuptasie — odparłam, podkradając mu dodatek o modzie. — Co dziewczyna musi zrobić, żeby tutaj dostać filiżankę kawy?

— Zastanowię się, kiedy będę ci ją parzył. — Po chwili zaś dodał zupełnie bez związku: — Świetnie sobie radzicie, Lauren. Ty i Thomas.

Zarumieniłam się aż po palce u stóp. Chyba jeszcze nie przywykłam do komplementów.

Spis treści

Prolog	
Nikt tak naprawdę nie lubi niespodzianek.....	7
Część pierwsza	
Szybki numerok	13
Część druga	
Komplikacje	173
Część trzecia	
Waszyngtoński romans.....	237
Epilog.....	343